
Plaga e-papierosów | Kładka niezgody | Zabity za psa | Spór psychiatrów
Mieszkania od miasta? | Nadaktywni aktywiści | Jak kiedyś karano
POLITYKA.PL
POLITYKA
LIDER SPRZEDAŻY 1
TYGODNIK, nr 16 (3460), 10.04–16.04.2024
Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
Pochmurno nad urną
Powyborcze obrachunki
s. 6, 12, 16, 20
ISSN 0032-3500
9 770032 350404 16>

POLITYKA w numerze **16** [10.04–16.04.2024]



24 E-kłopot



27 Na wojennej kładce

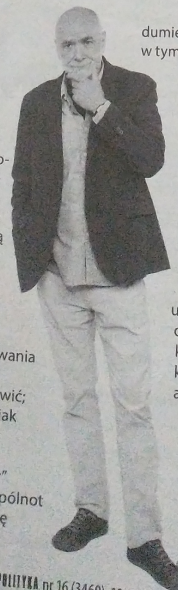


39 Mieszkanie Minus



www.mleczko.pl

Malarstwo a sprawa polska



Kierownictwo Muzeum Fitzwilliama w Cambridge postanowiło ostrzec zwiedzających wystawę, głównie krajobrazów autorstwa brytyjskich malarzy, przed „uczuciami dumy narodowej", jakie te krajobrazy mogą u nich wywołać. Specjalnie przygotowane tabliczki uprzedzają, że prezentowane wiejskie pejzaże „mogą budzić poczucie lojalności oraz dumy z ojczyzny", gdyż przedstawiają wieś tradycyjnie postrzeganą jako bezpośredni łącznik z przeszłością, „a zatem prawdziwe odzwierciedlenie istoty narodu". Niestety, „z tymi uczuciami narodowymi wiąże się implikacja, że poczucie przynależności mogą mieć tylko ci, którzy są historycznie związani z tą ziemią", co może być przyczyną powstawania uczuć nacjonalistycznych.

Ostrożności kierownictwa muzeum trudno się dziwić; nie wykluczam, że po obejrzeniu prac takich malarzy jak Constable, niejeden Anglik, gwałtownie przepełniony miłością do ziemi ojczystej, utraci angielską flegmę i w poczuciu „przynależności do określonej wspólnoty" stanie się agresywny wobec przedstawicieli innych wspólnot oraz miłośników innych pejzaży. Może także pojawić się u niego chęć natychmiastowego dania upustu swojej dumie oraz gotowość do eliminacji tych, którzy chcieliby mu w tym przeszkodzić.

Nie chcę nikogo straszyć, ale to zjawisko może dotyczyć także malarstwa w innych krajach. Kto wie, do czego zdolni byliby pod wpływem płócien pędzla Chełmońskiego czy Gersona patrioci tacy jak Bąkiewicz? Jaka jest gwarancja, że poseł Braun po obejrzeniu „Święta trąbek" Gierymskiego, w porywie dumy z tego, że jest Polakiem, a nie Żydem, ponownie nie chwyci za gaśnicę?

Jestem za tolerancją i jak najszerszym dostępem do kultury, ale nie wiem, czy takie osoby należy wpuszczać na wystawy polskiego malarstwa, zwłaszcza pejzażowego. Zbyt duża dawka takiej sztuki grozi wzmożeniem u nich dumy z bycia prawdziwym Polakiem, a w konsekwencji – ograniczeniem funkcji poznawczych i utratą rozumu, której skutkiem będzie nagła chęć obrony kościołów przed kobietami, prześladowanie osób mówiących po niemiecku albo chęć wzięcia udziału w jakimś powstaniu.

Uważam, że jeśli radykalni patrioci mają oglądać jakieś obrazy, niech to będzie coś, co ich wyciszy, np. Mondrian, Klee i abstrakcja geometryczna. Chociaż jest niebezpieczeństwo, że oglądając kolorowe kółka, romby i kwadraty, mogą nabrać podejrzeń, że stali się ofiarami antypolskiego spisku mającego na celu wypranie im mózgów i uczynienie ich tanimi parobkami dla niemieckiej gospodarki.

Albatros travel



Mongolia – Szlakiem Czyngis-chana

Odwiedź Mongolię – kraj położony pośród dzikich stepów i dziewiczej przyrody, zamieszkały przez nomadów, których styl życia nie zmienił się od setek lat.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta i Historycznego Muzeum Narodowego oraz placu Niepodległości. **Dz. 3** Ułan Bator. Klasztor Gandan i pałac Bogd-chana. **Dz. 4** Ułan Bator – Park Narodowy Terelj. Park Narodowy Terelj i gigantyczna statua Czyngis-chana. **Dz. 5** Park Narodowy Terelj – Bayangobi. Zakwaterowanie w bazie kempingowej i czas wolny. **Dz. 6** Bayangovi – Karakorum. Stolica Czyngis-chana i klasztor Erdenne Zuu. **Dz. 7** Karakorum – Park Narodowy Chustajn Nurru. Dzikie konie Przewalskiego. **Dz. 8** Ułan Bator. Czas wolny, koncert muzyki folkowej i kolacja pożegnalna. **Dz. 9** Wylot do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy 01/06, 14/09 2024 | od 10.998,-







Przywitaj Bali i warany z Komodo

Zwiedzanie i wypoczynek na egzotycznej wyspie Bali oraz poszukiwanie waranów w parku narodowym Komodo.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przylot na Bali i przejazd do Candi Dasa. **Dz. 3** Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz pałac wodny Tirta Gangga. **Dz. 4** Candi Dasa – Munduk. **Dz. 5** Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. **Dz.6** Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 7** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. **Dz. 8** Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). **Dz. 9** Ubud. Świątynia Tanah Lot. Przelot na Flores. **Dz. 10** Labuan Bajo. Całodniowa wycieczka łodzią do Parku Narodowego Komodo. **Dz. 11** Przelot na Bali. Przejazd do Sanur. **Dz. 12-13** Wypoczynek w Sanur. **Dz. 14-15** Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 15/07, 07/09 2024 | 15.998,-









Bursztynowym Szlakiem przez Litwę, Łotwę i Estonię

Odkryj historyczne Starówki 3 nadbałtyckich stolic: Rygi, Wilna i Tallina, imponujące zamki zakonów rycerskich, piękne krajobrazy i wspólną historię 3 krajów.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Ryga. Zwiedzanie Starego Miasta i kolacja powitalna. **Dz. 2** Ryga. Zwiedzanie miasta: Starówka, Brama Szwedzka, Baszta Prochowa, Dom Bractwa Czarnogłowych, Hale Targowe i Plac Centralny. **Dz. 3** Ryga, Łotwa – Wilno, Litwa. Pałac Rundāle i Wzgórze Krzyży. **Dz. 4** Wilno. Spacer po Starym Mieście i Muzeum KGB. Wizyta w Zamku w Trokach. **Dz. 5** Wilno, Litwa – Daugavpils – Sigulda. Nadbałtyckie krajobrazy, stare miasto Daugavpils i Turaida. **Dz. 6** Sigulda – Tallinn, Estonia. Radziecki bunkier w Ligatne i spacer po mieście uniwersyteckim Tartu. **Dz. 7** Tallinn, Estonia. Zwiedzanie miasta: Letni pałac Piotra Wielkiego, Zamek na Wzgórzu Kopułowym, Sobór Aleksandra Newskiego i Ogród Króla Danii. Kolacja pożegnalna. **Dz. 8** Lot Tallinn – Warszawa. Podróż powrotna.

8 dni | Wyloty z Warszawy 21/05, 13/09 2024 | od 5.498,-





albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL13

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Każdy coś przegrał, coś wygrał

Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki

W wyborach samorządowych nie było kolejnego „cudu" frekwencyjnego, tak jak jesienią zeszłego roku, ale też cuda i wyśrubowane rekordy z samej istoty zdarzają się bardzo rzadko. Jednak ten zjazd poziomu uczestnictwa w wyborach między październikiem i kwietniem był spektakularny i – mimo wszystko – w tej skali niespodziewany. Jeżeli po tak przełomowym wydarzeniu jak wybory 15 października do urn idzie następnie mniej osób niż w poprzednich wyborach samorządowych w 2018 r., wymaga to dogłębnej analizy ze strony polityków, ale i socjologów czy psychologów.

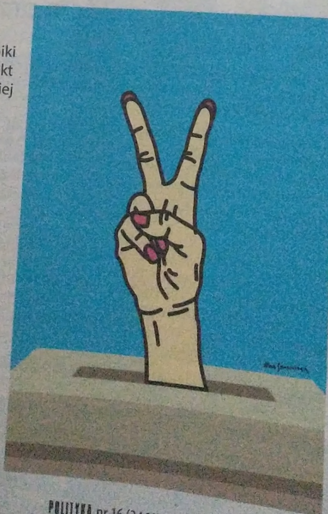
Ta kampania od początku była dziwnie senna, mało angażująca, niskobudżetowa, toczona pod przymusem, bardzo odległa od nastrojów tej poprzedniej, gorącej batalii. Nie udało się utrzymać mobilizacji i wzmożenia, jakby wyborcy raz masowo przyszli, zagłosowali, a potem powiedzieli: teraz sobie radźcie, myśmy zrobili swoje. Oczywiście pojawiło się od razu wiele poręcznych tłumaczeń dramatycznie niskiej – powiedzmy sobie szczerze – frekwencji: że piękna pogoda skłoniła wielu „miastowych" do wyjazdów; że młodzi wyborcy mieszkający i studiujący poza rodzinnymi miejscowościami, nie wracali do nich specjalnie na głosowanie, a przerejestrować się było trudno; że przecież nie głosowano za granicą; że KO nie wytłumaczyła się dobrze z marnego wyrobku „100 konkretów na 100 dni"; że akcje, takie jak rozliczanie Ziobry czy Glapińskiego, zmobilizowały bardziej elektorat PiS niż KO itd. Może więc olbrzymia, prawie 50-procentowa absencja to wynik politycznych błędów sztabowców, bardzo niewygodnego z wielu powodów terminu tych przekładanych wyborów, ale może przede wszystkim nieuniknionego społecznego rozprzężenia, znużenia polityką po wielkim polityczno-emocjonalnym napięciu w wyborach parlamentarnych.

Jeśli zakładać, że tamto październikowe poruszenie dotyczyło przede wszystkim wyborców antypisowskich, to obecne wyniki do sejmików, przy frekwencji o ponad 20 pkt proc. niższej, nie są dla Koalicji Obywatelskiej takie złe (wyniki wg *exit poll*). Poprawiła nawet notowania w porównaniu z wynikiem w poprzednich wyborach samorządowych, a rezultat PiS jest zbliżony, przy wyraźnej mobilizacji we wschodniej Polsce, gdzie frekwencja była zauważalnie wyższa niż na zachodzie kraju. Swoje mniej więcej utrzymała Trzecia Droga, Lewica może się pocieszać całkiem niezłym wynikiem Magdaleny Biejat w Warszawie, niemniej ogólny rezultat całej formacji, mimo nagłośnionej kwestii aborcji, nie jest imponujący. Ponadto politycy Platformy mają do Lewicy pretensje za skłócenie się jej z Trzecią Drogą i osłabienie zwartości całej koalicji, zwłaszcza w newralgicznym okresie kampanii. Jednak raczej nie odbije się to trwalej na relacjach w obozie władzy.

Nie zmienia to faktu, że PiS wygrał kolejne, dziewiąte już chyba wybory z rzędu, i to już bez telewizji Kurskiego i Matyszkowicza. Nie udało się jeszcze Donalda Tuska przełamać tej zwycięskiej passy Kaczyńskiego, choć brakowało już niedużo, najmniej od wielu lat. Nie jest jeszcze jasne, jak wynik PiS przełoży się na sytuację w poszczególnych województwach (wygrał w 6), ile sejmików przejmie rządząca koalicja (Platforma wygrała w 10), a ile zostanie w rękach dawnej władzy, może z pomocą Konfederacji. Dopiero sejmikowy podział mandatów pokaże praktyczny wymiar ostatnich wyborów, czy rzeczywiście kwiecień był kontynuacją października. Wtedy, mimo że to partia Kaczyńskiego wygrała, utraciła rządy. Odzyskanie kilku sejmików z rąk PiS spowoduje, że także władza lokalna wyraźnie przesunie się w ręce tych politycznych formacji, które samorządy traktują partnersko.

W polityce jednak liczą się też symbole. Tuskowi zależało na samodzielnym zwycięstwie PO/KO, co miało być ostatecznym potwierdzeniem politycznej dominacji jego Platformy. A tymczasem nadal trzeba podkreślać „wspólne zwycięstwo demokratów". Brak tej kropki nad „i" przenosi rywalizację wewnątrz obecnego obozu władzy dalej, do nieodległych wyborów europejskich, a potem do wielkiej kulminacji w 2025 r. – wyborów prezydenckich. W perspektywie tych ostatnich wzmocniła się kandydatura Rafała Trzaskowskiego po jego efektownym triumfie w Warszawie. Zwracają też uwagę inne aktywa PO: nadspodziewanie dobry rezultat Aleksandra Miszalskiego w Krakowie (druga tura z Łukaszem Gibałą może być pasjonująca), Agaty Wojdy w Kielcach, także zwycięstwo w pierwszej turze Aleksandry Dulkiewicz w Gdańsku. W miastach, z bardzo nielicznymi wyjątkami, pisowscy kandydaci na prezydentów i burmistrzów ponieśli ciężkie porażki.

Z drugiej strony obecny sejmikowy wynik daje PiS oddech i czas na dalszą regenerację, wzmacnia Kaczyńskiego, oddala wizje rozłamów. Widać, że walka demokratycznych sił z populizmem jest daleka od zakończenia, że nawet październikowy przełom niczego jeszcze nie przesądza i nie gwarantuje. Oczywiście PiS od razu uruchomił narrację o początku końca Tuska, o żółtej kartce dla koalicji, po której przyjdzie czerwona, o rosnących wewnętrznych tarciach – to przesada i nieprawda. Wynik wyborów samorządowych pokazuje raczej, że sytuacja się ustabilizowała, nie ma większych wzrostów ani dramatycznych spadków. Każdy trochę wygrał, trochę przegrał.


© MAX SKORWIDER

Energia wielkiej zmiany październikowej zrobiła swoje, ale ma limity, bo tak jest zawsze; widać, że potrzeba kolejnych impulsów. Przyspieszenie, o jakim mówił niedawno Donald Tusk, jakiś drugi etap, dokończenie rozliczeń, wzmocnienie mediów publicznych, ogłoszenie nowych priorytetów, wychodzących nawet poza zużyte już trochę 100 konkretów, ponowne zacieśnienie współpracy w ramach koalicji – wydają się niezbędne i dla Platformy, i dla jej partnerów.

Nawet jeśli rezultat wyborów samorządowych nie jest jeszcze jakimś poważnym ostrzeżeniem dla rządzących, widać, że polityczna publiczność czeka na nowe atrakcje, narracje, cele, bardziej jednolity przekaz. Wybory europejskie w czerwcu, także planowany na podobny czas finał komisji śledczych, domkną pierwszą fazę demokratycznej rewolucji po rządach PiS. W drugiej, z prezydenckim finałem w przyszłym roku, raczej musi być już świeższy scenariusz, kilkoro nowych aktorów i wartka akcja.

Rolnicy protestują, Kreml się cieszy



Tegoroczne demonstracje europejskich producentów żywności okazały się bardzo żyznym terenem dla rosyjskiej propagandy. Choć rolnicy protestowali w kilkunastu europejskich krajach w ciągu kilku tygodni, trudno było znaleźć ich wspólne postulaty. Pojawiały się natomiast podobne, głównie antyunijne, narracje. Wbrew powszechnemu przekonaniu nie wszędzie na Starym Kontynencie protestowano przeciwko Zielonemu Ładowi i wspólnotowym politykom ekologicznym. Francuscy rolnicy krytykowali głównie umowę handlową pomiędzy Unią a MERCOSUR, południowoamerykańskim blokiem handlowym, która ich zdaniem doprowadziłaby do zalania tutejszych rynków tanią żywnością z Argentyny i Brazylii. W Polsce zapalnikiem było ukraińskie zboże, w Holandii – ograniczenia w używaniu nawozów sztucznych. Na gruncie tego ostatniego problemu wyrosła tam nowa partia populistyczna, Obywatelski Ruch Rolników (BBB). W innych krajach pojawiały się żądania dotyczące ograniczenia zatrudnienia migrantów w rolnictwie, dopłat bezpośrednich, obaw o brak rekompensat za straty poniesione w wyniku suszy i katastrof klimatycznych. Wszędzie jednak można było znaleźć bardzo wyraźne ślady rosyjskiej propagandy i działań dezinformacyjnych.

W holenderskim internecie przy okazji protestów rolników pojawiły się doniesienia o rzekomym planach tamtejszego rządu na nacjonalizację 3 tys. gospodarstw, które miałyby zostać przekazane ukraińskim uchodźcom. Informacje te rozpowszechniane były przede wszystkim za pomocą aplikacji Telegram, często tłumaczone na angielski, niemiecki czy holenderski z błędami gramatycznymi. W Niemczech decyzję o wygaszeniu wynoszącej 3 tys. euro dopłaty do wydatków na paliwo próbowano powiązać z apelami Olafa Scholza o zwiększenie wsparcia finansowego dla Kijowa – budując w ten sposób narrację o niemieckich pieniądzach trafiających do Ukraińców, a nie do rodzimych rolników. Tamtejsze protesty wsparli politycy antyunijnej AfD, ale też lewicowe ruchy ekologiczne, walczące o zablokowanie handlu genetycznie modyfikowaną żywnością.

Z kolei w Polsce, jak wynika z analiz organizacji pozarządowej Detector Media, specjalizującej się w identyfikacji rosyjskiej propagandy, niezadowolenie wśród rolników próbowano podsycać zarówno hasłami antyukraińskimi, jak i antysemickimi. Jeden z prorosyjskich kanałów na Telegramie opisywał nawet rząd Donalda Tuska jako władzę „banderowsko-chanukową", działającą w sprzeczności z polskim interesem narodowym. Właśnie w takim tonie o protestach rolników w Europie opowiadały też media rosyjskie, w tym Russia Today – kanał niemal całkowicie zablokowany na Starym Kontynencie, ale wciąż utrzymujący znaczne wpływy zwłaszcza w krajach Globalnego Południa. (MAZZ)

Na Księżyc w Wielkopolsce

W sierpniu pod Piłą w woj. wielkopolskim rozpocznie się analogowa misja kosmiczna, w której naukowcy z Uniwersytetu w Zurychu sprawdzać będą, jaki wpływ ma długotrwała izolacja na dynamikę współpracy w sześcioosobowym zespole astronautów. Ochotnicy spędzą w stacji miesiąc, podczas którego analizowane będą zmiany w ich zachowaniu oraz wpływ ekstremalnych warunków i odosobnienia na dynamikę zespołową załogi. Noszący nazwę **Lunar-Teams** projekt jest pierwszą tego typu operacją naukową w Polsce, mającą zidentyfikować ryzyko przed długimi podróżami pozaziemskimi i dalszą eksploracją kosmosu.

Naukowcy ze Szwajcarii zainteresowani będą przede wszystkim zmieniającą się psychologią zespołów – problemami, które pojawią się w grupie astronautów, i narzędziami, w jakie można ich wyposażyć, aby sprawnie zażegnywać ewentualne konflikty. W tej chwili kończy się rekrutacja do załogi stacji. Każdy, kto chce spędzić miesiąc w niemal astralnej izolacji, musi być co najmniej studentem studiów magisterskich – choć organizatorzy poszukują przede wszystkim zawodowych naukowców i osób pracujących w sektorze kosmicznym. Aplikować mogą także studenci i absolwenci socjologii, antropologii, psychologii, architektury, medycyny, biologii, inżynierii oraz innych kierunków. Wybrana szóstka najpierw spędzi 4–5 dni w tak zwanej fazie treningowej, a potem, 31 sierpnia, zostanie odizolowana od reszty świata na 28 dni. Jak mówią dr Monika Maślikowska oraz prof. Jan Schmutz z Uniwersytetu w Zurychu, współtwórcy badania, kluczowe będzie obserwowanie reakcji na takie zjawiska jak chociażby całkowite połączenie życia prywatnego i zawodowego szóstki astronautów.



W przypadku powodzenia tej symulacji planowane są kolejne takie działania w krajach na całym świecie. Organizatorzy mają spore doświadczenie w ich prowadzeniu, a wyniki ich obserwacji wykorzystywane są nie tylko w badaniach dotyczących misji kosmicznych. W latach 2020–21 Lunares badało skutki kwarantanny i przymusowej izolacji, która była wówczas codzienną rzeczywistością miliardów ludzi na świecie z powodu pandemii koronawirusa. Sprawdzano wtedy nie tylko zdrowie psychiczne, dynamikę współpracy w grupie, ale też efektywność pracy i kreatywność w realizacji powierzonych zadań. Zarówno w badaniach pandemicznych, jak i dotyczących podróży poza orbitę Ziemi naukowcy koncentrują się na człowieku – jak podkreślają, czynnik ludzki dla eksploracji kosmosu pozostaje kluczowy. (MAZZ)

Koni żal. Choć nie wszystkim



Awantura o konie pracujące na szlaku do Morskiego Oka, jaka rozegrała się na posiedzeniu parlamentarnego zespołu ds. strategicznego rozwoju polskiego jeździectwa i hodowli koni, będzie mieć nieoczekiwane konsekwencje. Sprzeczne z tym, co chciały osiągnąć posłanki KO Jagna Marczułajtis i Joanna Kluzik-Rostkowska, które były inicjatorkami spotkania i które są za utrzymaniem konnego transportu. Do tej pory nikt się w Sejmie tą sprawą nie zajmował, a teraz się zacznie. Na fali oburzenia argumentacją swoich koleżanek (koń jest upiększeniem krajobrazu, potrzebuje ruchu, lubi pracować, górale kochają swoje konie bardziej niż swoje baby, konie ciągnące fasiągi są atrakcją dla turystów, a twierdzenie, że są przeciążone, to bzdury i histeria…) inne posłanki KO, Katarzyna Piekarska i Małgorzata Tracz, zapowiadają dyskusję na temat likwidacji transportu konnego na posiedzeniu parlamentarnego zespołu ds. ochrony praw zwierząt. – *Zaprosimy wszystkie strony, ale przedstawicieli przewoźników poproszę o przygotowanie konkretnych argumentów, bo na tym spotkaniu nic nowego nie usłyszeliśmy* – mówi Piekarska. – *Nie przedstawili żadnych wyliczeń, żadnych danych.*

Na posiedzenie zespołu „końskiego" zostali zaproszeni tylko przedstawiciele Stowarzyszenia Przewoźników do Morskiego Oka (to właśnie oni zwrócili się do posłanki Marczułajtis, że chcą zaprezentować parlamentarzystom swoje stanowisko), Tatrzańskiego Parku Narodowego, Polskiego Związku Jeździeckiego, dyrektor Wyścigów Konnych z Wrocławia i lekarze weterynarii, którzy co roku badają konie. Przedstawicieli Fundacji Viva!, od 10 lat walczącej o likwidację transportu konnego do Morskiego Oka, miało tam nie być. O spotkaniu dowiedzieli się od posłanek Piekarskiej i Tracz. I tylko dlatego mogli po raz pierwszy przedstawić w parlamencie swój raport „Konie z Morskiego Oka – Cierpienie, którego nie widać" podsumowujący dekadę walki o delegalizację konnego transportu na trasie Palenica Białczańska–Morskie Oko (POLITYKA pisała o tym jesienią 2023 r.).

Z danych zebranych przez Viva! wynika m.in., że **60 proc. koni** wycofanych z trasy do Morskiego Oka w latach 2012–22 zabito na mięso. Konie średnio wytrzymywały pracę na tej trasie przez 36 miesięcy i trafiały do rzeźni w wieku 11 lat. Z 1002 koni, które w ciągu 10 lat przewinęły się przez Morskie Oko, tylko **niecałe 3 proc.** wytrzymało w tej pracy 10 lat. – *Badania przeciążeń koni pokazują, że ciągną o ok. 1 tonę za dużo* – mówi Anna Plaszczyk z Fundacji Viva!

„Koński" zespół spotka się ponownie, bo przewodniczący, wiceminister sportu i turystyki Piotr Borys (KO), poprosił obie strony o listę koniecznych zmian w transporcie konnym do Morskiego Oka i zapowiedział, że zapozna się z raportem Viva! Na zakończenie posiedzenia przyznał, że sam jest zwolennikiem transportu elektrycznego. (AS)

Studia za granicą: gdzie chcą się uczyć młodzi Polacy

Jedną z rzadziej dyskutowanych i jednocześnie bardziej bolesnych konsekwencji brexitu jest powiększający się dystans pomiędzy kontynentalnym i brytyjskim światem edukacji. Ponieważ kandydaci na studia z krajów na kontynencie nie są już traktowani na równi z Brytyjczykami, znacząco wzrosło czesne, które muszą płacić za studia. Wcześniej, na mocy prawa unijnego, nie tylko czekały na nich niższe opłaty – mieli również dostęp do rządowych, nieoprocentowanych pożyczek studenckich wprowadzonych za czasów Tony'ego Blaira. System ten w dużej mierze umożliwił uczniom z mniej zamożnych krajów (w tym z Polski) edukację wyższą na Wyspach – pożyczkę dostawał bowiem każdy, bez względu na wybrany kierunek i uczelnię. Była ona w dodatku kredytem niekomercyjnym, bo jej wysokość waloryzowano jedynie o inflację, a spłacanie rozpoczynało się dopiero po wejściu na rynek pracy i osiągnięciu odpowiednio wysokich zarobków. Dzięki temu studia na najlepszych brytyjskich uniwersytetach stały się dla Polaków realne.



Według danych Polskiej Federacji Stowarzyszeń Studenckich w Wielkiej Brytanii liczba polskich studentów na Wyspach niemal podwoiła się pomiędzy 2014 i 2018 r. – z poziomu 3,7 do prawie 7 tys. osób. Wielu z nich kształciło się na prestiżowych placówkach; zarówno Oxford, jak i Cambridge miały trzycyfrowe liczby Polaków. To już odległa przeszłość, bo bez wsparcia ze strony brytyjskiego rządu nasi rodacy patrzą teraz na inne kierunki edukacyjne. Pożyczki i podniesienie czesnego – w niektórych przypadkach kilkukrotne, sięgające nawet 44 tys. funtów rocznie chociażby dla studentów medycyny, spowodowały, że licealiści znad Wisły chętniej wyjeżdżają do Danii, Szwecji, Holandii czy Norwegii, gdzie wciąż istnieją różne formy systemowego wsparcia dla studentów. Ci z kolei, dla których pieniądze nie są kwestią zaporową, śmielej patrzą na Stany Zjednoczone czy Singapur. Skoro amerykańskie studia kosztują już tyle, co brytyjskie, równie dobrze można spróbować także za oceanem.

Dla brytyjskiego sektora edukacji i nauki brexit okazał się katastrofą, choć jego pełne skutki będą widoczne dopiero w kolejnych latach. Już teraz widać jednak drastyczny spadek zainteresowania tamtejszymi uczelniami – na rok akademicki 2021/22, już po wyjściu z Unii, zapisało się 13 tys. nowych studentów z UE. Rok wcześniej było ich ponad 37 tys. Niedawno Wielka Brytania wyszła też ostatecznie z programu Erasmus+. Powód? Brak zainteresowania studentów i ich słabe kompetencje językowe. Nic dziwnego – mowa w końcu o kraju, w którym więcej osób zdaje teraz maturę z łaciny niż z języka niemieckiego. (MAZ)

Koalicja grilla i kanapy

Przemysław Sadura

Socjolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej.



Kto wygrał wybory? W deklaracjach polityków zwycięzców jest tylu, ile startujących komitetów. PiS zrobił najwyższy wynik i okopał się w swoim mateczniku. Koalicja Obywatelska zgarnęła całą premię za sukces, jaka przypadała koalicji 15 października. Trzecia Droga już bez głosów taktycznych potwierdziła wynik z jesieni. Przyczajona Konfederacja czeka na eurowybory, żeby skapitalizować inwestycję w protesty rolnicze. I tylko Lewica zasłania porażkę dobrym wynikiem Magdaleny Biejat. Prawda jest jednak taka, że wygrała absencja wyborcza.

Nie po raz pierwszy. Przez długie lata żyliśmy z niską frekwencją. Niechodzenie na wybory było wręcz naszym sportem narodowym (drugie wybory samorządowe to ledwie 33 proc., pierwsze eurowybory tylko 20 proc.). Wraz z wypalaniem się podziału postkomunistycznego spadało zainteresowanie rywalizacją o miejsca w parlamencie (frekwencja malała stopniowo z niecałych 63 proc. w 1989 r. do 40,5 proc. w 2005 r.). Większość wyborów w Polsce wygrywała Koalicja grilla i kanapy. Narzekaliśmy na niskie zaangażowanie obywateli. Fantazjowaliśmy o tym, jak nam rozkwitnie demokracja, gdy tylko ludzie polubią urnę wyborczą. W tym jednak czasie dokonaliśmy wyboru cywilizacyjnego, wchodząc do NATO i UE. Przebudowaliśmy gospodarkę i sferę publiczną.

Frekwencja zaczęła rosnąć i bić rekordy wraz z narastającą polaryzacją i rywalizacją między Polską Solidarną i Polską Liberalną. Prawie 54 proc. w 2007 r. i sukces Liberalnej, niemal 64 proc. w 2019 r. i zwycięstwo Solidarnej. Polaryzacja podnosiła frekwencję we wszystkich rodzajach wyborów. Kilka lat temu odsetek obywateli wybierający europosłów podwoił się, a radnych i gospodarzy miejscowości wybierało prawie 55 proc. z nas. Czy czas rosnącej frekwencji zapamiętamy jako złoty okres polskiej demokracji? Nie. Niczym gorączka okazała się ona symptomem choroby toczącej nasze demokratyczne instytucje. Choroby populizmu.

Prawie 75-proc. frekwencja w wyborach 15 października to był efekt silnego wkurzenia Polek i Polaków. Podwojenie liczby głosujących wśród najmłodszych, rekordową liczbę głosujących kobiet interpretowano jako kredyt zaufania dla nowego rządu. Jednak badania pokazywały, że ten kredyt to raczej jednorazowa pożyczka. W domach zostało zniechęcone przez Trzecią Drogę pokolenie Strajku Kobiet (specjalne podziękowania dla Szymona Hołowni) oraz spragnieni powrotu do normalności (czyt. do grilla i kanapy) Fajnopolacy. A tu niespodzianka. Za wcześnie odtrąbiono pokonanie smoka. Trzeba się będzie jeszcze pomęczyć.

Kilka dni temu mogło się wydawać, że frekwencja w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego spektakularna będzie tylko w jednym przypadku. Jeśli nada się im charakter polaryzującego plebiscytu w sprawie członkostwa Polski w Unii. Dziś już wiemy, że to najbardziej prawdopodobny scenariusz. Grają na niego PiS i Konfederacja, będzie musiała zagrać koalicja 15 października. Jak wybory są świętem demokracji, tak plebiscyt jest świętem populizmu. Nie takiego święta potrzebujemy. Wchodzimy na bardzo niebezpieczną ścieżkę. Wiemy, do czego doprowadziła ona mieszkańców Zjednoczonego Królestwa. Jednak za wcześnie na rekonwalescencję. Trzeba zmobilizować system immunologiczny i jeszcze raz podnieść temperaturę. Jeśli dla plebiscytu nie ma alternatywy, trzeba go wygrać, a energię społeczną podtrzymać do przyszłorocznych wyborów prezydenckich. Tylko ich korzystne rozstrzygnięcie może dać nam dłuższą przerwę w wojnie polsko-polskiej.

Śmierć na wojnie i wojna o słowa



Polskie wystąpienia po śmierci Damiana Sobóla były w pełni uzasadnione i bardziej wyważone niż stanowiska innych krajów, których obywatele także zginęli w ataku na konwój World Central Kitchen (WCK). Z kolei w Izraelu prezydent Izaak Herzog i szef sztabu armii gen. Herci Halewi szybko uznali atak za niedopuszczalny i przeprosili. Premier Beniamin Netanjahu wyraził jedynie żal w związku z „tragicznym wydarzeniem" i dodał, że „na wojnie takie rzeczy się zdarzają". Oczywiście, że się zdarzają: Polska po Nangar Khel wie to bardzo dobrze. Ale stwierdzenie takie sugeruje odmowę wzięcia odpowiedzialności za czyn, który miał przecież konkretnych sprawców – izraelskich wojskowych. W Polsce oliwy do ognia dolał ambasador Jaakow Liwne. On też nie przeprosił za atak, lecz w wypowiedzi na platformie X odniósł się do słów wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Bosaka, który zarzucił Izraelowi „zbrodnię wojenną".

Liwne przypomniał, że marszałek Bosak nie potępił rzezi dokonanej przez Hamas 7 października ub.r., która spowodowała obecną wojnę, a jego partyjny kolega Grzegorz Braun był sprawcą haniebnego ataku na obchody Chanuki w Sejmie. „Skrajna prawica i lewica w Polsce oskarżają Izrael o umyślne morderstwo we wczorajszym ataku – napisał Liwne. – Antysemici zawsze pozostaną antysemitami". Polska opinia publiczna zareagowała oburzeniem, a prezes PiS Jarosław Kaczyński zażądał, by ambasador został wydalony. Skończyło się na wezwaniu go do MSZ na rozmowę z wiceministrem Andrzejem Szejną, w której słowo „przepraszam" w końcu padło.

Ambasador miał oczywiście rację, gdy stwierdzał, że marszałek Bosak ma niewielką moralną wiarygodność, by krytykować Izrael, tyle tylko, że znów nie ma to nic do rzeczy. Potępienie jest zależne od natury czynu, a nie od moralnych przymiotów potępiającego. Czy odnosząc się do izraelskich reakcji na hamasowską rzeź, należało się skupić na faszystowskich poglądach izraelskich ministrów Becalela Smotricza i Itamara Ben-Gewira, których również potępili, czy też na powodach, dla których zasługuje ona na potępienie? Tym bardziej że zarzut zbrodni wojennej jest być może przedwczesny, ale nie bezzasadny, co wynika z raportu wyjaśniającego armii izraelskiej.

Wojskowi, którzy wydali rozkaz, nie wiedzieli jakoby, że atakują konwój humanitarny, choć jego trasa uzgodniona była z armią izraelską. Wiedzieli, że konwój WCK wjechał do magazynu, więc przynajmniej powinni byli dopuścić, że te same pojazdy opuszczające magazyn nadal są humanitarnym konwojem, nawet jeśli – jak stwierdza raport – „było ciemno". Niezależny sąd powinien ocenić, czy mieli świadomość, że atakują cywili, czy też z jakiegoś powodu nie przyszło im to do głowy. Innymi słowy, czy było to morderstwo czy zabójstwo. Pierwsze byłoby zbrodnią wojenną niewątpliwie, drugie – prawdopodobnie.

Niezależnie jednak od katastrofalnych wypowiedzi izraelskiego premiera i ambasadora, będących groźnym świadectwem oderwania części klasy politycznej Izraela od rzeczywistości, pozostaje faktem, że „na wojnie takie rzeczy się zdarzają" i nie budzą na ogół tak ogromnego potępienia. Kto dziś np. nadal się oburza czy choćby pamięta o omyłkowym zabiciu amerykańską rakietą, podczas ewakuacji Kabulu w sierpniu 2021 r., afgańskiego woluntariusza humanitarnego Zamairi Ahmadiego i dziewięciu członków jego rodziny, w tym siedmiorga dzieci?

Rację miał też ambasador, zwracając uwagę na rolę antysemityzmu w tym chórze potępienia – tyle że to dla Izraela żadne alibi. Jest to natomiast zagrożenie dla krajów, w których antysemityzm występuje: potępianie Żydów w Polsce np. za przewiny Izraela to jak – *mutatis mutandis* – potępianie katolików czy Polaków na Litwie za rządy Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli więc, jak stwierdził Radosław Sikorski, słowa Liwnego „już rozkręcają" antysemityzm, to odpowiedzialność za to spada nie na Liwnego, lecz na antysemitów w Polsce i tolerancję, jakiej doświadczają. To Sikorski powinien był dopowiedzieć.

KONSTANTY GEBERT

O ataku na konwój humanitarny World Central Kitchen na s. 42

Ukraina sięga po młodzież



Po niemal roku od rozpoczęcia prac w parlamencie ustawa obniżająca wiek poboru z 27 do 25 lat stała się w Ukrainie prawem. Politycy, z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim włącznie, unikali tego jak mogli, ale dłużej się nie da. Armia ukraińska, w której średni wiek żołnierza przekroczył 40 lat, stoi na skraju fizycznego i psychicznego wyczerpania i dramatycznie potrzebuje świeżej krwi. Ilu młodych mężczyzn pojedzie na front? Były naczelny wódz gen. Walerij Załużny żądał pół miliona rekrutów. Nowy głównodowodzący Ołeksandr Syrski mówi o znacznym zmniejszeniu tego pułapu.

Końcowy rezultat i tak zależy od skuteczności aparatu mobilizacyjnego i pobudzenia bojowego zapału tych Ukraińców, którzy do tej pory nie chcieli bić się na ochotnika. Wdrożony też zostanie przegląd zwolnień lekarskich, często wystawianych za łapówki. Według BBC uniknąć służby miało w różny sposób nawet 650 tys. potencjalnie do niej zdolnych, nie tylko najmłodszych Ukraińców, z których część znalazła się poza krajem. Przed sądami za mobilizacyjne wykroczenia stanęło niespełna półtora tysiąca. To pokazuje skalę wyzwania, a przecież od powołania do wysłania rekruta do walki minąć musi kilka miesięcy.

W Rosji oficjalnie żadnej mobilizacji nie ma, ale w praktyce nigdy nie ustała. Ma postać kupowania mięsa armatniego na tony, za miliony rubli. Brytyjscy analitycy wywiadu wyliczają, że co miesiąc Rosja rekrutuje 30 tys. nowych żołnierzy, co zapewnia jej stabilny dopływ siły żywej. Nawet jeśli połowa szybko ginie, armia Putina systematycznie rośnie, zwłaszcza że w Rosji mniej liczy się wyszkolenie. Na takie podejście czterokrotnie mniej ludna Ukraina pozwolić sobie nie może. Poszerzenie mobilizacyjnej bazy oznacza ubytek rąk do pracy w gospodarce, a także – co stanowi najbardziej dramatyczny wymiar wojny – mniejsze szanse na ludnościową odbudowę kraju po wojnie. Głębiej trzeba sięgać również po zachodnią pomoc zbrojną – ogłosił sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg, zapowiadając przejęcie od Stanów Zjednoczonych koordynacji wsparcia dla Kijowa. Sojusznicy mają przejrzeć zasoby, by dać Ukrainie więcej systemów obrony powietrznej i amunicji. Rosyjskie ataki z powietrza uszkodziły już 80 proc. systemu energetycznego kraju, a Moskwa ma szykować latem nową ofensywę lądową, na Charków. Na razie zdobywa tylko kolejne wioski w Donbasie, ale groźne zaczyna być to, że Ukraińcy coraz częściej muszą się cofać.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Słowacja nieliberalna

Niewiele już stoi na przeszkodzie, by Bratysława poszła ścieżką Budapesztu. Eurosceptyczny i prorosyjski obóz premiera Roberta Ficy zdobył właśnie pałac prezydencki. W połowie czerwca wprowadzi się do niego **Peter Pellegrini**, obecny przewodniczący parlamentu.

Konstytucja daje głowie państwa niewielkie, głównie honorowe prerogatywy i trochę niezależności, ale nawet z nich Pellegrini nie zamierza samodzielnie korzystać: wielokrotnie deklarował bezwarunkowe wsparcie dla polityki rządu. Jego zwycięstwo umożliwi ekipie Ficy budowę demokracji nieliberalnej, jak tę odmianę coraz częściej się nazywa, w tym przejęcie telewizji publicznej, zwiększenie kontroli nad organizacjami pozarządowymi i kwestionowanie reguły praworządności. A przy tym może rządzącym zapewnić bezkarność.

Pellegrini w drugiej turze pokonał byłego szefa dyplomacji, prozachodniego Ivana Korčoka. Przedstawiciela, jak mawia Fico, postępowych elit, wspieranych przez liberalną prasę i aktywistów, czyli sił będących dla Słowacji zagrożeniem. Korčokowi, w wieczór wyborczy wyraźnie rozczarowanemu, nie udało się przełamać tej narracji. Nie odpędził też oskarżeń o podżeganie do wojny poprzez wspieranie Ukrainy broniącej się przed rosyjskim najazdem.

Konkurent lepiej mobilizował wyborców, a słowackie media krytyczne wobec zwycięzcy piszą, że Pellegrini wygrał dzięki kłamstwom, sianiu strachu i nienawiści oraz paktowi z ekstremistami. Zadziałały obietnice pragmatycznej, wzorowanej na praktykach orbanowskich Węgier, polityki w Unii Europejskiej. Pomogły głosy skrajnej prawicy, mieszkańców wschodniej części kraju i mobilizowanej z Budapesztu mniejszości węgierskiej. Prezydent elekt zapowiada utrzymanie kierunku polityki zagranicznej, ale w Rosji cytuje się jego przestrogi o katastrofalnych skutkach zbrojenia Ukrainy i propozycję, by rozmowy pokojowe prowadzić w Bratysławie. Pellegrini wygrał przy 60-proc., bardzo wysokiej jak na Słowację, frekwencji. Tak mocna legitymacja obozowi Ficy posłuży jako kontra dla wychodzącej na ulicę opozycji i argument w sporze z Komisją Europejską, która premierowi zarzuca zamach na wartości demokratyczne.

Komu słonia?

Prezydent Botswany Mokgweetsi Masisi ogłosił, że przekaże do Niemiec 20 tys. słoni i dodał, że „to nie żart". Była to reakcja na inicjatywę niemieckiego ministerstwa środowiska, aby w ramach ochrony ginących gatunków zaostrzyć przepisy dotyczące sprowadzania egzotycznych trofeów myśliwskich. A akurat niemieccy myśliwi polujący w Afryce są najliczniejsi w Unii. Botswana z kolei ma najwięcej słoni na świecie, populacja rozrosła się do 130 tys. osobników, a sukcesy w ochronie gatunku zamieniły się w piętrowe kłopoty z nadmiarem. W największym Parku Narodowym Hwange żyje obecnie 55 tys. słoni. Aby utrzymać biorównowagę, powinno ich być nie więcej niż 15 tys. Tak jest wszędzie: słonie niszczą zbiory, ogałacają przyrodę (dorosły osobnik potrzebuje dziennie 200 litrów wody i 200 kg liści i kory), bywają agresywne i dochodzi do śmiertelnych wypadków. 8 tys. słoni udało się podarować Angoli, Mozambikowi



– 500, ale to kropla w morzu. Po pięciu latach zakazu przywrócono zgody na polowania (ok. 300 rocznie), to zresztą świetny interes, ale najpierw był covid, a teraz Europa planuje restrykcje. A podobno bez trofeum, które można zabrać do domu, polowanie traci sens.

Stąd ta nerwowość prezydenta Masisiego, który działa pod silną presją farmerów i okolicznej ludności. A dodatkowo, poza bliskimi sąsiadami, nie znajduje zrozumienia w Afryce, gdzie górę bierze stanowisko Kenii, iż każde złagodzenie restrykcji stanowi bezpośrednią zachętę dla kłusowników. Botswana chciałaby upłynnić olbrzymie zapasy kości słoniowej, ale i tu nikt nie chce pójść na rękę. Nic dziwnego, że kiedy przy trofeach zaczął też niedawno majstrować brytyjski parlament, rzucono pomysł, aby 10 tys. słoni przetransferować do Hyde Parku – niech londyńczycy przekonają się na własnej skórze, na czym polega skala problemu.

RAFAŁ KALUKIN



Bij mistrza

W wyborach na prezydentów miast wielu faworytów przedłużyło swoje kadencje, ale nie obyło się bez niespodzianek, a nawet sensacji.

Wielka polityczna polaryzacja akurat w tej samorządowej konkurencji nie ma aż takiego zastosowania. Ukształtował się za to inny podział: urzędujący prezydenci *versus* ich pretendenci z różnych stron, ale złączeni hasłem „bij mistrza". Najczęściej jednak życzeniowym, bo im dłużej taki prezydent rządzi, tym bardziej sprawdzonym wydaje się gospodarzem. Z kolei jego przemijającym niczym meteory, najczęściej jednorazowym konkurentom ubywa tym samym powagi i wiarygodności. Trudniej więc zdobyć władzę, niż ją potem utrzymać. Stąd fenomen wielokadencyjnych prezydentów, dla których nawet konieczność rywalizowania w drugiej turze może być sporą przykrością. Stosunkowo nieliczni przegrywali zresztą wybory. Częściej odchodzili z własnej woli, bo w końcu kiedyś trzeba powiedzieć „dość". Tak było niegdyś z Rafałem Dutkiewiczem i Tadeuszem Ferencem, a ostatnio też z długowiecznymi Jackami – Karnowskim i Majchrowskim.

Paradoksalnie wprowadzenie przez PiS dwukadencyjności osłabiło jednak ten trend. Bo decyzja o odejściu nigdy nie jest prosta, przeważnie poprzedza ją długie hamletyzowanie. Poprzednia większość w jakimś sensie wręcz zdjęła ciężar z barków włodarzy. Bo skoro po zmianie prawa została im już tylko jedna dozwolona kadencja, to po prostu trzeba zakasać rękawy i ją brać. Z jasną tym razem perspektywą, że to już ten ostatni raz.

Większość dotychczasowych włodarzy podeszła więc do wyborów kolejny raz, jak zawsze w roli faworytów. Dodatkowo sprzyjał im moment polityczny. Po wyborach 15 października partie nie miały głowy ani finansowych środków na kolejną kampanię. Pretendentów brano głównie z łapanek, nie dając im czasu na rozwinięcie skrzydeł. Ale już urzędującym prezydentom rekordowo krótka i rachityczna kampania nie szkodziła. Mieli dość narzędzi, żeby promować się nawet bez niej. Wystarczyło odpowiednio zaprogramować prace wydziałów promocji w urzędach miejskich, nasycić przestrzeń publiczną stosowną „informacją" o dokonaniach z ostatnich lat, zwiększyć częstotliwość gospodarskich wizyt w terenie. Realnej rywalizacji było w tym roku tyle, co kot napłakał.

Niestety ze szkodą dla dramaturgii starcia. Bo większość rezultatów można było przewidzieć już przed startem formalnej kampanii. A w końcu to pojedynki o prezydenturę w miastach tradycyjnie są głównym wabikiem w wyborach samorządowych. Donald Tusk i jego koalicyjni partnerzy zamiast tego próbowali odnowić energię obywatelską z 15 października, ale zderzyli się z oporem materii. Bo tym razem to właśnie w miastach – zwłaszcza wielkich, ponadpółmilionowych – odnotowano szczególnie dotkliwe spadki frekwencyjne. W porównaniu nie tylko z ostatnimi wyborami parlamentarnymi (co akurat było do przewidzenia), ale nawet poprzednimi samorządowymi.

WARSZAWA



Rafał Trzaskowski

57,41 proc.



Tobiasz Bocheński

23,10 proc.

W warszawskim sztabie Rafała Trzaskowskiego obawiano się takiego scenariusza. Panowało przekonanie, że kluczem do sukcesu prezydenta stolicy będzie frekwencja. Im wyższa, tym bardziej spychająca w dół wynik kandydata PiS Tobiasza Bocheńskiego, którego formacja ma w Warszawie szczególnie nisko zawieszony sufit. Trzaskowski nie był zatem nastawiony na rywalizację z innymi kandydatami, lecz mobilizowanie warszawiaków do wzięcia udziału w wyborach.

Zupełnie inaczej niż poprzednim razem, kiedy debiutując w samorządowej roli, ostro rywalizował z wystawionym przez PiS Patrykiem Jakim. Teraz zmagał się bardziej sam ze sobą. Miarą prawdziwego sukcesu Trzaskowskiego była wygrana w pierwszej turze, najlepiej z wyraźną nadwyżką. Bo zwycięstwo dopiero w dogrywce, choćby niezagrożone, byłoby już pyrrusowe w perspektywie przyszłorocznej batalii o wielki pałac. I chociaż po drodze nie brakowało nerwów, wygrał zdecydowanie: zdobywając 57,4 proc., nawet nieco poprawił swój wynik sprzed sześciu lat. Osobisty sukces wydaje się bezsporny, ale czy zaskakujący? Odsetek głosów oddanych na Trzaskowskiego w sumie odpowiada łącznemu poparciu, jakie uzyskały w Warszawie w ostatnich wyborach do Sejmu KO i Trzecia Droga. Ta ostatnia, jak wiadomo, popierała teraz Trzaskowskiego.

Konkurencja stanowiła w stolicy jedynie tło. Kandydat PiS Tobiasz Bocheński po prostu wziął swoje: 23 proc. to naturalny poziom poparcia tej partii w stolicy, bez sezonowych nadwyżek. Reklamowany jako „nowy Duda" młody polityk nie pokazał

jednak jakości. Najczęściej zacierał wizerunek pisowca, ale niczego w zamian nie zaoferował. Był pozbawiony wyrazu i energii, czym przykuwał uwagę jego poprzednik Patryk Jaki. Od poprzednich wyborów klimat polityczny też mocno się zmienił. Wtedy PiS był w ofensywie, a teraz lizał rany po oddaniu władzy. Wynik Bocheńskiego okazał się zresztą niższy nie tylko od osiągnięć Jakiego (28,5 proc.), ale też Jacka Sasina (blisko 28 proc. w pierwszej turze oraz 41 proc. w drugiej w 2014 r.) oraz równy z rezultatem Czesława Bieleckiego (23 proc. w 2010 r.). O ile więc Trzaskowski potwierdził w niedzielę rolę faworyta w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, o tyle Bocheński raczej wypadł ze stawki, wątpliwe, żeby Jarosław Kaczyński dał mu kolejną szansę.

Wybory warszawskie ważne też były dla Lewicy, która swoją ogólną słabość próbowała zamaskować udanym startem Magdaleny Biejat. Po cichu nawet liczono na prześlizgnięcie się do drugiej tury, ale skończyło się na trzecim miejscu. Wynik blisko 13 proc. (exit poll dawał więcej) nie jest powodem do wstydu, ale też nie na tyle duży, żeby wizerunkowo zrekompensować tęgie lanie w rywalizacji o sejmiki. Kiepska passa Lewicy dała o sobie znać również w Częstochowie. Rządzący „świętym miastem" jej flagowy do niedawna samorządowiec Krzysztof Matyjaszczyk zdobył zaledwie 30 proc. głosów, tj. dwa razy mniej niż w 2018 r. Czeka go teraz dogrywka z Moniką Pohorecką z PiS. I nawet jeśli wygra, rządzić będzie mu trudniej, gdyż klub Lewicy stracił aż połowę miejsc w radzie miejskiej.

Przypadek Bocheńskiego nie był odosobniony: kandydaci PiS w wielkich miastach wypadli dość marnie. A czasem wręcz fatalnie, czyli znacznie poniżej naturalnego poparcia dla formacji Kaczyńskiego. Czemu w sumie trudno się dziwić, skoro figury jako tako rozpoznawalne gremialnie odmawiały startowania i trzeba je było zastępować niemal bezimiennymi kaskaderami. Chyba że akurat był pod ręką jakiś „młody zdolny", którego można było przetestować, jak właśnie Bocheński, tudzież wystawiony w Krakowie Łukasz Kmita. Z jeszcze słabszym skutkiem, gdyż zebrał tylko 16 proc. Jego poprzedniczka sześć lat temu Małgorzata Wassermann dostała dwa razy tyle, zmuszając Majchrowskiego do wysiłku w drugiej turze.

I gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie było mniej więcej tak samo. We Wrocławiu Łukasz Kasztelowicz dostał niespełna 14 proc., czyli też dwa razy mniej od kandydatki PiS w 2018 r. Jeszcze słabiej wypadł Tomasz Rakowski w Gdańsku z 12 proc. A sześć lat temu w trudnym terenie Kacper Płażyński zdobył niemal 30 proc. głosów, wyciągając Pawła Adamowicza na dodatkową partyjkę w dogrywce. Fakt, że wiały mu wtedy w plecy silne propagandowe wiatry, a ówczesny prezydent Gdańska musiał jeszcze walczyć na dwa fronty, gdyż Platforma wystawiła przeciwko niemu Jarosława Wałęsę. Mimo wszystko debiut młodego Płażyńskiego był udany i dziś uchodzi za jednego z liderów młodego pokolenia prawicy. Znanemu do tej pory jedynie z rzecznikowania w Muzeum II Wojny Światowej Rakowskiemu raczej nie jest to pisane.

W Poznaniu Zbigniew Czerwiński prześlizgnął się do drugiej tury z 18 proc. poparcia, co na tle ogólnej bryndzy można uznać za sukces. Tym bardziej że akurat w stolicy Wielkopolski to się dotąd nie udawało kandydatom PiS. Ale w rywalizacji z Jackiem Jaśkowiakiem nie ma najmniejszych szans. Otoczenie obecnego prezydenta wręcz odetchnęło z ulgą, bo gdyby Czerwińskiego wyprzedził kandydat Trzeciej Drogi, wynik dogrywki wcale nie byłby przesądzony. W Łodzi Agnieszka Wojciechowska van Heukelom zdobyła 25 proc. i nieco poprawiła wynik Waldemara Budy sprzed sześciu lat. Ale dla niej kampania z kolei już się skończyła.

W miastach na ścianie wschodniej nie było dużo lepiej. W Rzeszowie Waldemar Szumny z 24-proc. rzutem na taśmę dostał się do drugiej tury. Nie wydaje się jednak, żeby zdołał zagrozić Konradowi Fijołkowi, do którego traci ponad 13 pkt proc., a rezerw za bardzo nie widać. W Białymstoku Henryk Dębowski zebrał 35 proc. głosów, ale i tak nie zdołał zatrzymać Tadeusza Truskolaskiego. Podobnie było z Robertem Derewendą w Lublinie: wynik przyzwoity, ale prezydentem pozostanie Krzysztof Żuk. W Zamościu ogromne problemy ma z kolei rządzący już od dwóch kadencji Andrzej Wnuk – formalnie niezależny, ale startujący z poparciem PiS, zwłaszcza osobistym Przemysława Czarnka. Bohater licznych w ostatnim czasie skandali nieznacznie jednak przegrał z popieranym przez Trzecią Drogę Rafałem Zwolakiem i o prezydenturze rozstrzygnie druga tura. Dużo lepiej poszło w Chełmie Jakubowi Banaszkowi, który wygrał już w pierwszej turze. Był kandydatem niezależnym, ale popieranym przez PiS i związanym z tym obozem więzami rodzinnymi, gdyż jego matka Anna jest od dwóch kadencji posłanką.

W wielkich miastach te wybory najczęściej przebiegały pod znakiem kontynuacji. W dziewięciu stolicach wojewódzkich dotychczasowi prezydenci zapewnili sobie reelekcję już w pierwszej turze. Pięcioro z nich wystartowało pod szyldem KO: o Trzaskowskim i Truskolaskim była już mowa, a trzeba jeszcze dodać Aleksandrę Dulkiewicz w Gdańsku, Hannę Zdanowską w Łodzi oraz Rafała Bruskiego w Bydgoszczy. Czterech kolejnych czempionów wystawiło z kolei własne komitety, które formacja Tuska mimo rozmaitych zaszłości zdecydowała się poprzeć. To *casus* wspomnianego już wcześniej Żuka, Piotra Krzystka w Szczecinie, Marcina Krupy w Katowicach oraz

WROCŁAW

II TURA



Izabela Bodnar

29,80 proc.



BEZPARTYJNY
(z poparciem KO)

Jacek Sutryk

34,33 proc.

Arkadiusza Wiśniewskiego w Opolu. Ten ostatni wykręcił niebywały wręcz wynik 75 proc., chociaż ciekawszy jest przypadek Krupy. Namaszczony w 2018 r. przez swojego poprzednika Piotra Uszoka pierwszą kadencję wygrał z poparciem PiS, a teraz posiłkował się KO. Nigdy zresztą nie wchodząc w bliższe relacje z jedną ani drugą stroną, to jedynie wymiana zużytego akumulatora na świeżo naładowany. Oto Polska samorządowa właśnie… ▶

© MP (4)

▶ Sześciu kolejnych prezydentów czeka jednak dogrywka. Platformerski Jaśkowiak w Poznaniu oraz niezależny Fijołek w Rzeszowie raczej mogą czuć się pewniakami. A już dla również niezależnego Jacka Wójcickiego z Gorzowa, któremu do większości zabrakło w niedzielę ułamka procenta, będzie to wręcz formalność. Komfortu zazdrościł mu pewnie sąsiad zza miedzy Janusz Kubicki. Kiedyś wygrywał w Zielonej Górze z poparciem PO, potem jednak drogi się rozeszły i ich relacje zrobiły się napięte. Toteż KO postanowiła wystawić własnego kandydata Marcina Papierowskiego, który wyprzedził Kubickiego o blisko 7 pkt proc. i to on będzie faworytem w drugiej turze. Podobnie w Toruniu, gdzie pięciokadencyjny już prezydent Michał Zaleski (niezależny) stracił blisko 12 pkt proc. do zgłoszonego przez KO Pawła Gulewskiego.

Donald Tusk ma powody żałować, że zablokował kolejny taki scenariusz w dużo bardziej prestiżowym Wrocławiu. W końcu Michał Jaros z KO aż przebierał nogami, żeby rzucić wyzwanie prezydentowi Jackowi Sutrykowi. I dosyć skąpe sondaże pokazywały, że nie jest bez szans. Tyle że Tusk wyraźnie Jarosowi nie sprzyjał. Trochę w tym było osobistej niechęci, bo wrocławianin był kiedyś związany z Grzegorzem Schetyną, a potem przesiadł się do Nowoczesnej. Ale więcej chyba było asekuracji: faworytem mimo wszystko pozostawał Sutryk, a Tusk w pierwszej kolejności zabezpieczał się przed przegranymi. KO bez entuzjazmu poparła więc słabnącego prezydenta (podobnie zresztą jak Lewica). Co niewiele ostatecznie dało: wytworzyła się swoista próżnia, którą nieoczekiwanie zagospodarowała Izabela Bodnar z Trzeciej Drogi. Z 30 proc. poparcia co prawda przegrywa z Sutrykiem o niecałe 5 pkt proc., ale to strata do odrobienia, a rozkład poparcia wydaje się jej sprzyjać. Zresztą już przedwyborcze symulacje dawały w takim wariancie wyraźną przewagę Bodnar. Jej zwycięstwo byłoby mimo wszystko jedną z większych sensacji tych wyborów.

Chociaż oczywiście nie tego kalibru, co szokujący upadek Wojciecha Szczurka. To w końcu jeden z samorządowych gigantów, postać wręcz symboliczna. Po raz pierwszy został prezydentem Gdyni w 1998 r., wtedy jeszcze z wyboru rady miasta. Potem już stawał do wyborów bezpośrednich i zawsze wygrywał w pierwszej turze. Regularnie przekraczając 80 proc., w szczytowym momencie dobijając do 87. Ale w ostatniej kadencji coś się zaczęło psuć, być może prezydent przegapił właściwy moment na odejście. Tyle że długo starał się nie dostrzegać kryzysu, a chyba do końca wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Tym większym szokiem było teraz 23,5 proc. poparcia i dopiero trzecie miejsce. Takich upadków polityka samorządowa chyba jeszcze nie widziała. W drugiej turze kandydat KO Tadeusz Szemiot będzie walczył teraz o głosy z lokalną kandydatką Aleksandrą Kosiorek. Na razie ta ostatnia zachowuje blisko 9 pkt proc. przewagi i wydaje się bliższa zwycięstwa. Jeśli jej się powiedzie, Trójmiasto raz jeszcze pokaże, że w przecieraniu politycznych szlaków nie ma sobie równych. Byłaby to przecież teraz metropolia trzech prezydentek: Dulkiewicz, Kosiorek oraz Magdaleny Czarzyńskiej-Jachim, która z poparciem swojego poprzednika Jacka Karnowskiego rozstrzygnęła rywalizację w Sopocie już w pierwszym terminie.

GDYNIA

II TURA



Aleksandra Kosiorek

34,43 proc.



Tadeusz Szemiot

25,85 proc.

KIELCE

II TURA



Agata Wojda

33,63 proc.



Marcin Stępniewski

25,05 proc.

Nie wszędzie kontynuacja była jednak możliwa. Trzech prezydentów wojewódzkich miast zrezygnowało przecież z kandydowania. Rządzący Olsztynem Piotr Grzymowicz z KO namaścił na następcę Roberta Szewczyka, który zgodnie z planem wygrał pierwszą turę z blisko 33 proc. poparcia. W drugiej zmierzy się z niezależnym Czesławem Małkowskim. To jedna z najdziwniejszych karier samorządowych. Kiedyś działacz PZPR, później prezydent miasta z SLD. Oskarżony o gwałt na podwładnej i molestowanie paru kolejnych znalazł się w areszcie, ale stanowiska wciąż nie chciał oddać i zostało mu ono odebrane dopiero w wyniku referendum. Po wieloletnim procesie został jednak uniewinniony, a z utratą prezydentury nigdy się nie pogodził. W trzech ostatnich wyborach przechodził do drugiej tury, ale zawsze przegrywał z Grzymowiczem. Teraz powalczy z faworytem Grzymowicza.

W Kielcach zwolniło się z kolei miejsce po Bogdanie Wencie. Znany głównie z kariery sportowej i trenerskiej chyba nie miał głowy ani serca do rządzenia, źle sobie radził z konfliktami. A że nie zdążył w strukturze samorządowej okrzepnąć i nikogo nie próbował namaszczać, jego odejście całkiem uwolniło pole. W tej sytuacji dała o sobie znać logika wielkiej polaryzacji

Dosyć nieoczekiwanie i wyraźnie wygrała pierwszą turę z ponad 33-proc. poparciem była wiceprezydent Agata Wojda, reprezentująca KO i szefowa sztabu KO w wyborach parlamentarnych, bardziej jednak kojarzona z działalnością społeczną w ruchach miejskich. Jej rywalem będzie teraz kandydat PiS Marcin Stępniewski ze stratą ponad 8 pkt proc.

Ale 21 kwietnia opinia publiczna przede wszystkim będzie żyć rozgrywką o Kraków. Budzącą najwięcej emocji już od chwili rezygnacji sprawującego tam władzę od pięciu kadencji Jacka Majchrowskiego. Początkowo siłą rozpędu wysforował

KRAKÓW

II TURA



Aleksander Miszalski

37,21 proc.



Łukasz Gibała

26,79 proc.

się na czoło peletonu lokalny radny i biznesmen Łukasz Gibała, który od dekady zbijał kapitał na bezpardonowej krytyce prezydenta. I to on długo wydawał się jedynym pewniakiem do drugiej tury, zapewne też jej faworytem. Starającemu się nadrobić stracony dystans posłowi KO Aleksandrowi Miszalskiemu szło dosyć niemrawo, aż na finiszu stała się rzecz nieoczekiwana: niemal z dnia na dzień obaj zamienili się nie tylko kolejnością, ale też poziomem poparcia. I teraz to Miszalski z 37 proc. wydaje się faworytem, podczas gdy tracący ponad 10 pkt proc. Gibała musi gonić. Wynik wciąż trudno jednak przewidzieć, gdyż linia podziału przed drugą turą jest mało klarowna, szczególnie z powodu enigmatyczności samego Gibały. Nie wiadomo więc, jak zachowają się wyborcy kandydatów, którzy właśnie odpadli.

Trzęsienie ziemi pod Wawelem nie wzięło się jednak znikąd. W tygodniu poprzedzającym głosowanie wreszcie można było poczuć prawdziwy smak kampanii. I to właśnie w Kraków zainwestował swój czas i energię premier Tusk, aktywnie wspierający kandydata KO. Z wielu pewnie względów: prestiżu miejsca, ale też chybotliwej i podatnej na odkształcenia hierarchii, słabości rywali. Spektakularny efekt pokazuje, jak wiele może zmienić aktywna, dobrze adresowana kampania. Szczególnie w sytuacji, kiedy wcześniej prawie jej nie było. Teraz, przed drugą turą, zrozumieli to zapewne wszyscy pozostający w grze kandydaci i popierające ich komitety. Dogrywka będzie bardzo interesująca.

RAFAŁ KALUKIN

Sejmikowa rozgrywka

WOJCIECH SZACKI


ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

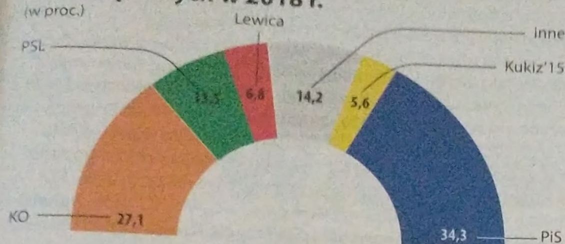
PiS wygrał sejmikowe wybory w zsumowanych wynikach, ale nie obroni swojego stanu posiadania. Koalicja rządząca zyskała, lecz o ostatecznym podziale województw zdecydują szczegółowe rezultaty i zawierane koalicje.

O godz. 21 w niedzielę 7 kwietnia telewizje podały wyniki badania *exit poll* firmy IPSOS dotyczące wyborów do sejmików, a więc tych najbardziej zbliżonych do rywalizacji o Sejm.

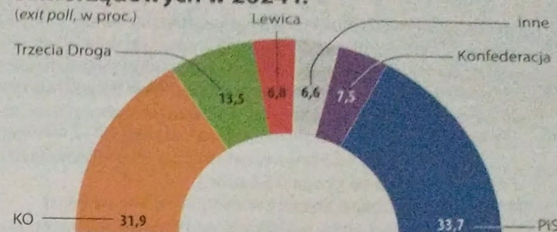
Wygrał PiS (33,7 proc.) przed KO (31,9 proc.). Trzecie miejsce, podobnie jak w wyborach 15 października, zajęła Trzecia Droga (13,5 proc.). Na dalszych miejscach doszło do zmiany – Konfederacja (7,5 proc.) minimalnie wyprzedziła Lewicę (6,8 proc.). Spośród komitetów ogólnopolskich najsłabiej wypadli Bezpartyjni Samorządowcy z wynikiem 2,7 proc.

To był jednak tylko sondaż, ostateczne wyniki zaczęły spływać w poniedziałek, ale PKW nie podała ich wszystkich przed zamknięciem tego numeru POLITYKI. Nie znaliśmy też podziału mandatów, a więc w przypadku kilku województw, w których rywalizacja była najbardziej zacięta, trudno było oszacować, kto weźmie władzę w sejmiku i jakie koalicje powstaną

Poparcie dla partii politycznych w wyborach samorządowych w 2018 r.
(w proc.)



Poparcie dla partii politycznych w wyborach samorządowych w 2024 r.
(*exit poll*, w proc.)



Podział sejmików wojewódzkich w 2018 r.



Prawdopodobny podział sejmików wojewódzkich w 2024 r.



* W TYCH WOJEWÓDZTWACH WYGRAŁO PIS, ALE ZSUMOWANE GŁOSY KO I TD DAJĄ PRZEWAGĘ KOALICJI

(ewentualnie – do jakich transferów poszczególnych radnych dojdzie).

Te wyniki, które pojawiły się na stronie PKW, w kilku przypadkach różniły się o kilka punktów w porównaniu z sondażem *exit poll*, a nieoficjalne symulacje podziału mandatów zwiastowały ciekawe rozstrzygnięcia w niektórych regionach. Na Podlasiu – gdzie sejmik liczy 30 radnych – PiS wprowadził 15 radnych, a partie koalicji 15 października – 14. Tym trzydziestym radnym będzie Stanisław Derehajło z Konfederacji, wcześniej działacz Porozumienia Jarosława Gowina, który nie należy podobno do grona największych sympatyków PiS. Na Podlasiu może więc dojść do pata, który nie byłby zresztą niczym nowym w tym województwie (w 2007 r. z powodu niemożności wyboru władz doszło tu nawet do przedterminowych wyborów).

Negocjacjami w regionach zajmą się teraz politycy, w tym liderzy ogólnopolscy. Zanim nastąpią te rozstrzygnięcia, warto się natomiast zastanowić, co wynika z tych rezultatów i jaki kształt sceny politycznej wyłania się z tego boju o sejmiki.

Frekwencja – to już oficjalne dane PKW – wyniosła prawie 52 proc. Niby mało, zwłaszcza jeśli spojrzymy na rekordowy wynik z wyborów parlamentarnych w 2023 r. (prawie 75 proc.). Z drugiej strony – zaledwie drugi raz w historii wyborów lokalnych głosowała w nich ponad połowa Polaków (rekord to 54,9 proc. w 2018 r.).

Dane o frekwencji na poziomie województw mówią co nieco o genezie dobrego wyniku PiS. Sześć najbardziej zmobilizowanych regionów to woj. mazowieckie, świętokrzyskie, łódzkie, lubelskie, małopolskie i podkarpackie, a więc raczej tereny, na których mocny jest PiS.

Koalicja zwycięska, ale niezupełnie

Pierwszy rzut oka na wyniki w skali ogólnopolskiej prowadzi do wniosku, że – mimo wyraźnej demobilizacji części elektoratu z 2023 r. – otrzymaliśmy mniej więcej to samo co w październiku. Zsumowane poparcie dla KO, Trzeciej Drogi i Lewicy minimalnie przekracza 50 proc. i zapewnia bardzo wyraźną przewagę nad PiS (a nawet nad teoretycznym sojuszem PiS i Konfederacji).

Koalicja Obywatelska będzie zapewne rządziła – czy ściślej: współrządziła – w większości z 16 sejmików (poprzednią kadencję zaczynała z ośmioma województwami, potem udało jej się zmienić układ sił na Dolnym Śląsku, a tuż przed wyborami także na Śląsku). Teraz do zasobu KO i jej partnerów (głównie z Trzeciej Drogi) dojdzie zapewne województwo łódzkie, a zwycięstwa na Śląsku i Dolnym Śląsku są przekonujące. Euforii w KO (i u jej partnerów z rządu) jednak zabrakło, bo apetyty przed wyborami były znacznie większe. Miało być wyraźne zwycięstwo nad PiS i zdobycie nawet 14–15 sejmików. Potem te huraoptymistyczne nastroje hamowały, ▶

Wieś poszła głosować

Ze szczegółowych danych firmy Ipsos (badanie na zlecenie TVN, Polsatu i TVP) wynika, że frekwencja wyborcza na wsi w głosowaniu do sejmików (54 proc.) była wyższa niż w miastach, niezależnie od ich wielkości. **Najwyższe poparcie na wsi miał PiS (43,2 proc.)**, o ponad 3 pkt proc. więcej niż w wyborach samorządowych w 2018 r. Drugie miejsce na wsi zajęła KO z wynikiem 20,6 proc. (wzrost z 15,5 proc. w ostatnich wyborach lokalnych), a trzecia była Trzecia Droga (15,5 proc.).
KO wygrała natomiast wybory wśród mieszkańców miast, i to niezależnie od liczby mieszkańców. W metropoliach (miasta powyżej 500 tys.) KO zdobyła prawie 50 proc. głosów, poparcie dla PiS wyniosło natomiast 20 proc. Zwraca uwagę ponadprzeciętnie dobry wynik Lewicy (13,2 proc.).
Ciekawe są także dane dotyczące wieku – wybory do sejmików nie zmobilizowały wyborców do 29. roku życia (w tej grupie frekwencja nie osiągnęła nawet 40 proc.), najchętniej głoso- natomiast Polacy w wieku 50–59 lat (ponad 60 proc.). W tej gr- wyraźnie wygrał PiS z poparciem ponad 38 proc.
Z sondażu wynika także, że PiS wygrał z KO zarówno wśród mę- czyzn, jak i wśród kobiet (choć tu wynik był bardzo bliski rem- Tradycyjnie natomiast niższe poparcie PiS miał wśród osób z wy- szym wykształceniem (w tej grupie KO wygrała 39 do 22 proc.).
Partia Kaczyńskiego wciąż ma natomiast bardzo wierny elekto- rat. Prawie 90 proc. jej wyborców z października 2023 r. popar- kandydatów PiS w głosowaniu sejmikowym. W przypadku KO było to 75 proc., Konfederacji 64 proc., a Lewicy 57 proc. **Najwię- cej własnych wyborców straciła Trzecia Droga** – tylko połow- jej elektoratu z wyborów parlamentarnych zagłosowała teraz na tę formację w samorządowych, a co czwartego wyborcę Trze- ciej Drogi przejęła Koalicja Obywatelska. Ubytki te częściowo zre- kompensował przypływ nowych wyborców, którzy nie głosowa- w październiku 2023 r.

▶ ale oczekiwania były na pewno większe niż końcowy rezultat.

Włodzimierz Czarzasty na wieczorze wyborczym Lewicy szczerze przyznał, że to są najtrudniejsze wybory dla tej formacji, a Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz mniej lub bardziej wprost skrytykowali Lewicę za psucie atmosfery w koalicji (był to przytyk także w stronę Donalda Tuska). Lider Koalicji Obywatelskiej Donald Tusk również nie wydawał się zachwycony wynikami wyborów do sejmików, a w swoim przemówieniu na wieczorze wyborczym skupił się raczej na zwycięstwach kandydatów KO w potyczkach prezydenckich w miastach. W krótkiej rozmowie z TVN24 wspomniał, że frekwencję obniżyła zapewne piękna pogoda, a w powyborczy poniedziałek napisał na platformie X: „Co cieszy? Systematyczne odrabianie strat: w 2018 siedem punktów, w 2023 pięć, dzisiaj – dwa. Rekordowe zwycięstwo w miastach. Przewaga w sejmikach. Co martwi? Demobilizacja, szczególnie wśród młodych, porażka na wschodzie i na wsi. Wniosek dla nas? Nie marudzimy! Do roboty!".

Na to niby zwycięstwo, niby porażkę koalicji rządowej w wyborach do sejmików można spojrzeć także z nieco innej perspektywy. Owszem, wynik jest porównywalny z tym z października, ale okoliczności całkiem inne. Na początku roku KO wyprzedziła PiS w sondażach partyjnych, a notowania Trzeciej Drogi wyraźnie przekraczały 15 proc. Z tej premii dla zwycięzców wyborów parlamentarnych dziś zostało niewiele.

Z jednej strony można domniemywać, że dla wielu wyborców dawnej demokratycznej opozycji stawka głosowania 7 kwietnia była zbyt mała, żeby pofatygować się do urn, mowy nie było o wielkich i skutecznych kampaniach profrekwencyjnych. Ale swoją rolę odegrały też zapewne błędy rządzących – publiczne kłótnie o liberalizację prawa aborcyjnego, niespieszne spełnianie przedwyborczych obietnic i niespecjalnie udane obchody studniówki rządu Tuska. Trochę energii uleciało z rządzących i wygląda na to, że wyborcy też to dostrzegli.

Bardzo dobry wynik KO nie powinien bowiem przysłaniać kryzysu Trzeciej Drogi (wynik gorszy w wyborach samorządowych niż w parlamentarnych, a to przecież zawsze była koronna konkurencja PSL), a także fatalnej dyspozycji Lewicy. Te wybory do sejmików to pierwsze ostrzeżenie dla rządzących w tej kadencji i zarazem wskazówka, że eurowybory będą niełatwe.

Kaczyński cytuje Twaina

W niedzielny wieczór nastroje w PiS były znacznie lepsze. Partia Jarosława Kaczyńskiego świętowała, bo jeszcze niedawno nie miała większych oczekiwań. Politycy – po utracie władzy i kontroli nad mediami publicznymi – obawiali się porażki z KO, spadnięcia w rozgrywce sejmikowej poniżej progu 30 proc. i utraty władzy wszędzie poza Podkarpaciem. A taka klęska mogłaby wstrząsnąć partią i podważyć przywództwo prezesa na prawicy.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło, a w części regionów PiS wypadł nawet lepiej niż w 2018 r. (np. na Podlasiu i w woj. lubelskim). Działacze na wyścigi próbowali więc załapać się do telewizyjnego kadru z przemawiającym prezesem, a jednym ze zwycięzców tego wyścigu był eksprezes TVP Jacek Kurski, zabiegający o start w eurowyborach z list PiS.

Kaczyński na wieczorze wyborczym kpił – nawiązując do znanego cytatu z Marka Twaina – że pogłoski o śmierci PiS są przedwczesne. Podkreślił, że to już dziewiąte zwycięstwo wyborcze PiS z rzędu (nieprzerwanie od kampanii samorządowej w 2014 r. PiS zbiera najwięcej głosów w skali kraju).

„Zwycięstwo powinno być dla nas zachętą do pracy, do rozbudowy partii i tworzenia wielkiej koalicji, która przejmie władzę w Polsce. Ten wynik pokazuje, że dziś w wyborach parlamentarnych być może moglibyśmy uzyskać wyraźnie więcej, moglibyśmy być może nawet zdobyć władzę. W Polsce bardzo dawno nie było tyle zła, tyle różnego rodzaju fatalnych działań władzy, z jakimi mamy do czynienia dzisiaj. Polska nie może iść tą drogą, na którą w tej chwili wpycha ją Donald Tusk. To jest nie do przyjęcia dla naszej przyszłości, to jest nie do przyjęcia dla naszej teraźniejszości" – mówił prezes.

Czy koalicja, o której wspomniał Kaczyński, odnosi się do sytuacji w sejmikach? PiS w tych regionach, w których wygrał, nie będzie raczej potrzebował koalicjantów, ale politycy PiS przekonują, że chodzi o działania długofalowe i zbudowanie zdolności koalicyjnej w układzie z Konfederacją lub PSL.

– *Za parę lat to może być inna Konfederacja i inny PSL. A i my się zmieniamy* – przekonuje poseł PiS. Jego zdaniem PiS wypadł tak dobrze, bo rząd słabnie pod ciężarem zbyt wielu niespełnionych obietnic, a zwolennicy PiS pozostają zmobilizowani.

Ale i to kwietniowe zwycięstwo PiS jest niepełne. Tak niska frekwencja nie powtórzyłaby się w wyborach parlamentarnych (ani prezydenckich), a z ośmiu sejmików, w których PiS rządził na początku 2019 r., zostaną zapewne cztery lub pięć.

WOJCIECH SZACKI



Czy oni jeszcze wrócą?

Mamy już niezagrożoną demokrację, ze zwyczajowymi sporami i krytyką władzy, czy nadal obowiązuje stan nadzwyczajny? Trwa właśnie, zwłaszcza w mediach społecznościowych, debata na ten temat, a wynik wyborów samorządowych stał się ważnym argumentem.

MARIUSZ JANICKI

Niedawno Donald Tusk napisał na platformie X kilka zdań, które rozpaliły dyskusję do czerwoności: „Tym, którzy bezinteresownie odważyli się kilka lat temu wystąpić przeciw kłamstwom i złodziejstwu władzy, należy się szacunek. Szczególnie od tych, którzy na współpracy z tą władzą nieźle zarabiali. Wiecie, o czym mówię". Ten wpis, choć brzmi enigmatycznie, został odebrany w konkretnym kontekście. Chwilę wcześniej Wirtualna Polska opublikowała artykuł o tym, że prokurator Ewa Wrzosek, pisząc pod koniec

zeszłego roku wnioski mające zneutralizować działania pisowskiej jeszcze prokuratury wobec świeżo przejętej TVP, korzystała z pomocy zewnętrznej kancelarii prawniczej. Wrzosek tłumaczyła się tym, iż próbowała uniknąć ścieżki, którą mogliby zablokować prokuratorzy lojalni jeszcze wobec ministra Ziobry. Napisała na X: „Czy można poświęcić dobro o niższej wartości, aby uratować dobro o wyższej wartości przed bezpośrednim niebezpieczeństwem?".

Wielu użytkowników X wytknęło dziennikarzowi WP, że wcześniej relatywizował różne działania ziobrystów; przypomniano też dawniejsze związki portalu ze środowiskiem ówczesnej Solidarnej Polski, rolę żony Zbigniewa Ziobry Patrycji Koteckiej w konsultowaniu tekstów oraz „aferę Krzysztofa Suwarta", fikcyjnego podobno dziennikarza tego serwisu, który przeprowadzał miłe rozmowy z politykami z kręgu Ziobry.

Tama puściła. Jakby Tusk, nie używając szczegółów, wezwał wszystkich zainteresowanych do apelu. Z paroma wyjątkami odezwali się ci, co zawsze, w tym „konsultanci" rządu Morawieckiego ujawnieni w mailach Dworczyka. Jeden z nich bronił autora tekstu w WP, powołując się na pryncypia czwartej władzy, która ma być przede wszystkim obiektywna. To była akurat niedźwiedzia przysługa, bo wzbudziła w mediach społecznościowych żarty i kpiny. A także uwagi, że publicyści wcześniej słabo znani z przejmowania się stanem praworządności w państwie, mający swoje programy w pisowskich mediach oraz stałe miejscówki w samolotach Dudy i Morawieckiego, nadal są goszczeni w różnych telewizjach, gdzie głównie pochylają się nad krzywdami PiS.

Pojedynczy przypadek podgrzał całość. W mediach społecznościowych od pewnego czasu trwa wojna pomiędzy „piątą władzą", jak czasami nazywają siebie użytkownicy platformy X, a grupą dziennikarzy, przedstawicieli „czwartej władzy", krytykowanych za konformizm w czasach PiS, normalizowanie dawnej antydemokratycznej władzy, a teraz za lekceważenie zagrożenia powrotem Zjednoczonej Prawicy do rządzenia. Wzywani do raportu dziennikarze odpowiadają, że nie mogą wspierać żadnej partii, nie zamierzają być „kibolami", w domyśle – jak ich adwersarze.

W tej dyskusji, ważnej dla opiniotwórczego krajobrazu, widać jeszcze jedną warstwę: jak daleko można się posunąć w obronie demokratycznych wartości, czy od dziennikarza można wymagać, aby intelektualnie ogarniał całość spraw państwa, a nie tylko swojego notesu; czy PiS i partie demokratyczne należy traktować tak samo, choć wiadomo, choćby z gróźb Kaczyńskiego, co oznaczałby powrót prawicy do rządzenia? „Piąta władza" ostro krytykuje specyficzny medialny formalizm każący np. traktować walkę z praworządnością na takich samych zasadach jak wysiłki o jej przywrócenie. Według „radykalnych demokratów" z X wiele mediów znów gra charakterystyczną, „obrzydzającą" melodię: komisje śledcze się kompromitują, Pegasus to żaden demoniczny program, co wyjaśnili pewnej gazecie byli funkcjonariusze CBA, Brejzę podsłuchiwano jako potencjalnego przestępcę, a nie jako szefa sztabu opozycyjnej partii, zaś prezes Kaczyński podczas przesłuchania wypadł rewelacyjnie. Do Ziobry włamano się nielegalnie, przejęcie TVP, prokuratury i kierownictw sądów było w najlepszym razie wątpliwe, prezydent Duda jest źle traktowany przez premiera, choć się stara, a Tusk na czele koalicyjnego rządu nie dotrzymał wyborczych obietnic Platformy...

Wniosek: dać już spokój z „zemstą", bo to podsyca wojnę polsko-polską, nie drażnić i nie przesadzać, bo się ludzie Kaczyńskiego odwiną, a opozycja ma swoje prawa, trzeba PiS odpuścić, bo ma wiernych wyborców, „którzy nie znikną". To zjawisko zauważył Jarosław Kuisz, pisząc niedawno w „Rzeczpospolitej": „Rząd Donalda Tuska dociągnął do 100 dni, tymczasem wielu prodemokratycznych polityków i niezależnych komentatorów dokonywało podsumowań, jak gdyby niekonstytucyjnych brewerii poprzednich ośmiu lat w ogóle nie było". Odebranie władzy PiS jest traktowane jako ostateczne załatwienie sprawy, skończenie tematu tej partii. Bo przecież podobno dobro pokonało zło, Donald Tusk wypełnił obietnicę życia, Europa znowu powitała Polskę w swojej rodzinie. Można więc już „regulaminowo" rozliczać obecnie rządzących i dać już spokój opozycji.

Ta przedwczesna euforia zwycięstwa, przekonanie, że okres polskiej wersji populizmu został zalakowany i odłożony do archiwum, na pewien czas ogarnęła też obóz władzy. Tuż przed wyborami samorządowymi Przemysław Szubartowicz zauważył: „W obozie władzy dominuje wiara, że wszystko jest już rozstrzygnięte. Tymczasem ta iluzja już dziś mści się na koalicji rządzącej, której poparcie nadmiernie nie rośnie, (...) a fala wysokiej frekwencji może zamienić się w tsunami rozczarowania".

Wizja ostatecznego zwycięstwa miała swój marketingowy cel: demobilizację i demotywację przeciwnika, rozproszenie jego wyborców. Przez wiele lat z tej metody korzystał PiS, prezentując brutalność i wizerunek naturalnego hegemona. Tyle że partia Kaczyńskiego sama siebie nie oszukiwała, przynajmniej do czasu ostatniej fazy kampanii parlamentarnej w 2023 r., kiedy instynkt politycznego zabójcy ją zawiódł. Wcześniej stosowała żelazną zasadę: mów, co trzeba, ale w to nie wierz. Jednak pod sam koniec Kaczyński uległ własnej propagandzie i dlatego musiał oddać rządy. Pytanie: w którą stronę zmierza dzisiejsze myślenie nowej władzy? Czyli na ile przekaz o końcu PiS jest instrumentem panowania nad nastrojami, a w jakim stopniu autentycznym przekonaniem. To pierwsze by się jeszcze broniło, to drugie byłoby dla koalicji krytycznym zagrożeniem. Z dwóch podstawowych powodów.

Wciąż nierozstrzygnięta rywalizacja. PiS wciąż jest główną, w zasadzie jedyną siłą opozycyjną, co pokazały także dobitnie wybory samorządowe, które PiS znowu formalnie wygrał. A w każdym układzie politycznym liczy się realna alternatywa. W Polsce jest to wciąż PiS i „armia zapasowa", czyli Konfederacja. Z premii jedyności PiS skorzystał w 2015 r., a przecież po okresie 2005–07 wydawało się, że Kaczyński jest skreślony. Jednak przy zmianie społecznych nastrojów przepływ sympatii następuje w kierunku tego ugrupowania, które jest pod ręką. Wtedy przestają się liczyć dawne przewiny, bo ważna jest chęć ukarania rządzących. Jak pokazuje praktyka, w polityce nie ma czegoś takiego jak ostateczny upadek moralny partii, jakaś powszechnie przyjęta niedopuszczalność głosowania na nią. W historii III RP zdarzył się przypadek SLD, który po aferze Rywina stracił grubo ponad połowę wcześniejszego poparcia i już nie wrócił do wielkiej gry. Ale to było w czasach, kiedy antykryzysowy marketing w partiach nie był jeszcze tak rozwinięty. AWS z kolei rozsypywała się już na długo przed wyborami w 2001 r., podobnie zresztą jak Unia Wolności. Nie ma porównania z PiS, który wygrał nie tylko wybory parlamentarne, ale także – jeśli chodzi o sejmiki – samorządowe. ▶

▶ Teraz, zachęcony sukcesem, Kaczyński będzie próbował stworzyć własną „wielką koalicję", jak już zasugerował (z Konfederacją?), a jeszcze przed wyborami Morawiecki kilka razy zwracał się do Trzeciej Drogi z różnymi propozycjami. Publicyści prawicowi mówią, że sojusz TD z PiS wystarczyłby do przewrócenia sceny politycznej, wymiany premiera i rządu.

PiS się nie rozpada. To powód drugi. Pogłoski o rozłamach w ugrupowaniu Kaczyńskiego nie mają większych podstaw, zwłaszcza po ostatnich wyborach. To, że politycy Suwerennej Polski kłócą się z PiS i nawzajem obrażają, zresztą od dawna, nie ma wpływu na trwałość partii matki. Morawiecki zaś nie odejdzie z PiS, dopóki będzie miał jakąkolwiek nadzieję na zastąpienie Kaczyńskiego. A nikt inny nie ma potencjału rozłamowego, byłaby to niezauważalna secesja. Andrzej Stankiewicz napisał w Onet: „wszyscy gracze w PiS wiedzą, że kto przejmie po Kaczyńskim partię, będzie w przyszłości grać o najważniejsze stanowiska w państwie". Publicysta przyznaje tym samym, że ugrupowanie Kaczyńskiego nadal jest jedynym prawicowym kanałem do władzy w państwie – i ma rację.

Nie widać chętnych do popełnienia dawnych błędów Ziobry, Kurskiego, Bielana, którzy w 2011 r. zdecydowali się na odejście, założyli kanapową partyjkę, a potem wracali do Kaczyńskiego na kolanach. Teraz lider PiS pozbierał się po traumatycznym oddaniu władzy, zwalczył na razie syndrom rozzłoszczonego „dziadzi", jak go zaczęto określać w *socialach*, znowu mocniej złapał cugle w partii. To on będzie rozdawał karty w wyborach europejskich, a potem w prezydenckich. Ewentualne ucieczki z obozu Zjednoczonej Prawicy są możliwe po 2025 r., gdyby – już pod prezydentem z koalicji – ruszył na dobre walec zmian, rozliczeń i rugowania PiS z wszelkich pozycji. Do tego czasu nikt raczej nie opuści swojego miejsca na widowni, choćby z czystej ciekawości.

Dostrzegalny jest w części koalicji rządzącej, a zwłaszcza wśród dziennikarzy, pogląd, że teraz ma być już zwyczajnie. Niech się wreszcie ujawnią różnice programowe, naturalne w koalicji kłótnie i nieuprzejmości, bo takie jest życie polityczne w demokracji, skończmy wreszcie z szantażowaniem „powrotem PiS", uwolnijmy się mentalnie od tej toksycznej partii.

W pewnym stopniu można zrozumieć takie podejście. Przez długie osiem lat trwał czerwony alarm, wszystko było podporządkowane walce o standardy praworządności, zasady ustrojowe, prawa obywatelskie. Reformy różnych dziedzin publicznego życia były odkładane na czas po odsunięciu PiS od władzy, co się w końcu stało. Dlatego teraz słychać: PiS już nie rządzi, trzeba zająć się tym, czego wcześniej się nie robiło, żeby nie dawać wyborczego paliwa Kaczyńskiemu. Pojawia się zarzut, że znowu „straszy się PiS-em", że nadal zmusza się do demonstrowania sztucznej jedności, zamiast otworzyć wreszcie prawdziwą debatę, zrobić konkurs projektów i twórczo się spierać.

Problem w tym, że zagrożenie dla ustroju państwa ze strony PiS nie minęło. Przewaga sił demokratycznych nad partią Kaczyńskiego nie powiększyła się od 15 października, a dodatkowe sejmiki dla koalicji po ostatnich wyborach nie zmieniają istotnie obrazu całości. Wszystkie powody, które kazały nowej koalicji przez pierwsze tygodnie po jesiennych wyborach zachować lojalność i jedność, nadal istnieją. To prawda, że do kolejnych wyborów parlamentarnych jest jeszcze daleko, ale liczy się bieżąca, mierzona sondażami legitymacja rządu. Żeby wprowadzać radykalne zmiany, a przywracanie państwa prawa takich wymaga, obóz władzy musi mieć poczucie przewagi nie tylko w Sejmie, lecz także wśród wyborców. Dlatego wiele wskazuje na to, że wciąż jest za wcześnie na ogłoszenie „normalnej demokracji", uruchomienie rutynowych konfliktów, których personalnych rozgrywek, złośliwości, wewnątrzrządowych szantaży, konfrontacyjnego ścierania się programów.

Zwolennicy tezy, aby już nie przejmować się PiS, twierdzą, że trzeba odwołać alarm właśnie po to, aby skuteczniej walczyć z Kaczyńskim. Taki pogląd pojawił się już podczas rządów Zjednoczonej Prawicy, wtedy także mówiono, że trzeba się awansem spierać o wizję Polski po PiS, pokazywać różne opcje, bo ta różnorodność zachęci wyborców. A jednak zwycięstwo nad Kaczyńskim pojawiło się dopiero wtedy, gdy wyborczy sojusz opozycji – trzeba przyznać, że w świetnie dostrzeżonym momencie, co zaskoczyło przeciwników – wyrównał szereg, wygasił napięcia i swary, poszedł w jednym, nadzwyczaj zwartym bloku. Zwolennicy opozycji właśnie to docenili, dostrzegli w tym nową wartość, której wcześniej im brakowało; to stąd pojawiła się wielka frekwencja. Głosowanie „taktyczne" na inne partie było dowodem na to, że najważniejszym celem było pokonanie PiS. Wygrały jedność i wartości, a nie „atrakcyjne" podziały.

Uzyskana przewaga nad PiS na polu demokratycznej symboliki była decydująca. Teraz zaś „zwyczajne rządy" nie spowodują trwałej marginalizacji PiS, bo to wciąż nie jest zwyczajna partia i już raczej nie będzie. To nadal, a nawet jeszcze bardziej, obcy element wobec demokratycznego ustroju mimo wszystkich kamuflaży, zmyłek i tzw. ociepleń, na co tyle razy nabierali się zarówno niezaawansowani wyborcy, jak i zaawansowani publicyści. Nie da się uprawiać normalnej polityki, ignorując fakt, że 30 proc. sceny politycznej (a nie 10–15 proc.) wciąż zajmuje tzw. nieliberalna demokracja, niekompatybilna z zachodnioeuropejskim systemem. Tu się nic nie zmieniło, PiS jest tym samym, kiedy był u władzy i kiedy jest w opozycji.

Jeżeli rządząca koalicja nie powróci do wzajemnej lojalności z pierwszych powyborczych tygodni, nie wypromuje wspólnych, dużych projektów społecznych, nie wypracuje stałych, roboczych konsultacji i bardziej intensywnych form komunikacji (brak rzecznika rządu jest tu charakterystyczny), zacznie mieć kłopoty. Podobieństwo do innych rządów III RP w końcu może okazać się rozczarowujące. Dla wielu wyborców dawnej opozycji, a dzisiaj rządzących, nadal trwa stan alertu. Oczekują konsekwencji, sprytu, rządów nadzwyczajnych, a nie rutynowych – przebiegłej skuteczności w starciu z PiS, które wciąż trwa. Marazm, amatorszczyzna, nieporadność, głupie wypowiedzi, nietrafione nominacje działają zniechęcająco, nawet jeśli kredyt zaufania wciąż jest duży. Tusk chyba to czuje, skoro powiedział niedawno, że „nic nie jest jeszcze poukładane".

Przed koalicją rządzącą stoi oczywiste według politycznych prawideł zadanie odnowienia wizerunku, powrotu do legendy październikowej drużyny. Recydywa rządów PiS odebrałaby sens całej demokratycznej rewolucji. Istota wyborów 15 października polegała na tym, aby partia Kaczyńskiego w istniejącej postaci już nigdy nie odzyskała władzy. Jedni ten priorytet akceptują, inni mniej albo w ogóle – o to także toczy się po niepisowskiej stronie ważny, może najważniejszy spór.

MARIUSZ JANICKI

Słodka trucizna

Jednorazowe e-papierosy to plaga wśród dzieci i młodzieży. Czy planowany zakaz sprzedaży coś da, skoro istniejące od dziewięciu lat regulacje, zabraniające sprzedaży tzw. endsów z tytoniem małoletnim oraz przez internet, są nagminnie i bezkarnie łamane?

AGNIESZKA SOWA

Na każdym kroku widać szaleńczą popularność wśród dzieciaków tych kolorowych gadżetów przypominających pisaki czy markery, z których jednak, wychodząc ze szkoły, wypuszczają kłęby pary o zapachu gumy balonowej, mango czy ananasa. Być może część tych wapów to smakowe, beznikotynowe warianty, a te nie są objęte zakazem sprzedaży nieletnim. Ale wiele z nich zawiera nikotynę, nierzadko więcej niż dozwolone przez ustawę 20 mg w 1 ml.

Ministra zdrowia Izabela Leszczyna chce, żeby resort w porozumieniu z Ministerstwem Finansów rozpoczął prace nad zakazem sprzedaży elektronicznych papierosów jednorazowych (zob. ramka obok), wybierając jak najszybszą ścieżkę, bo – jak twierdzi – aż 64 proc. młodych ludzi miało z nimi kontakt. Najlepiej byłoby wprowadzić zakaz jeszcze przed wakacjami, bo to czas, kiedy jednorazówek sprzedaje się najwięcej.

100 milionów

Awantura o jednorazówki wybuchła, gdy Instytut Prognoz i Analiz Gospodarczych – fundacja naukowa uważnie przyglądająca się szarej strefie w polskiej gospodarce – opublikował raport dotyczący rynku jednorazowych

Endsy i podgrzewacze

E-papierosy (Endsy – ang. Electronic Nicotine Device). Elektroniczne urządzenie dostarczające nikotynę. Podgrzewają płyn z nikotyną (liquid), z którego wytwarzana jest para. Są produkowane już od 20 lat.

Jednorazówki – e-papierosy, których nie można uzupełnić liquidem ani naładować baterii. W zależności od producenta jednorazówka to odpowiednik 1,5 do nawet 3 paczek tradycyjnych papierosów. Na ogół podana jest liczba zaciągnięć, np. 600, 800 czy nawet powyżej tysiąca. Eksperci alarmują, że młodzi ludzie potrafią zużytkować jednorazówkę w trakcie jednej imprezy, dostarczając do organizmu ogromną dawkę nikotyny. Najwięcej sprzedaje się słodkich smaków, owocowych, napojowych, słodyczowych.

Liquid – płyn do uzupełniania e-papierosów. Składa się zazwyczaj z glikolu propylenowego, gliceryny, aromatów oraz nikotyny w różnym stężeniu. Po podgrzaniu w e-papierosie zamienia się w parę, którą wydmuchują miłośnicy wapowania.

Podgrzewacze tytoniu – odpowiedź koncernów tytoniowych na e-papierosy. Urządzenia te podgrzewają tytoń do wysokiej temperatury, nie ma zatem procesu spalania i wytwarzania kancerogennych związków, jakie są obecne w dymie tytoniowym.

Waper – użytkownik e-papierosów od ang. vape (wdychać parę).

e-papierosów w Polsce. I chociaż popularność bajecznie kolorowych wapów widać gołym okiem, to szacunki Instytutu przeszły wszelkie wyobrażenia – 100 mln sztuk sprzedanych w 2023 r. Jeżeli te szacunki są wiarygodne, oznaczają, poza wszystkim innym, tony plastiku i elektrośmieci.

100 mln jednorazówek to dwukrotnie więcej niż raportuje firma badawcza Centrum Monitorowania Rynku (CMR). Niepokojąca jest nie tylko ilość, lecz przede wszystkim dynamika wzrostu sprzedaży. Instytut szacował, że rok wcześniej sprzedano 32,3 mln sztuk. Szybsze tempo wzrostu podaje CMR: w ciągu roku skok z 16 do 54 mln.

Autor raportu Instytutu Prognoz i Analiz Gospodarczych Jacek Fundowicz tłumaczy, że tak duża rozbieżność szacunków wynika z tego, że CMR monitoruje dużą część kanałów dystrybucji rynkowej tych wyrobów, ale nie wszystkie. Więc Instytut oszacował sprzedaż jednorazówek także na stacjach benzynowych, w specjalistycznych sklepach dla waperów, czyli użytkowników e-papierosów i podgrzewaczy tytoniu, oraz przede wszystkim w internecie. Gdzie – jak oceniają – sprzedawanych jest aż 60 proc. jednorazówek. W dodatku sprzedaż w sieci jest szarą strefą. Większość sprzedawców unika płacenia podatków. To spora strata dla budżetu państwa. Ekonomiści szacują, że polski rynek jednorazowych e-papierosów wart jest ok. 2 mld zł.

Ministerstwo Finansów i Krajowa Administracja Skarbowa przeprowadziły w minionym roku 919 kontroli. Jedna trzecia wykazała nieprawidłowości: w ich trakcie ujawniono ok. 4,5 mln mililitrów liquidów do e-papierosów bez zapłaconej akcyzy.

Efektem kontroli – jak twierdzą przedstawiciele ministerstwa – jest zauważalny spadek ujawnień w punktach sprzedaży nielegalnych płynów do e-papierosów, a także prawie 100-proc. wzrost dochodów z akcyzy. W 2022 r. było to ok. 230 mln zł, a w zeszłym roku już ok. 440 mln zł.

Skąd wiadomo, że użytkownikami jednorazówek są w dużej mierze dzieci i młodzież? Tzw. twardych dowodów poza tym, co wszyscy widzimy na co dzień, nie ma. Są jednak badania sondażowe. I wynika z nich, że e-papierosy to najpopularniejsza używka nikotynowa wśród młodzieży w wieku szkolnym.

Stowarzyszenie Walki z Rakiem Płuca Oddział Szczecin w końcówce 2023 r. odpytało w tej kwestii 342 uczniów starszych klas szkół podstawowych oraz szkół średnich, w przedziale wiekowym 13–19 lat, przy czym 80,1 proc. ankietowanych stanowili niepełnoletni. Do codziennego używania przyznaje się blisko połowa uczniów (47,6 proc.), co piąty kupuje e-papierosy jednorazowe – głównie ze względu na szeroką dostępność oraz atrakcyjne słodkie smaki.

Cukierkowa używka

Już trzy lata temu badanie przeprowadzone na zlecenie rzecznika praw dziecka przez Instytut Badań Pollster pokazało rosnącą popularność e-papierosów wśród dzieci i młodzieży: ich używanie deklarowało 23 proc. młodych w wieku 16–19 lat. Z badań dla RPD wynikało również, że nastolatki nie mają większego kłopotu z zakupem e-papierosa mimo zakazu ich sprzedaży osobom nieletnim.

– *Nikotyna niszczy rozwijający się dziecięcy mózg* – podkreśla prof. dr hab. Witold A. Zatoński, internista, epidemiolog i ekspert zdrowia publicznego, wieloletni kierownik Zakładu Epidemiologii i Prewencji Nowotworów w Centrum Onkologii w Warszawie, dyrektor Instytutu – Europejskie Obserwatorium Nierówności Zdrowotnych na Uniwersytecie Kaliskim. Przywołuje amerykańskie badania naukowców z University of Nebrasca, którzy ustalili, że narażone na e-papierosy i/lub inne wyroby tytoniowe dzieci w wieku 9–10 lat, wybrane ze zróżnicowanych społeczno-ekonomicznie i etnograficznie środowisk, wykazywały znaczące i trwałe zaburzenia funkcji poznawczych. A badania rezonansu magnetycznego mózgu uczestników narażonych na nikotynę w dzieciństwie – m.in. zmniejszenie objętości kory mózgowej, a także znaczne zmniejszenie objętości istoty białej. Ustalenia te są zgodne z wynikami badań przedklinicznych wykazujących, że nawet ograniczona ekspozycja na nikotynę w okresie rozwoju mózgu u nastolatków może prowadzić do długotrwałych deficytów funkcji poznawczych i rozregulowania funkcji kory czołowej.

– *Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że nikotyna ma związek z epidemią depresji i kryzysem zdrowia psychicznego u dzieci i młodzieży* – mówi prof. Zatoński.

O popularności jednorazówek najlepiej świadczy wzrost liczby wydanych zezwoleń na wprowadzenie do obrotu. W 2020 r. Urząd ds. Substancji Chemicznych wydał zgodę na wprowadzenie do obrotu 87 papierosów jednorazowych. W 2023 r. było to już 4430 zezwoleń. W równie ▶

▶ szybkim tempie rośnie liczba wariantów smakowych: pięć lat temu było ich zaledwie 18, a w 2022 r. można było kupić jednorazowe endsy w 2283 smakach! Najpopularniejsze wśród młodzieży są smaki owocowe, napojowe i słodyczowe.

Jednorazówki są atrakcyjne wizualnie, słodko smakują i pachną. – *Ta infantylna, kolorowa, owocowo-cukierkowa forma jest wyraźnie skierowana do najmłodszych klientów* – mówi Jacek Fundowicz. Do tego jednorazówki nie są drogie: koszt to ok. 30 zł. Nie trzeba inwestować w drogi sprzęt do wapowania, ładowarkę, grzałki, liquidy. Wydaje się, że rzeczywiście zakaz sprzedaży jednorazówek może ograniczyć popularność e-papierosów wśród dzieci i młodzieży. Taki zakaz wprowadzono właśnie w Wielkiej Brytanii. A Chiny, największy producent jednorazowych e-papierosów (95 proc. światowej produkcji), zabroniły u siebie sprzedaży tych produktów.

Fikcyjne zakazy

– *My jesteśmy za zakazem* – mówi Piotr Zieliński, prezes stowarzyszenia Vaping Association Polska (VAP), zrzeszającego polskich przedsiębiorców z branży elektronicznych papierosów oraz płynów do elektronicznych papierosów. – *Te produkty psują wizerunek całej branży. Tylko żeby się nie okazało, że mimo zakazu dalej będzie sprzedaż w internecie.*

Tak jest w tej chwili. E-Liq, Cloudshop, Shishasklep, Jaramyto – wymieniać można długo. Każdy z tych internetowych sklepów i dziesiątki innych wyślą do domu lub do paczkomatu elektroniczną jednorazówkę z nikotyną czy liquid do endsów wielokrotnego użytku. Zakupy bez problemu może zrobić dziecko, nawet jeżeli niektóre internetowe sklepy pytają klienta, czy ma ukończone 18 lat.

W Warszawie prokuratura prowadziła ok. 40 spraw w związku z naruszeniem ustawy o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych, wszystkie poza jedną dotyczyły reklamy e-papierosów na portalach społecznościowych, która także jest zakazana. Tylko jedna, warunkowo umorzona – sprzedaży przez internet.

Najwyraźniej nie ma pomysłu, jak ukrócić ten internetowy handel i zapewne po wprowadzeniu zakazu sprzedaży jednorazowych e-papierosów nadal da się je kupić w e-sklepach. Więc może zamiast nowych zakazów należałoby się zastanowić, jak egzekwować te już obowiązujące?

Tymczasem rząd pracuje już nad kolejnym zakazem – sprzedaży aromatyzowanych podgrzewanych wyrobów tytoniowych. Polskę zobowiązuje do tego dyrektywa unijna. Wiceminister zdrowia Wojciech Konieczny, cytowany przez „Dziennik Gazetę Prawną", informuje, że prace nad ustawą ruszyły, a projekt trafi niedługo do parlamentu.

– *Jeżeli ten zakaz wyprzedzi zakaz sprzedaży jednorazówek, użytkownicy aromatyzowanych podgrzewaczy prawdopodobnie przerzucą się na jednorazowe smakowe e-papierosy* – mówi Jacek Fundowicz.

Chyba że pojawią się w sprzedaży specjalne aromatyzowane wkładki, tak jak było to w przypadku tradycyjnych papierosów. Gdy zakazano sprzedaży papierosów mentolowych, ruszyła sprzedaż kart, które umieszcza się w pudełku papierosów i po krótkim czasie stają się one mentolowe. Lub owocowe, bo takie też są. Można też zastosować kulki smakowe, które umieszcza się w filtrze papierosa za pomocą wykałaczki lub specjalnego aplikatora.

Być może dlatego wapujący Amerykanie w siedmiu amerykańskich stanach, w których zakazano sprzedaży aromatyzowanych e-papierosów, przerzucili się na papierosy tradycyjne, co pokazują badania naukowców z Yale, Uniwersytetu w Missouri i Georgetown.

Groźna krucjata

– *Zakaz jednorazówek to zasadny kierunek działania prozdrowotnego* – mówi prof. Andrzej Sobczak ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego i Zakładu Szkodliwości Chemicznych i Toksykologii Genetycznej Instytutu Medycyny Pracy i Zdrowia Środowiskowego w Sosnowcu, który od kilkunastu lat bada e-papierosy, a wcześniej zajmował się szkodliwością dymu tytoniowego. – *Ale niepokoi mnie to, że dyskusja przekształca się w krucjatę przeciw waporyzatorom.*

Prof. Sobczak zwraca uwagę, że problem e-papierosów nie jest zero-jedynkowy – to, co szkodzi młodym, może pomóc dorosłym. Przedstawianie wyłącznie negatywnej strony e-papierosów stygmatyzuje ten produkt w społeczeństwie jako bardziej szkodliwy niż papierosy, a tak nie jest. Przywołuje stanowisko 15 byłych prezydentów największego amerykańskiego towarzystwa naukowego z obszaru tobacco control Society of Research on Nicotine and Tobacco: „Wierzymy, że potencjalne korzyści używania e-papierosów (zamiast papierosów), mogące uratować życie dorosłym palaczom, zasługują na uwagę w równym stopniu jak ryzyko, jakie stwarzają dla młodych ludzi".

W Wielkiej Brytanii komunikatowi o wprowadzeniu zakazu jednorazowych waporyzatorów ze względu na ochronę przed ich bardzo szkodliwymi skutkami dla zdrowia dzieci towarzyszyły zapewnienia sekretarz zdrowia i opieki społecznej Victorii Atkins o tym, że w ramach rządowego programu dorośli palacze w Anglii będą mieli dostęp do zestawu do waporyzacji wraz ze wsparciem behawioralnym, które pomoże im rzucić nałóg i poprawić wyniki zdrowotne. Także ministra zdrowia Andrea Leadsom i premier Rishi Sunak podkreślali, że e-papierosy czy podgrzewacze tytoniu są przydatnym narzędziem pomagającym dorosłym palaczom rzucić ten nałóg. Tak się dzieje w Anglii w przypadku 50–70 tys. osób rocznie.

– *Dym tytoniowy to najbardziej szkodliwa substancja, jaką można sobie wyobrazić* – mówi prof. Zatoński. – *W Polsce tradycyjne papierosy pali 7 mln ludzi. 500–700 tys. wapuje. Im to prawdopodobnie ratuje życie. Nie można nie brać ich pod uwagę.*

E-papierosy i podgrzewacze tytoniu nie są jedynymi nośnikami nikotyny. W nikotynowej terapii zastępczej u dorosłych stosuje się nikotynę w tzw. snus (szwedzkiej formie tytoniu do żucia), gumach, plastrach, drażetkach, inhalatorach, tabletkach podjęzykowych. Łącznie w Polsce sprzedaje się ponad 2 mln opakowań tych preparatów rocznie.

Są jednak tacy, którzy gumy do żucia czy plastrów nie chcą zaakceptować. Prof. Zatoński wspomina kilkunastu swoich pacjentów, którzy już by nie żyli, gdyby się nie przestawili na e-papierosy. On także jest przerażony popularnością smakowych jednorazówek wśród dzieci i młodzieży, ale obawia się, że jeden zakaz nie rozwiąże problemu. – *Potrzebujemy strategicznego programu edukacji i ochrony zdrowia w tym zakresie, takiego, jaki był w latach 90., w efekcie którego zachorowalność na raka płuc u mężczyzn w średnim wieku (45–64 lata) zmniejszyła się ponadtrzykrotnie.*

AGNIESZKA SOWA



Na wojennej kładce

NORBERT FRĄTCZAK

Kładka dla pieszych i rowerów stała się głównym tematem finiszu kampanii samorządowej w Warszawie. Spacerowicze są zachwyceni, ale internet zapłonął ze złości. Podobna burza wisi nad Krakowem. A sam charakter kłótni jak najbardziej ogólnopolski.

Bezimienny jeszcze most łączy dwa brzegi Warszawy. Po lewej stronie jest Powiśle z bulwarami wiślanymi i ul. Karową. Po prawej – Praga ze szlakiem na Wybrzeżu Helskim i ul. Okrzei.

To dwunasty most w stolicy, ale pierwszy dostępny tylko dla pieszych i rowerzystów. Jest jedną z najdłuższych tego typu przepraw na świecie – ma 452 m. Pieszo pokona się go w sześć minut, rowerem – w dwie. Chyba że jest tłoczno: wtedy trzeba zsiąść z jednośladu, bo nie ma tu dla nich wydzielonego pasa. Obowiązuje bezwzględne pierwszeństwo pieszych i ograniczenie prędkości – jak w strefie zamieszkania.

Gdy spojrzeć na most z góry, ma kształt błyskawicy, z załamaniami w dwóch punktach. W najszerszym ma prawie 17 m. Jest tu przestrzeń do odpoczynku – drewniana ściana z siedziskami i podświetleniem. 28 marca, gdy go otwierano, przyszły tłumy. Urzędnicy, dziennikarze, zwykli spacerowicze, cykliści – raczej prowadzący rowery niż na nich jadący – i uliczni grajkowie. Słowem: deptak. Tylko że przerzucony nad rzeką.

– Od otwarcia przychodzimy tu codziennie, żeby oglądać zachód słońca. Jest spektakularny – mówią reporterowi POLITYKI Krzysztof i Małgorzata, mieszkający niedaleko. Przechadzają się właśnie od jednej barierki do drugiej, podziwiając panoramę. Doceniają ciszę i widok na Starówkę. Cieszą się, że nie ma tu oddzielnego ▶



pasa dla rowerzystów, bo przynajmniej nie będą czuć się tak pewnie, żeby pędzić.

– *Teraz, gdy tłum już zelżał, upewniłem się, że to naprawdę fajne miejsce* – to z kolei pan Łukasz, który wolałby co prawda, żeby podesty z ławkami były skierowane w drugą stronę, z widokiem na most Świętokrzyski i Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego, ale zachód słońca też go zadowala. No i wejścia na kładkę – zauważa – mogłyby mniej kolidować ze ścieżkami rowerowymi.

Naoczni świadkowie zdają się więc zadowoleni. W sieci natomiast standardowo wybuchła inba. Padają określenia: „kładka znikąd donikąd", „kolejna wtopa Trzaskowskiego", „mokry sen libków" (czyt. liberałów). Narzeka się na cenę (na razie wiadomo o 121 mln zł, ale po trwających jeszcze rozliczeniach z wykonawcą koszt będzie zapewne wyższy), lokalizację („nie ma żadnej wartości dla codziennej komunikacji"), a nawet na to, że kładka „jest po prostu kładką". „Tak naprawdę nie wpływa na jakość życia lub dalszy postęp. (…) Ma ładnie wyglądać" – napisał na portalu X jeden aktywista.


Kładka Bernatka w Krakowie.

Dobry początek

Tymczasem nim stała się głównym tematem finiszu kampanii samorządowej w Warszawie, kładka miała być po prostu kładką. Wszystko zaczęło się w 2014 r. od pracy magisterskiej Małgorzaty Dembowskiej, ówcześnie absolwentki Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, za którą dostała szereg nagród. „Most jako przedłużenie miasta, przestrzeń publiczna z kilkoma knajpami. Wtedy oprócz funkcji komunikacyjnej mógłby też służyć jako miejsce docelowe spotkań przez cały rok" – w taki sposób przedstawiała swoją koncepcję Dembowska w rozmowie ze stołeczną „Gazetą Wyborczą" dwa lata później.

Zachęcona pozytywnymi komentarzami młoda architektka w 2015 r. założyła na Facebooku profil Kładką Na Pragę. W jego prowadzenie włączyły się znana aktywistka miejska Joanna Erbel i modne Centrum Praskie Koneser, co znacząco podbiło zasięgi. Do inicjatywy dołączały kolejne osoby – zrobiło się głośno.

Ekipie prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz, która rządziła wtedy stolicą, pomysł także się spodobał. Szczególnie że kładka miała kosztować miasto jedynie… 30 mln zł. „To stosunkowo nieduża, wręcz jubilerska inwestycja, która ma szanse być jedną z wizytówek Warszawy" – mówił ówczesny wiceprezydent Rafał Wojciechowski.

Projekt kładki ujrzał światło dzienne w 2017 r. i już wtedy wzbudził kontrowersje. „Wykluczenie" kierowców, położenie „znikąd donikąd", postawienie funkcji rekreacyjnej ponad komunikacyjną, strome podjazdy – wiele z nich podnoszonych jest także dziś.

Sama Dembowska ocenia dziś kładkę jako udaną, ale ma nadzieję, że to dopiero początek zmian w tym rejonie stolicy. Jej zdaniem także sąsiednie ulice – Okrzei i Ząbkowska oraz Karowa, prowadząca do Krakowskiego Przedmieścia – powinny zamienić się w deptak. – *I choć Praga wymaga pilnych remontów, to wbrew pozorom największe wyzwania czekają miasto na Powiślu. Nawet po wyznaczeniu przejścia dla pieszych Wisłostrada dalej pozostanie barierą, ten problem drogi szybkiego ruchu odcinającej Warszawę od Wisły od lat pozostaje nierozwiązany. Ulicę Karową tak naprawdę trzeba wymyśleć od nowa, bo dziś jest tu szpital i ogrodzony teren infrastruktury wodno-kanalizacyjnej. Warto się zastanowić, jak te funkcje połączyć z budynkami o charakterze miastotwórczym* – mówi POLITYCE.

Wojujący od lat z Platformą w Warszawie aktywista Jan Śpiewak orzekł na X: „Trzaskowski tą kładką otwiera oczy niedowiarkom. Pokazuje, że można wybudować nawet coś tak prostego jak most pieszorowerowy i tak to dokumentnie spartolić". Narzekał, że „przeprawa po obu stronach kończy się ruchliwą drogą bez żadnej integracji z miastem, a ruch rowerowy nie jest odseparowany w żaden sposób od pieszego".

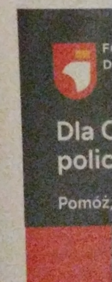
– *Co do braku integracji z miastem, to się za chwilę zmieni* – przekonuje Jacek Grunt-Mejer, pełnomocnik stołecznego ratusza ds. rewitalizacji. I dodaje, że warszawski Zarząd Dróg Miejskich już pracuje nad projektem przebudowy ul. Okrzei na Pradze. Lewą stronę miasta też czekają zmiany – ZDM otworzył właśnie oferty w przetargu na przejście dla pieszych przez Wisłostradę, które połączy kładkę z miastem.

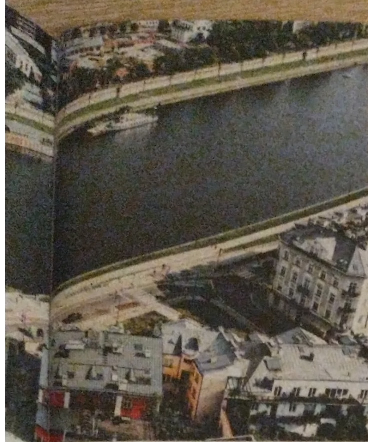
Grunt-Mejer sam jest rowerzystą. Od 15 lat przemierza Warszawę swoim jednośladem, również zimą. Mieszka na Pradze, a pracuje w Śródmieściu, więc Wisłę przekracza niemal codziennie. Odkąd otwarto kładkę, był już na niej pięć razy. – *W pierwszych dniach rower trzeba było prowadzić, takie były tłumy. Ale teraz w tygodniu z przejazdem nie ma żadnego problemu. Nawet bez wydzielonego pasa rowerowego, który w dni wolne przy takiej liczbie pieszych powodowałby konflikty. Teraz mamy jasność: piesi mają pierwszeństwo, a rowerzyści, jeżeli jest taka potrzeba, jadą wolniej – tak jak na każdym innym ciągu pieszo-rowerowym.*

Podobnego zdania jest Małgorzata Dembowska. – *Przy wydzielonej ścieżce dla pieszych zostałoby zbyt mało miejsca, a konflikty i napięcia byłyby większe – rowerzyści czuliby się uprawnieni do jechania szybko, a piesi przy takim natężeniu ruchu i tak wchodziliby na ścieżkę. Ale to nie znaczy, że ten most nie będzie pełnił funkcji komunikacyjnej – w tygodniu, zwłaszcza z rana, nie ma problemu ze swobodnym przejazdem.*

Odklejona czekoładka

Protokół rozbieżności zaczyna się już na etapie ustalenia: most to czy kładka? Niechętni nowej inwestycji mówią „kładka", żeby jej nie dodawać znaczenia. Stołeczni oficjele i sympatyzujący z obiektem podnoszą z kolei, że długi i przerzucony nad rzeką, to musi być „most". Nad zagadnieniem głowiła się też na ostatnim posiedzeniu warszawska komisja nazewnictwa, próbująca wymyślić nazwę dla




© ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

nowej przeprawy. Ostatecznie radni orzekli zgodnie, że to kładka, bo most byłby dla samochodów.

Krytyka jest w zasadzie symetryczna: atakuje zarówno prawicowy komentariat, jak i lewicujący aktywiści. I mogłoby dziwić, że ci drudzy narzekają na most, który ułatwi poruszanie się pieszym i rowerzystom, gdyby nie to, że otwarto go półtora tygodnia przed pierwszą turą wyborów samorządowych, w których startowali przecież także przedstawiciele ruchów miejskich (w większości z Lewicą, ale też z list Polski 2050), chcący pokazać się na ostatniej prostej kampanii i w miarę możliwości uszczknąć trochę poparcia Rafałowi Trzaskowskiemu. Podczas niedawnej debaty kandydatów na prezydenta stolicy w TVP Info Magdalena Biejat z Lewicy atakowała urzędującego prezydenta równie zaciekle co Tobiasz Bocheński z PiS.

Pewne argumenty pozostają oczywiście ekskluzywne dla każdej ze stron i trudno, żeby było inaczej. Prawicy nie podoba się, że most jest niedostępny dla samochodów, lewicy – że jego budowa pochłonęła drzewa po praskiej stronie Wisły. Obie strony spotykają się natomiast w obrzydzeniu do „fajnopolactwa", jak można określić ogólne zadowolenie z siebie przypisywane od dawna liberałom.

Zgodnie z tym myśleniem kładka „jest w wielu wymiarach symboliczna i dla rządów pana Trzaskowskiego w stolicy, i dla sposobu, w jaki jego ugrupowanie sprawuje władzę w Polsce, i dla nastawienia oraz oczekiwań jego elektoratu, szczególnie twardej części", jak ujął to Łukasz Warzecha w portalu „Do Rzeczy".

Prawicowy publicysta pisze nawet o „ideologicznym wydźwięku kładki" – jej „europejskości" i „nowoczesności". Niczym orzeł z czekolady prezydenta Bronisława Komorowskiego kładka pieszo-rowerowa przez Wisłę ma być symbolem liberalnego odklejenia – czymś śmiesznym i niepotrzebnym z perspektywy ogółu mieszkańców. Czyli ludu.

Ale Warszawa pełna jest „fajnopolaków", o czym świadczą tłumy spacerowiczów. Ich gustem też nie warto gardzić, o czym pamiętał pretendujący do prezydentury Przemysław Wipler z Konfederacji, który w świąteczny wieczór chwalił się w sieci rodzinnym zdjęciem z mostu.

Z kolei kandydat PiS Tobiasz Bocheński na kilka dni przed głosowaniem postanowił przebić „kładkę Trzaskowskiego" i zaproponował budowę nowoczesnych pawilonów, ciągnących się nad bulwarami wiślanymi. W pawilonach miałoby się znaleźć miejsce dla klubów, barów, restauracji, muzeów, galerii sztuki oraz siedzib samorządów studenckich lub młodzieżowych organizacji pozarządowych. Oczywiście pod zielonymi dachami, które miałyby zrekompensować wycięte drzewa.

Krakowska inba

Niemałe kontrowersje wzbudza też budowana w Krakowie kładka pieszo-rowerowa, która połączy Kazimierz z Ludwinowem (planowo na początku 2026 r.). Włodarze miasta przekonują, że przejście jest mieszkańcom potrzebne, bo ułatwi im pokonanie Wisły z pominięciem mostów drogowych. Ma też być atrakcją miasta, jak wybudowana w 2010 r. kładka Bernatka, która od lat przyciąga turystów.

Mieszkańcy nie czują się przekonani. Uważają, że konstrukcja przesłoni panoramę miasta (władze odpowiadają, że nie przesłoni), zdewastuje zieleń (najgorszy scenariusz zakłada wycięcie dwóch klonów i przesadzenie jednego młodego drzewa) oraz przyczyni się do rozwoju „turystyki alkoholowej" między dzielnicami (turyści i lokalni imprezowicze będą mieli łatwiejszy dostęp do barów w rejonie dawnego hotelu Forum).

Wreszcie: pretensje o cenę (kładka ma kosztować ponad 100 mln zł). „Można wydać te pieniądze lepiej" – to koronny argument wszystkich tego typu sporów.

– *O każdej inwestycji można powiedzieć: „mogliście co innego zbudować"* – zauważa Jacek Grunt-Mejer. – *Ale warto pamiętać, że miasto powinno służyć do różnych rzeczy – przemieszczanie się, zwłaszcza w centrum miasta, może odbywać się na piechotę lub rowerem. Efekt otwarcia mostu widać też w innych wymiarach – już w pierwszym tygodniu można zauważyć, jak zaktywizował się obszar do tej pory niemal nieznany, prascy przedsiębiorcy na Okrzei przeżywali oblężenie swoich sklepów, kawiarni i restauracji. To miejsce jest tak atrakcyjne, że w dni wolne będzie przyciągać spacerowiczów, a w ciągu tygodnia pracy wiele osób będzie miało dogodny i przyjemny skrót między Pragą a coraz większym kampusem UW na Powiślu.*

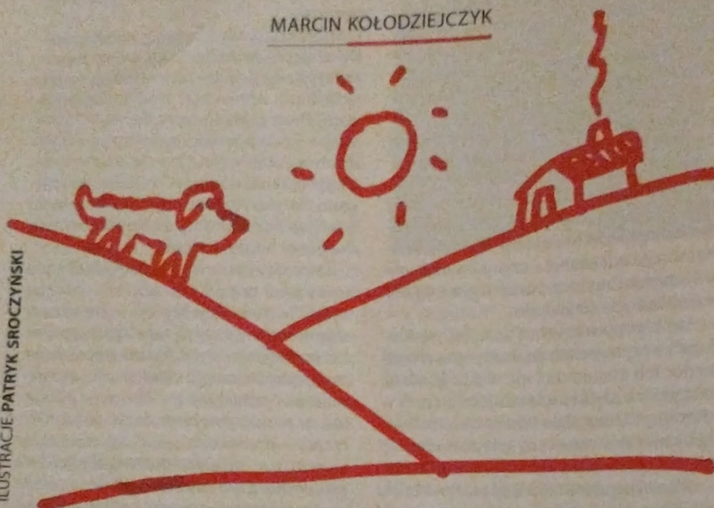
– *Ta kładka to nie tylko miejsce, przez które można przejść, ale też miejsce, w którym chce się być* – zauważa z kolei Małgorzata Dembowska.

NORBERT FRĄTCZAK

Za psa wyrok

Czy człowiek mordujący psa zasługuje na karę śmierci?

MARCIN KOŁODZIEJCZYK



ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Denis był psem. Daniel człowiekiem, ale potem mówili o nim różnie. Była jeszcze piękna Justyna i jej konkubent Krzysztof, starszy o 22 lata, były policjant, czyli też pies. Ten pies, takie wspomnienie pozostawił po sobie w Wierzchowiskach. A wszystko, co ich spotkało, wszystko razem wzięte, można nazwać romansem.

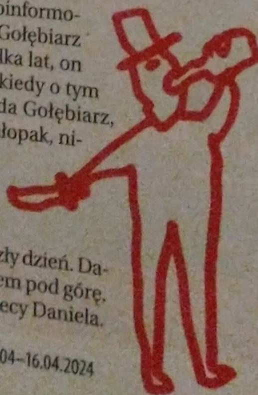
Niebiesko

Najpierw widzi się piękno. Wieś leży na wzgórzach, okna patrzą w dolinę, na drogę, rzekę i białą wieżę kościoła. Ściągają miastowi, wpadają w zachwyt, budują się. Była na sprzedaż czyjaś ojcowizna, drewniana chałupa, dwie stodoły, kawałek pola. Justyna i Krzysztof, zakochani, znaleźli sobie to miejsce. Ona miała wtedy 26 lat. On dla niej rzucił rodzinę. Sytuacja się powikłała, musieli wyjechać z rodzinnych wsi. Fantazji starczyło na kilkadziesiąt kilometrów, do Wierzchowisk Pierwszych. Dom stoi tak, że nie prowadzi do niego żadna droga, dojazd przez pola. Prócz tego Krzysztof odgrodził działkę od wsi betonem, na furtce zawiesił tabliczkę z rysunkowym psem i pistoletem. I aforyzmem: „Jeśli on cię nie zagryzie, to ja cię zastrzelę".

Tam sobie żyli we dwoje, z psami i królikami, pijąc wódkę, widując jedynie wybranych.

Daniel, sąsiad zakochanych, leżał w dole na skraju lasu, owinięty w czerwony chodnik, z twarzą tak potrzaskaną, że właściwie jej nie miał. Wieczorem jechała przez wieś procesja niebiesko migających radiowozów, drogą na wzgórze, a podsklepowi od razu wyczuli: coś się stało u psa. I rozeszli się cicho, żeby nikt ich nie ciągał po komisariatach.

Uciekamy! – potrząsał szwagrem Gołębiarz na widok niebieskiego światła. Siedzieli na przystanku autobusowym. Ale szwagier się nie poruszył, miał już za ciężkie ciało. Więc tylko siedzieli jak urzeczeni, czekając, co wyniknie, biegł z góry ktoś i poinformował, że Daniela zabili. Gołębiarz się popłakał; minęło kilka lat, on ciągle ma mokre oczy, kiedy o tym mówi. Daniel, opowiada Gołębiarz, uśmiechnięty, dobry chłopak, nikomu krzywdy nie robił, a oni jego całkiem jak psa. Daniel, chodź – tyle tylko powiedział były policjant w tamten zły dzień. Daniel poszedł z Krzysztofem pod górę. Gołębiarz zapamiętał plecy Daniela.



Justyna i Krzysztof żyli z montowania solarów na dachach, a kiedy jeździli na robotę, zdarzało się, że ich psy same wyłaziły z kojców i latały, jak to psy. Solary są niezłe w okolicy, gdzie miastowi budują ekologicznie, solar to popłatna robota, ale przestojowa. Flauty się przedłużały, nuda, zakochani często schodzili ze swojego parnasu dokupić wódki. Ona zgrabna, szybka w ruchach, wygadana, pstro ubrana, doceniali ten widok ludzie pod sklepem, staczała się błyskawicznie w bełkot i opuchliznę. On był lawboj, szósty krzyżyk, a ubrany obciśle, rozbiegane oczka, czy nikt jego konkubiny nie maca w przelocie. On by wszystko dla niej, ale było widać, że ona też by wszystko dla siebie. Źle zagadnięta wpadała w szał, waliła po boksersku. On się zaraz przyłączał. Dlatego też, chociaż mówili dzień dobry, ludzie do nich milczeli. Mówił kiedyś pod sklepem W., jak piękna Justyna niespodziewanie wytrzeźwiała, zerwała się od stołu i wyrżnęła go w twarz, aż padł. Konkubinat wywiózł wtedy pobitego W. w bagażniku do lasu i razili go paralizatorem, żeby się przyznał. Poszło o psa.

Z psem było tak, że Justyna nikogo w życiu nie kochała mocniej niż psa. A na wsiach mają do psów podejście różne, i kiedy pies biegał samopas, to któregoś świtu powrócił charczący, z poderżniętym gardłem. Natychmiast pognała z nim do weterynarza, tam się ostro postawiła, zmusiła weterynarza do chirurgii i pies przeżył. Co prawda za jakiś czas nie wrócił do domu na dobre, ale taka była Justyna – pies najważniejszy. Liznęła nawet trochę technikum weterynaryjnego, nim poznała Krzysztofa. A potem zniknął całkowicie ten najsłodszy pies, Denis. Zemsta wisiała nad wsią, kiedy młoda chodziła wzdłuż rzeki, gwiżdżąc. Nikt nic nie wiedział. Gwizdała dalej, ale Denisa już nie było wśród żywych. O morderstwo posądzany był właśnie W. Przez lata prywatnego śledztwa coraz bardziej stawało jednak na tym, że Denisa zabił Daniel.

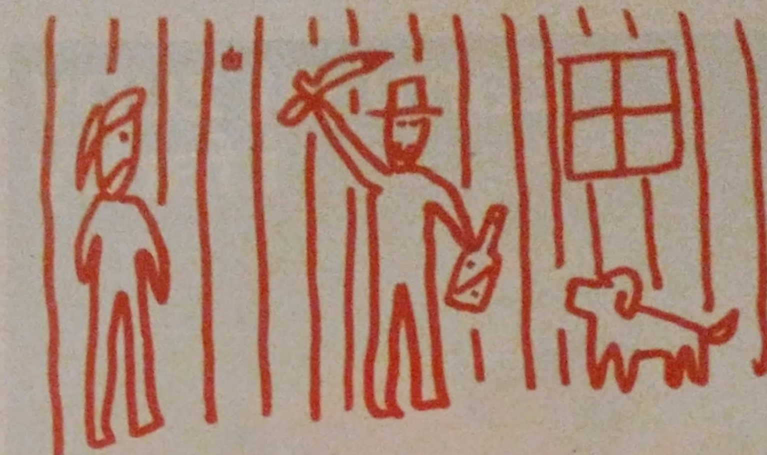
Czerwono

Daniel poszedł z Krzysztofem do domu na wzgórzu, czekał stół nakryty wódką, serem, nożem i bardzo miła Justyna. Przed domem, jak wyrzut, dwa opustoszałe kojce po psach, więc może gdyby denat tak bardzo nie chciał się napić z sąsiadami, uratowałby głowę. Daniel miał wtedy 36 lat, Justyna 29, a Krzysztof 51. Daniel mieszkał samotnie w domu obok, jego

ojciec zapodział się gdzieś dawno temu, a matka też zniknęła we wsi niedaleko z konkubentem i do Wierzchowisk wróciła dopiero w trumnie. Pogrzeb był skromny, brat Daniela przyjechał z więzienia w kajdankach, pilnie strzeżony. Tak biedny, jak był Daniel, nie był we wsi chyba nikt, nawet padaczka alkoholowa go nie ominęła. Raz facet z Majdanu werbował podsklepowych do rozrzucania gnoju na polu, Daniel się zgłosił, ale zanim dojechał na miejsce, już nim rzucało. Heniek, dla którego Daniel był trochę jak synek, mówił do zleceniodawcy: będzie seta, będzie robił. I się sprawdziło, sprostowany Daniel wywalił z Heńkiem pięć przyczep gnoju. Taki właśnie był Daniel, że pić musiał, a pytanie brzmiało: za co?

Wiadomo, za kogo został zamordowany – za Denisa. Długo płynęli przez noc w domu „jeśli on cię nie zagryzie, to ja cię zastrzelę”, w tym cudownym świecie nie było mielizn wódczanych, sam nurt. Nawet były policjant, który miał niezły łeb, zasnął. Wtedy ona, niczym Pani Bóg, rzekła mu: czy prawdą jest, że Denis z twej dłoni padł?, tyżeś go, kurwa, zabił? Jam to uczynił – przyznał się Daniel jak na Ostatecznym; zabiłem, oskórowałem, przetopiłem na sadło i sprzedałem na targu jako leczniczy smalec z borsuka.

To był już koniec, pierwszą karę wymierzyła człowiekowi nożem do sera, potem otwarło się jego piekło. Pochowali Daniela pół roku po matce, w tym samym grobie. Brat stanął nad nimi w kajdankach, całe Wierzchowiska Pierwsze patrzyły.



Sądownie

W marcu 2024 r. o karze dla Justyny zdecydował Sąd Najwyższy, ostateczna instancja. Utrzymał w mocy wyrok Sądu Rejonowego w Lublinie, Justyna wyjdzie na wolność za 16 lat, a o przedterminowe wyjście może ubiegać się dopiero po 12. To o 9 lat mniej, niż zasądził w maju 2021 r. Sąd Rejonowy w Zamościu, wówczas Justyna patrzyła na 25 lat, ale Lublin jej pożałował, bo taka młoda, bardzo inteligentna i nie zasługuje na karę eliminacyjną. Resocjalizacja w przypadku Justyny może się udać. Przed Sądem Najwyższym kazus okazał się jeszcze ciekawszy; adwokat Cezary Lipko, który bronił kobiety od początku i „zbił” jej 9 lat pierwotnego wyroku, domagał się złagodzenia kary, a prokurator dożywocia. Po wyroku przyznał, że 16 lat to odpowiednia kara.

Teraz, jak mówi Lipko, Justynę mogłyby wypuścić z więzienia przed czasem jedynie dwie okoliczności: łaska prezydencka lub pojawienie się nowego dowodu w sprawie. Denis został zabity ok. 2016 r., Daniel wiosną 2019 r., Justyna długo nie przyznawała się do winy. W swoim świecie sama była sądem, we własnym przekonaniu wymierzyła sprawiedliwą sprawiedliwość – życie za życie. Adwokat mówił przed sądem, że to był „afekt fizjologiczny”, stan wykluczający działanie racjonalne i intelektualne. Sąd mówił, że Justyna działała zadaniowo, czyli w pełnej świadomości, a nawet fakt dowiedzenia się o tym, iż denat zabił ukochanego psa, nie usprawiedliwia jej działań skutkujących zejściem śmiertelnym człowieka w brutalnych okolicznościach.

A wracając do języka spod sklepu w Wierzchowiskach, piękną Justynę zakapowała jej własna komórka, i to w sposób, którego już nie dało się owinąć w afekt. W pijanym bełkocie dwukrotnie dzwoniła do rodziców, mówiąc, że zabiła. Telefon, wyposażony dla wygody zamawiających solary w aplikację nagrywającą rozmowy, nagrał co trzeba.

Osobiście

I już właściwie można by pomilczeć nad tyloma złamanymi przez miłość życiami, nad psem z poderżniętym gardłem, nad Denisem, Danielem i Justyną, gdyby nie głos ludu dobiegający z internetu od zarania sprawy. Najpierw znajoma dziennikarka z Zamościa przysłała Cezaremu Lipce link do sondy, którą jej gazeta przeprowadziła w sieci: 80 proc. doraźnej, przypadkowej i anonimowej próby rozgrzeszało Justynę z morderstwa. Ta skala utrzymuje się na forach lokalnych mediów do dzisiaj, już piąty rok ludzie piszą o Denisie jako psie członku rodziny, psie dziecku, bezbronnej istocie, a o Danielu jako kacie zwyrodnialcu, chwaście, mordercy. Justynie się współczuje, pociesza, chwali za działanie. Justyna wyrasta na bohaterkę. Mnóstwo takich wpisów: „osobiście też bym zabiła, gdyby ktoś skrzywdził mojego ukochanego (tu imię psa)”. Ciekawa rzecz: im bardziej język wypowiadających się świadczy o wyrobieniu społecznym, inteligencji i wielkiej miłości do zwierząt, tym większe poparcie dla mordu na zabójcy psa Denisa. Kto napisze: „ludzie, czy wyście powariowali?”, tego zakrzyczą.

Jak wyglądał Denis, nikt we wsi nie wie, nigdy nie wiedzieli. Biegało toto takie jakieś mordziaste, tupnęło się, kopnęło, mówią podsklepowi, to zaskomlało, uciekło, a bo to mało takich biega? Ciągle się rodzą i biegają, a czasem jeszcze miastowy wyrzuci u nas swojego przy drodze. Powiedzą wprost, powołując się na Boga: człowiek to jest coś więcej niż pies, Daniela zabili jak psa.

Za to powraca w rozmowach Krzysztof, miłość Justyny, który tak się męsko sadził u jej boku. Były z nim istne meandry sądowe, mówi mecenas Lipko: przez wiele miesięcy po zatrzymaniu był współoskarżonym, przyznał się do udziału w ukryciu ciała, ale gdy przyszło do procesu, okazał się świadkiem i obciążył całą winą Justynę.

Podsklepowi oczekują jak zwykle, robota nie woła, piwo woła, nie tak dawno Gołębiarz znalazł w rzece ciało Kaszanki, który wracał spod sklepu do domu na wzgórzu i się chyba poślizgnął. Gołębiarz odłożył karton z gołębiami i popędził do remizy, gdzie akurat galowo ubrani ludzie obchodzili chrzest dziecka, że trup w wodzie. Przeklęte wzgórze. Podsklepie żyje teraz Kaszanką, ale iskra przez ludzi idzie zawsze taka sama, kiedy schodzi na Krzysztofa, tego byłego policjanta; przypadł gdzieś u rodziny w rodzinnej wsi, dom w Wierzchowiskach zamknięty, zarasta, strzeżony przez tabliczkę z psem i rewolwerem, dostał za ten romans cztery marne lata, już chodzi po wolności. I mówią we wsi tak: psu to się zawsze, kurwa, upiecze. ■

Zamiast zupy i farby



Historia uczy nas, że niszczenie w imię „wielkiego celu" wciąga, może być czymś przyjemnym – mówi psycholog Paweł Droździak.

KRYSTYNA ROMANOWSKA: **– W wielkanocny lany poniedziałek aktywiści grupy Ostatnie Pokolenie znowu oblali pomnik Syrenki. Tym razem tylko wodą, nieco wcześniej farbą. Niedawno przerwali koncert w Filharmonii Narodowej, blokowali Trasę Łazienkowską. Co to jest? Uzasadniony bunt młodych przeciw starym? Czy potwierdzenie odwiecznego przekonania o zepsuciu młodzieży?**

PAWEŁ DROŹDZIAK: – Co do opinii na temat młodzieży, to wiemy, że od zawsze są dwie konkurencyjne: pierwsza mówi o zepsuciu, druga o prawie, a nawet obowiązku buntu.

Czyli nic nowego?

Niezupełnie. Mniej więcej od początku zmian związanych z kapitalizmem, z nowoczesnością, realia życia na całym świecie zaczęły się szybko zmieniać. Kolejne młode pokolenia są w permanentnej niepewności co do tego, jak się do życia przygotować i np. czego się warto wyuczyć. Odchodzące generacje są przestraszone podważaniem ich wiedzy i wartości. Jednak ostatnio mocno to przyspieszyło, po stronie młodych nasilił się komponent roszczeniowy i jawnie już agresywny.

Dobrym, symbolicznym przykładem jest tu słynna Greta Thunberg z jej reprodukowanym w tysiącu prześmiewczych memów pytaniem: „How dare you!?" (Jak śmiecie!?). Greta, choć sama mocno wspierana przez rodziców (menedżerów jej przedsięwzięcia), nie tylko zbuntowała się przeciw figurze „dziadersa", ale wręcz oskarżyła go o zbrodnie przeciwko jej pokoleniu, o zniszczenie świata, w którym przyszło im żyć. Nie wspomina, że cokolwiek zbudowano, odkryto, rozwiązano jakiś problem, np. chorób, śmiertelności dzieci, chłodu albo głodu… Uważa, że jedynie zniszczono. Jak śmiano?!

Po czym zniknęła.

Zniknęła. Ważnym składnikiem tej postawy jest konieczność bycia w centrum uwagi. Reprezentowana sprawa musi być absolutnie najważniejsza, bo jeśli chce się mieć prawo do absolutnie wszystkiego, to nic nie może być ważniejsze niż ten temat. W tym sensie epidemia i wojna zakończyły karierę Grety. Nie ma powrotów w takim dyskursie. Apogeum może być tylko jedno.

Ale sama taka postawa istnieje i wraca w różnych przejawach. Na przykład panie, które oblały warszawską Syrenkę farbą – o ile dobrze rozumiem – porównują się teraz do Martina Luthera Kinga. Tyle że one nie domagają się niczego konkretnego. Domagają się, żeby było „nie to", czyli żeby nie było tak, jak jest. Ale nie wiedzą, jak powinno być. Nie proponują niczego, co by się dało słowami opisać, uchwycić, zweryfikować. Nie zgadzają się, ale i za nic nie biorą odpowiedzialności. Zaproponowanie konkretnego rozwiązania i praca nad nim byłyby właśnie odpowiedzialnością, bo można wtedy z efektów rozliczyć. A ten ktoś nie chce być rozliczony, tylko chce rozliczać.

A dlaczego w Warszawie wybrali właśnie Syrenkę?

To jest kluczowe pytanie, żeby zrozumieć ten protest. Takie akcje są przejawem bardzo specyficznej postawy, która opiera się na dwóch założeniach. Po pierwsze: „nie określam, czego chcę, tylko określam, czego nie chcę". Dlatego usłyszymy np. o „zmianie społecznej", ale na pewno się nie dowiemy, co ona oznacza. Po drugie: „emocja, którą przeżywam, jest ważniejsza niż myślenie". I dlatego atakowane są te obiekty, które kojarzą się z refleksyjnością i nadawaniem znaczeń.

Obiekty, które są wybierane, to stare rzeźby, symbole, obrazy. Generalnie obiekty kultury wysokiej. Koncerty – ale tylko klasyczne – choć przecież występy rockowe na stadionach emitują znacznie więcej CO_2 niż te w filharmonii. Chodzi o kulturę wysoką, tradycję, elementy tożsamości. Można przyjąć, że celem ataku jest wszystko, co się kojarzy z tradycyjnym porządkiem. Ale uwaga: nie ma ataków na kościoły – nigdzie na świecie. Czyli to nie o samą tradycję tu chodzi. Atakowane są muzea, ale sztuki, a nie techniki. Obraz oblewa się zupą, ale muzeum pełne starych silników śpi spokojnie.

Ale czemu pan uważa, że to wszystko dzieje się jedynie pod pozorem troski o klimat, o losy świata?

Bo ci ludzie pokazują jedynie, że coś czują i żądają uświęcenia tej emocji przez



nadanie uprawnienia do dowolnej formy jej ekspresji. Taki ktoś jest jakby zaniepokojony samym faktem, że ktoś inny może myśleć, a nie czuć. Stąd te emocjonalne komunikaty: krzyki, rzucanie przedmiotami, zwroty: „ostatnie pokolenie, ten koncert nie może trwać". To ma odbiorcę tak rozwibrować, żeby się pobudził i stracił kontrolę. W sumie obojętne, czy się przyłączy, czy wścieknie. Przy czym należy pamiętać o „empatii" jako słowie kluczu. Empatia w tym rozumieniu uprawnia do zniszczenia dowolnego obiektu symbolicznego albo osoby.

Młodzieżowe subkultury w przeszłości też nie proponowały spójnej wizji świata…

Jednak można się było czegoś dopatrzyć w wolnościowych działaniach hipisów czy nawet punków proponujących anarchię. Tu aktywiści nie mówią, czego chcą. Mówią: domyśl się. Poza tym nie widzę w takich protestach siły sprawczej, oprócz tego, że można potem założyć zrzutkę na prawnika. Co jest znów o tyle ciekawe, że ktoś się domaga, by nie musiał ponosić odpowiedzialności za swoje działania. Nie chce zostać męczennikiem. Ale nie zamierza się także wykupić. Chce, by to jego wykupiono, i w zasadzie chce mieć dokładnie taką pracę. Robić awanturę i dostawać za to wynagrodzenie.

Te działania budzą ogromne emocje u ludzi, którzy to obserwują. Padają ostre słowa pod adresem protestujących. Tak to ma działać?

Tak. Pada np. wiele obelg pod adresem aktywistów i dostają też groźby. Po części dlatego, że te osoby właśnie do tego dążą, by odbiorca przekroczył jakąś granicę. Celowo działają tak, żeby sprawić, by druga strona „odjechała". Ktoś na naszych oczach atakuje coś, co jest nam drogie, i wrzeszczy o empatii. A spróbuj go odciągnąć od tego obrazu, to cię sfilmuje i pozwie. Patrzy w oczy i się drze. No to ludzie w końcu reagują. Ten ktoś będzie to robił, aż doprowadzi do tego, że odbiorca odpowie. Właśnie o to mu chodzi, bo wtedy może ogłosić, że jest ofiarą, i odcinać od tego kupony.

Ale też ludzie nie chcą być oskarżani czy szantażowani. To nawet nie jest szantaż w klasycznym rozumieniu tego słowa. Dlatego „how dare you" Grety stało się memem, bo nie proponuje nic konkretnego, a jedynie mówi, że jesteś bezgranicznie złą osobą. To śmieszne, biorąc pod uwagę, że jeszcze 20 lat temu mało kto w ogóle słyszał, że emisja CO_2 może być jakimś problemem. 50 lat temu nikt by na to nie wpadł. A od tysięcy lat ludzie ciężko pracują, żeby przyszłe pokolenia miały co jeść i gdzie mieszkać. I nagle wychodzi nastolatka i mówi: „Jak śmiecie?".

Może młodzi ludzie mają prawo się tego domagać? W końcu są „ostatnim pokoleniem".

Ta nazwa to także roszczeniowa pułapka. Oznacza ni mniej, ni więcej: wy macie zobowiązanie wobec nas, ale my nie mamy już wobec nikogo (w domyśle: bo nie mamy zamiaru się rozmnażać). Zobaczmy, jaka to przepaść. Junak pracujący w brygadach Służby Polsce w latach 50. budował domy dla przyszłych pokoleń. „Ostatnie pokolenie" nawet nie potrafi być wdzięczne, że w takim domu mieszka. W ogóle ma kłopot z wdzięcznością, która jest przecież także braniem odpowiedzialności. Bo jak jesteś wdzięczny, to starszym się należy np. opieka na starość. W ich dyskursie stary może liczyć najwyżej na to, że za nim rzucą kamieniem, bo jak miał tyle lat, co oni teraz, to wyemitował za dużo dwutlenku węgla. A mógł zgadnąć, że to błąd. Lem zgadł. Tyle że Lem był przekonany, że ludzkość oprze się na atomie, więc się nie martwił za bardzo.

Bardzo ciekawe jest też zapóźnienie polskiego „ostatniego pokolenia" wobec swojego niemieckiego odpowiednika Letzte Generation, który gdy w Polsce oblewano farbą Syrenkę, ogłosił oficjalne fiasko dotychczasowych strategii. Znów chce działać konwencjonalnie: organizować protesty i szukać sojuszników. Kiedy polscy aktywiści zorientują się, że to nie działa?

Te akcje są niezwykle atrakcyjne dla uczestników. Poczucie absolutnej racji i pełnej bezkarności działa jak narkotyk. Można dokonywać agresywnych działań, będąc całkowicie nietykalnym. Dlatego tak często robią to młode kobiety. Mężczyznę ktoś mógłby obić. Ale wobec kobiet ludzie stoją i patrzą bezradni. Pod ochroną smartfonów aktywistki są nietykalne. I one to wiedzą, korzystają więc z przywileju, jaki daje im płeć, choć samo pojęcie płci zapewne negują. Historia uczy nas, że taki potlacz – niszczenie w imię „wielkiego celu" – bardzo wciąga, może być czymś niezwykle przyjemnym. Ludzie patrzą, denerwują się, ale nic nie mogą zrobić. Znamy to z historii: hunwejbini, komsomolcy… Oczywiście te akty są na razie daleko od tego, ale psychologiczne mechanizmy są nieco podobne.

Dla mnie ciekawsze jest, że nikt nie zwraca uwagi na ludzi, którzy są świadkami takiego wydarzenia, przemocy symbolicznej. Może dla kogoś to miejsce – muzeum albo koncert klasycznej muzyki – jest jedynym, gdzie on chroni swoją wrażliwość przed okrucieństwami świata?

Co zaproponować młodym ludziom w miejsce rzucania zupą w Monę Lisę?

Zadaniem starszego pokolenia jest pokazanie młodszym, jak mogą pożytecznie wykorzystać swoją energię. Warto, żeby zatroskany losem planety młody człowiek uświadomił sobie, że aby zmienić świat w jakimkolwiek zakresie, trzeba stać się ekspertem od tego świata. Nie można zmienić czegoś, na czym się człowiek nie zna. Nie da się przebudować systemu, jeżeli się go najpierw nie zrozumie. Jeżeli zgodzimy się, że emisja dwutlenku węgla jest problemem – a tego przecież nie neguję – to niech młoda osoba spróbuje coś konkretnego zaproponować, wesprzeć, zaprojektować. Przy czym ważne będzie także zrozumienie oporu ludzi przed zmianami i znalezienie sposobu, aby temu zaradzić, tak by ci ludzie nie czuli się pokrzywdzeni.

Rozumiem, że „po dziadersku" proponuje pan „ostatniemu pokoleniu", żeby się uczyło?

Nie tylko. Powinno także praktykować wdzięczność. Warto doceniać to, co się dostało. Pokolenia budowały Warszawę, jasne, że także produkowały CO_2. Ale nie wiedziały o tym. A ludzie pracowali naprawdę ciężko. Mnóstwo z nich było dumnych z siebie, kiedy ta Syrenka tu wreszcie stanęła. Jeśli ktoś ma nastawienie: „to starsze pokolenia spowodowały kryzys, więc są nam teraz winne wszystko", nie widzę szans, by był w stanie się planetą zająć. Bo żeby ktoś się czymś zajął, musi umieć docenić czyjeś starania. Nawet jeżeli nie były do końca udane. Natomiast fakt, że żyjemy we względnie dostatnim świecie, zasługuje na wdzięczność. Warto popracować także nad poczuciem solidarności. Świetnie jest mówić, że zostało się źle wychowanym, jeżeli się deklaruje, że samemu nie zamierza się nikogo wychować. Chcesz krytykować własną babcię? Pokaż jej, jaką babcią potrafisz być sama. Nic tak nie uczy pokory. ■



Paweł Droździak – psycholog. Współautor książki „Blisko, nie za blisko. Terapeutyczne rozmowy o związkach". Od 2013 r. zajmuje się analizą lacanowską. Pracuje z osobami mającymi trudności w kontrolowaniu zachowań impulsywnych.

Po katastrofie ekologicznej na Odrze rząd PiS przeznaczył 250 mln zł na monitoring rzek i jezior. System wciąż nie działa. Projekt tonie, zaplątany w sieć tajemniczych pośredników i spółek.

Dokąd płynie kasa na r

ZBIGNIEW BOREK

Dr inż. Dariusz Ulikowski od 31 lat pracuje w olsztyńskim Instytucie Rybactwa Śródlądowego (IRS), przez ostatnie cztery kierował Zakładem Rybactwa Jeziorowego w Giżycku. Szykował się do wyjazdu w teren, gdy zobaczył kawalkadę czterech samochodów. – *Zajechały z dużą prędkością, jak na filmach. Z jednego wysiadł dyrektor IRS i zażądał zwołania załogi, po czym przedstawił prawnika, a ten przedstawił zarządzenie dyrektora, że z powodu utraty zaufania odwołuje mnie z funkcji* – opowiada. Powodem miały być nieprawidłowości, o których dyrektor dowiedział się ponoć z niewiadomego źródła.

Ten specyficzny „zajazd" odbył się 12 lipca 2023 r. – dokładnie w dniu publikacji w POLITYCE materiału „Łowy w mętnej wodzie". Ujawniliśmy w nim kulisy dwóch projektów monitorowania polskich wód. W obu kluczową rolę odgrywa IRS, a dr inż. Ulikowski był jedną z osób, które wskazywały zagrożenia.

Początek sprawie dała katastrofa ekologiczna na Odrze z 2022 r., gdy z powodu tzw. złotej algi wyginęło 360 ton ryb. Rząd zareagował z opóźnieniem, zrzucał z siebie winę, w końcu całą parę skierował w budowę monitoringu (choć według ekspertów najpierw należałoby usunąć przyczyny skażenia).

W 2023 r. ekipa Morawieckiego ogłosiła dwa projekty: w marcu ruszył „Pilotażowy monitoring rzeki Odry w trybie ciągłym", w czerwcu podpisano umowę z IRS o wartości 250 mln zł na stworzenie „Stałego monitoringu zagrożeń śródlądowych wód powierzchniowych wraz z systemem wczesnego ostrzegania". Rządowa propaganda ogłosiła, że Odra już jest „najlepiej przebadaną rzeką w Europie", a miało być jeszcze lepiej, bo ten drugi projekt obejmował wszystkie rzeki i jeziora w Polsce.

Okazuje się, że pilotaż Odry, który miał „podlegać ciągłemu rozwojowi o nowe punkty pomiarowe", zatrzymał się na dziewięciu uruchomionych na starcie (sprawdzaliśmy to w grudniu 2023 r. oraz lutym i marcu 2024 r.). Na pięciu podległych IRS brakuje jednak połowy bieżących wyników. Na stronie internetowej projektu jest ostrzeżenie, że wyniki są „poglądowe, nie podlegają bieżącej weryfikacji i autoryzacji, mogą być zaburzone". Ani IRS, ani Główny Inspektorat Ochrony Środowiska, który zarządza pilotażem, nie potrafią wskazać, po co on w ogóle powstał, co miał pilotować, dlaczego „nie podlega ciągłemu rozwojowi" i czy ma cokolwiek wspólnego z drugim projektem, dotyczącym wszystkich polskich wód śródlądowych.

Na fali odrzańskiej katastrofy minister klimatu Anna Moskwa z PiS zapowiadała, że projekt obejmie „instalacje oczyszczania wód poprzemysłowych na Odrze", jednak instalacje ostatecznie wyparowały (co nie zmniejszyło jego kosztów). Pisowscy politycy powtarzali, że system będzie „zintegrowany", ale szczegóły pozostawały tajemnicą. Po wielu zapytaniach biuro prasowe minister Moskwy odpisało nam w lipcu: „Do końca trzeciego kwartału 2023 r. zainstalowanych zostanie 25 punktów pomiarowych, a komplet (825 sztuk) do końca 2024 r. (...) powstanie także centrum monitoringu – miejsce, w którym przez całą dobę będą zbierane i analizowane dane, w szczególności pochodzące ze stacji pomiarowych, ale także innych źródeł". Z naszych ustaleń wynika, że do dziś nie zainstalowano ani jednego punktu pomiarowego.

W uproszczeniu: punkty pomiarowe to boje uzbrojone w instrumenty kontrolne. IRS ogłasza osobne przetargi na poszczególne ich elementy. Niektóre przetargi unieważniono, w innych wybrano np. firmę znaną z produkcji obcasów i fleków. Gdy np. szukano dostawcy 350 sensorów do stacji pomiarowo-kontrolnych) za 29,6 mln zł, wyłoniono spółkę Sour Group, która istniała trzy lata i miała zaledwie 5 tys. zł kapitału zakładowego. W KRS jako jej prezes figurował Paweł Piotr Piecewicz. Jest też prezesem kilkuset (!) innych spółek. Wyglądają jak zakładane hurtem w celu odsprzedaży pod dowolny biznes. – *Tak, zajmujemy się zakładaniem i sprzedażą spółek* – potwierdza pani, która odbiera telefon w jednej z nich – Kancelarii Gospodarczej Effekti.

Siedziby spółek są rozsiane po całej Polsce, Effekti znajduje się przy ul. Święty Marcin w centrum Poznania. Przed dekadą dziennikarze badający masowe oszustwa internetowego sklepu z odzieżą zastali pod tym samym adresem Piecewicza. Przedstawiał się jako... skrytka pocztowa tego sklepu. Jego kontrahentem miał być obywatel Malediwów – niejaki Boonhtun Bummila, ale i on, i jego polski przedstawiciel okazali się nieosiągalni.

„Skrytką pocztową" może też okazać się Sour Group. Z KRS wynika, że jej beneficjent rzeczywisty (później także prezes) jest jednocześnie prezesem spółki MS Proenergia, a w niej z kolei wspólnikiem i beneficjentem rzeczywistym jest Karol Sońta. Kim jest beneficjent rzeczywisty? To osoba sprawująca kontrolę, mająca decydujący wpływ na działania spółki. A kim jest Sońta? Radcą prawnym, który reprezentował wtedy IRS. Innymi słowy: organizowany przez IRS przetarg wygrywa spółka, na której działania wpływ ma prawnik pracujący dla IRS.

Karol Sońta, doktor nauk prawnych, prowadzi kancelarię radcowską w Radomiu. Jego nazwisko przewijało się w medialnych doniesieniach o tzw. układzie radomskim: od 2007 do 2015 r. miał tam działać układ korupcyjny przedstawicieli

a na rzeki

władz miasta i firm pośredniczących w załatwianiu spraw dla inwestorów w magistracie. W tym czasie Radom był największym miastem w Polsce we władaniu PiS, układ miał mieć charakter polityczno-rodzinny, a Sońta był wtedy radnym PiS.

W 2018 r. sąd uznał, że pomagał ustawić przetarg na oświetlenie uliczne (sprawę umorzono na trzy lata próby), a jego szwagier Igor M. został skazany (dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć) za przyjmowanie łapówek. Jako wiceprezydent Radomia Igor M. powoływał ludzi do rad nadzorczych miejskich spółek, żądając, aby oddawali część wynagrodzenia na kampanie wyborcze PiS. W śledztwie CBA dotyczącym „układu radomskiego" występowali też dwaj posłowie PiS: Krzysztof Sońta (krewny Karola Sońty) i Andrzej Kosztowniak (były prezydent Radomia), ale po przejęciu władzy w kraju przez PiS śledztwo umorzono, a po wyborach z 15 października 2023 r. Kosztowniak został ministrem finansów w dwutygodniowym rządzie Morawieckiego.

Karol Sońta odżegnuje się od związków z bieżącą polityką: – *Od 2014 r. nie kandydowałem w wyborach, nie jestem członkiem żadnej partii*. W zeszłym roku znalazł się jednak na przygotowanej przez PSL liście „tłustych kotów PiS", czyli osób związanych z rządzącą wtedy partią, które zajmowały intratne stanowiska w spółkach skarbu państwa (w przypadku Sońty chodziło o Tauron Dystrybucję). Sońta tego nie komentuje. Zapewnia, że jako prawnik IRS nie ma nic wspólnego z przetargami i nie słyszał o Sour Goup, która wygrała jeden z największych przetargów instytutu. Nie odpowiada na pytania o związki Sour Grup ze spółką MS Proenergia, w której jest beneficjentem, i o to, jak to wpływa na jego pracę dla IRS.

Na tym nie koniec. Ustaliliśmy, że Sońta zasiada w radzie nadzorczej zachodniopomorskiej spółki Geotermia Pyrzyce, a jej głównym udziałowcem (62 proc. udziałów) jest Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Z tym funduszem IRS podpisał umowę wykonawczą na monitoring za 250 mln zł. To zaś oznacza, że Sońta jest powiązany aż z trzema podmiotami zaangażowanymi w rządowy projekt: zamawiającym (NFOŚiGW), głównym wykonawcą (IRS) oraz podwykonawcą zlecenia za 29,6 mln zł (Sour Group). Dodajmy, że w przetargu na zlecenie za 29,6 mln zł instytut nie wymagał wadium i zabezpieczenia należytego wykonania umowy. – *Zamawiający nie musi żądać zabezpieczenia, jeżeli jednak w grę wchodzi przetarg o tak dużej wartości, jest to w mojej ocenie wręcz konieczne* – komentuje Józef Edmund Nowicki, ekspert, wykładowca i autor komentarzy do prawa zamówień publicznych.

IRS ma status Państwowego Instytutu Badawczego. Dawniej jego dyrektora wybierano w konkursie, ale PiS zmieniło przepisy tak, żeby jednoosobowo wskazywał go minister rolnictwa. Henryk Kowalczyk wybrał dr. inż. Grzegorza Dietricha. Gdy usiłujemy wyjaśnić wątpliwości, dyr. Dietrich nie chce rozmawiać. Prosi o pytania na piśmie, na niektóre nie odpowiada, na inne odpowiada wymijająco, a dopytywany robi to samo, tylko bardziej.

Nie dowiemy się więc od niego, na jakim etapie jest projekt za 250 mln zł, nie odniesie się do naszych ustaleń i zapowiedzi ministerstwa, z których wynika, że projekt powinien już w części działać. „Realizacja projektu przebiega zgodnie z ustaleniami z zamawiającym, czyli Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska. W ubiegłym roku byliśmy dwukrotnie kontrolowani tak przez NFOŚ, jak i Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Na mój wniosek jego realizacja została objęta też »Tarczą antykorupcyjną« przez CBA" – oświadcza.

Jak tłumaczy, w realizację projektu zaangażowani są naukowcy z kraju i zagranicy, nie ma też mowy o pomijaniu specjalistów z IRS, a stacje pomiarowe trzeba złożyć z podzespołów, bo „żadne z dostępnych na rynku gotowych rozwiązań nie sprawdziłoby się w polskich warunkach". Ich dostawcy „wyłaniani są w drodze otwartych przetargów" – pisze dyrektor, a rzecznik prasowy IRS Marek Czarkowski uzupełnia: „Niski kapitał zakładowy spółki nie jest czynnikiem dyskryminującym podmiot gospodarczy. Tak jak takim czynnikiem nie jest fakt posiadania udziałów w wielu innych spółkach przez prezesa tej firmy. Weryfikacja oferty złożonej instytutowi przez spółkę Sour Group nastąpiła w trakcie procedury przetargowej".

Dietrich nie widzi konfliktu interesów prawnika, z którego usług korzysta IRS (bo nie miał nic wspólnego z przetargami), twierdzi też, że nie obawia się o losy projektu: „Jestem przekonany, że zostanie on zrealizowany w terminie". Tymczasem podpisał plan finansowy IRS na 2024 r., w którym odnotowano „istotne ryzyko" związane z „prawidłową i terminową" realizacją tego projektu. W dokumencie czytamy, że instytut może być przez to zmuszony do zwrotu dotacji. Taką „taktykę komunikacji" dyr. Dietrich stosował też, gdy pracowaliśmy nad pierwszym artykułem na ten temat. Bez odpowiadania na szczegółowe pytania, odrzucał zarzuty o zły dobór kadr, inne nieprawidłowości czy wpływy polityczne.

Według naszych rozmówców związanych z instytutem Dietrich wyprowadził zarządzanie największymi projektami poza jego centralę, pozbył się fachowców, którzy zgłaszali zastrzeżenia, zatrudnił za to pełnomocników z wysokimi pensjami. Nasi informatorzy ostrzegali, że straci na tym instytut i ucierpią rządowe projekty. Dziś oprócz poślizgu w pracach i podejrzanych przetargów świadczą o tym „drobiazgi" albo „nietypowe zlecenia", jak to nazywają pracownicy instytutu. Dotarliśmy do jednej z takich umów z października 2023 r.: na potrzeby rządowego projektu Dietrich zleca za 10 tys. zł zadanie obejmujące m.in. „określenie kluczowych parametrów, jakie decydują o jakości wody". – *Jeśli ktoś nie posiada tak podstawowej wiedzy, nie powinien dostać żadnego zlecenia* – komentuje nasz rozmówca.

Ustaliliśmy, że nieprawidłowości dopatrzyła się NIK. – *Są na tyle poważne, że kontrolę rutynową w IRS rozszerzyła o sprawdzenie realizacji umowy za 250 mln zł. Osobna kontrola obejmie zleceniodawcę tego projektu, czyli Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej* – mówi osoba znająca kulisy sprawy.

Fundusz zapowiada własną inspekcję w IRS, projekt monitoringu analizuje już międzyresortowy zespół koordynowany przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska, a kolejnym sygnałem, że sprawa przebija się do świadomości nowej ekipy rządzącej, jest to, że kancelaria premiera Donalda Tuska zażądała przekazania odpowiedzi na skargi do resortu rolnictwa, jakie w sprawie „nieprawidłowości w zarządzaniu i gospodarowaniu mieniem" kierowała instytutowa Solidarność.

Niewątpliwie projekt monitoringu polskich rzek i jezior wymaga pilnego audytu. ■

Wpadka dopingowa

Czy sponsorując sport, PGE sprzeda więcej prądu, a PKP Cargo przewiezie więcej kontenerów? Wydatki spółek Skarbu Państwa na ten cel są wyjątkowo nieprzejrzyste.

MARCIN PIĄTEK



© KONRAD ŚWIERAD/IMAGO SPORT/FORUM

Zadłużenie Grupy Azoty, największego państwowego koncernu chemicznego, musiało przekroczyć 10 mld zł, by uznano, że pora na oszczędności. Pierwsze pod nóż poszły wydatki na marketing i sponsoring, także sportowy. Grupa Azoty to od wielu lat dobry wujek dla siatkarek z Polic (etatowych mistrzyń kraju), siatkarzy z Kędzierzyna-Koźla (w latach 2021–23 zwycięzców Ligi Mistrzów), jak również klubu żużlowego Unia Tarnów. W mniejszym zakresie angażuje się też w inne projekty.

W „azotowych" klubach z Polic i Tarnowa, odciętych od finansowania z dnia na dzień (jeśli chodzi o eksportowy team siatkarzy z Kędzierzyna, sytuacja „jest analizowana"), zapanował popłoch. Rozpoczęły się nerwowe poszukiwania nowych sponsorów, którzy załatają budżetowe dziury. W razie niepowodzenia możliwe jest wycofanie z rozgrywek, chyba że siatkarki i żużlowcy zdecydują się reprezentować swoje kluby za darmo albo na kredyt.

Na razie tarnowscy działacze zorganizowali ratunkowe spotkanie z wiceministrem sportu Ireneuszem Rasiem. Na wieść o tym Artur Banach, współwłaściciel i sponsor żużlowego klubu z Poznania, zamieścił na swoim profilu społecznościowym emocjonalny wpis, którego istota sprowadzała się do tego: Tarnów dostawał na żużel 5 mln zł rocznie bez żadnego wysiłku ze strony działaczy, tymczasem w innych klubach budżety kleci się dzięki wkładowi wielu sponsorów; to niekończące się rozmowy, namowy i negocjacje, czyli sztuka obca tym, którzy są na państwowym garnuszku.

Dosypać do żużla

Według raportu firmy Sponsoring Insight w 2022 r. wartość polskiego rynku sponsoringu sportowego osiągnęła rekordowe 1,22 mld zł. W porównaniu z 2015 r. wydatki na te cele wzrosły o 380 mln zł. Prawie 40 proc. środków trafia do futbolu, dalej są: siatkówka, sporty motorowe, koszykówka i piłka ręczna. Aż dwie trzecie pieniędzy pochodzi z zasobów spółek Skarbu Państwa. A za wydatkowanie jednej trzeciej odpowiada, jak napisano w raporcie, branża energetyczno-paliwowa. Czyli głównie nasz narodowy czebol Orlen. Biuro prasowe koncernu nie odpowiedziało na pytanie POLITYKI, ile w ostatnim podsumowanym już roku (2022) przeznaczyło na sportowy sponsoring. Poinformowało jedynie, że tego rodzaju wydatki są częścią nakładów na marketing, które w 2022 r. wyniosły 410 mln zł. W 2015 r. na ten cel poszło 170 mln zł.

Z państwowej kasy płyną pieniądze na utrzymanie obiektów, lig, klubów, związków sportowych, reprezentacji oraz poszczególnych zawodników, a najlepsi i najbardziej rozpoznawalni mogą dodatkowo liczyć na indywidualne umowy reklamowe. Najwięcej z tego tytułu zarabia w Polsce mistrz świata na żużlu Bartosz Zmarzlik, któremu kontrakt z Orlenem gwarantuje ponoć nawet 2 mln zł, co stanowi – to też szacunki – jedną trzecią jego rocznych zarobków. To za sprawą finansowego zaangażowania Orlenu oraz kilku innych państwowych spółek w Lublinie właściwie z dnia na dzień reaktywowano żużlowy klub, który w ostatnich dwóch sezonach zdominował ligowe rozgrywki. Również dzięki transferowi Zmarzlika z jego macierzystej Stali Gorzów. Tamtejsi działacze nie mieli szans, by przebić ofertę.

Podobno zielone światło dla finansowania lubelskiego sportu ze spółek Skarbu Państwa dał Jacek Sasin, minister aktywów państwowych w czasach PiS, który kiedyś został wybrany na posła z okręgu chełmskiego i w ten sposób chciał się tamtejszym wyborcom odwdzięczyć. Zresztą z państwowych pieniędzy (przede wszystkim sumptem Polskiej Grupy Spożywczej) próbowano też w Lublinie stworzyć hegemona koszykarskiego, ale



bez skutku. Tak zatem Motor stał się „pisowskim klubem", czego nie może znieść jego prezes Jakub Krępa, który wszem wobec zapewnia, że sponsoring z państwowych spółek to zaledwie 20 proc. budżetu.

W środowisku mówi się jednak o tym, że być może część pensji dla Zmarzlika mieści się w kontrakcie reklamowym z Orlenem, poza tym trudno dyskutować z faktem, że Lublin pojawił się na żużlowej mapie nagle, od razu ściągnął do siebie mistrza świata i zbudował dzięki wsparciu państwowych firm zespół, który zdominował krajowe rozgrywki. Konkurencja nie wychyla się jednak z krytyką, ponieważ większość klubów w Ekstralidze ma państwowe spółki jako sponsorów, a PGE jest tytularnym patronem rozgrywek.

Nagła rezygnacja Azotów ze sponsorowania żużla w Tarnowie i siatkówki w Policach wywołała tam szok, bo kluby miały właściwie status przyzakładowych. Tego rodzaju wydatki są formą patronatu, jakim koncern, poprzez lokalizację swoich zakładów związany z regionem, otacza sport będący dla społeczności (a więc również pracowników firmy) jedną z rozrywek. Z tego samego powodu biorcami łatwych pieniędzy płynących z państwowej kasy są np. kluby w lubińskim okręgu miedziowym (KGHM), w Płocku (Orlen) albo w Bełchatowie (PGE). Choć akurat stamtąd płynie przestroga, jak kończy się uzależnienie od sponsorskiego monopolu: gdy PGE ucięła finansowanie piłkarzy z Bełchatowa, zespół musiał wymyślić się na nowo kilka lig niżej.

Z takiego układu do niedawna korzystały też kluby w Gdańsku, gdzie silnie zakorzeniony był Lotos, obecnie, po zrealizowanej z politycznego rozkazu fuzji z Orlenem oraz wymuszonej sprzedaży gdańskiej rafinerii, już samodzielnie nieistniejący. Płocki koncern, przejmując inne państwowe spółki (np. PGNiG czy Energę), brał na siebie kontynuację sponsorskich umów. Wchodząc w buty Lotosu, stał się nowym dobrodziejem reprezentacji piłkarzy oraz skoczków narciarskich, ale gdański sport zostawił na lodzie. – *Tylko dlatego, że Zjednoczona Prawica chciała ukarać Gdańsk, który postrzegała jako bastion opozycji. Z tego samego powodu wcześniej ucięto sponsorskie nakłady Energi dla klubów* – mówi Adam Korol, mistrz olimpijski w wioślarstwie i dyrektor miejskiego biura do spraw sportu.

Działacz jednego z klubów koszykarskich: – *W każdym klubie warto trzymać ludzi, którzy mają znajomości po obu stronach politycznej barykady. W zależności od tego, kto rządzi, uruchamia się jedną z alternatywnych opcji. A politycy uwielbiają wchodzić w role dobrych wujków, bo na stadionach i w halach łatwo o wyborców. Trzeba raz na jakiś czas pokazać się na meczu, zadbać, by spiker podkreślił rolę dobrodzieja. Jeśli na mecz przychodzi 20 tys. osób, a potem w wyborach na konkretnego kandydata zagłosuje co trzeci kibic, przepustkę do Sejmu ma się właściwie w kieszeni.*

Ten sam mechanizm, być może w jeszcze bardziej patologicznym wymiarze, działa w przypadku samorządowców, którzy z reguły ogłaszają przełomowe decyzje (finansowe wsparcie, budowę albo rozbudowę obiektu) w roku wyborczym. Kibice często odwdzięczają się głosami świadomie albo bezrefleksyjnie wybierają przy urnach dobrze znane nazwisko, ale bywają też wyczuleni na to, kto załatwia im pieniądze. Kilka miesięcy temu Łukasz Mejza – sławny na cały kraj po tym, gdy Wirtualna Polska opisała, jak wyłudzał pieniądze na niesprawdzone terapie od rodziców nieuleczalnie chorych dzieci – chwalił się, że załatwi Falubazowi Zielona Góra „wagony pieniędzy", a do klubu faktycznie jako sponsor dołączyła Enea. I Mejza do Sejmu – z list PiS – się dostał.

Dorzucić do kosza

Podstawowym wskaźnikiem uzasadniającym ładowane w sport miliony jest tzw. ekwiwalent reklamowy, czyli wyliczenia, ile trzeba byłoby zapłacić za reklamowe kampanie, aby osiągnąć taką ekspozycję, jak przy okazji transmitowanych w telewizji zawodów oraz wizualnej obecności, wszędzie tam, gdzie logo firmy miga na strojach zawodników albo na okalających stadion bandach.

Z e-maila nadesłanego przez biuro prasowe Orlenu: w 2023 r. ekwiwalent reklamowy wyniósł 1,9 mld zł, a ponad połowa ankietowanych deklarujących się jako kibice ma o firmie pozytywną opinię dzięki jej zaangażowaniu w sport. Odwoływanie się do ewentualnych nakładów poniesionych na reklamy może być przekonujące dla właścicieli firm chcących przebić się na rynku albo mających potrzebę utrwalenia wśród konsumentów swojej obecności, ale w przypadku wielu państwowych spółek traci rację bytu. Czy dzięki sportowemu sponsoringowi PGE sprzeda więcej prądu, Grupa Azoty nawozów sztucznych, a Polska Grupa Spożywcza cukru, zresztą swego jedynego produktu? Albo czy PKP Cargo przewiezie więcej kontenerów?

Odpowiedzi na pytania, jakie POLITYKA wysłała do sponsorujących sport państwowych spółek, niczego nie mówią. Proszone o ujawnienie skali wsparcia, czasu trwania umowy, kryteriów wyboru beneficjentów odpisują: szczegóły objęte są tajemnicą ▶

handlową, a wszelkie procesy decyzyjne „podejmowane są w zgodzie z wewnętrznymi uregulowaniami”. Czasami można odnieść wrażenie, że na pytanie odpowiedziała automatyczna sekretarka. W Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych – od niedawna sponsorującej zapaśników – sens tego typu wydatków jest mierzony m.in. poprzez rozpoznawalność marki oraz przenoszenie na nią pozytywnych skojarzeń. Należy podejrzewać, że wśród tych, którzy wahają się, czy w produkty PWPW – m.in. paszporty, banderole, banknoty albo wizy – zaopatrzyć się u konkurencji.

Politycy uwielbiają wchodzić w role dobrych wujków, bo na stadionach i w halach łatwo o wyborców.

Stosunkowo najmniej kontrowersyjne jest obejmowanie państwowym sponsoringiem narodowych reprezentacji, bo dzięki medalom miód leje się na kibicowskie serca oraz rośnie prestiż kraju. Problem polega na tym, że w pierwszej kolejności beneficjentami przelewów są związki sportowe. A z wydatkowania pieniędzy od sponsorów często nie trzeba się rozliczać, w przeciwieństwie do ministerialnych dotacji.

– *Zagadka: jakiego rodzaju wydatki w związkach sportowych rosną wprost proporcjonalnie do zwiększenia kasy od sponsorów? Usługi obce. Czy podejrzenie, że konkretną usługę z okazji sportowego festynu, pikniku albo po prostu zawodów realizuje podsunięta albo zaprzyjaźniona firma, jest uzasadnione? Jak najbardziej* – mówi koszykarski działacz, dobrze zorientowany w tego typu praktykach. Adam Korol, który jest również prezesem wioślarskiej federacji, zauważa jednak, że odkąd pamięta, weryfikacja wypełniania postanowień umowy z głównym sponsorem, państwową Eneą, była skrupulatna. – *Gdyby stwierdzono uchybienia, groziłyby nam kary, precyzyjnie zapisane w umowie* – opowiada.

Dojście do działów marketingu państwowych firm i pozyskanie ich w roli sponsorów zostało od niedawna dla sportowych związków ograniczone. W tę rolę wszedł Polski Komitet Olimpijski. – *W 2022 r. podpisaliśmy 3-letnią umowę z Eneą, ale została przez firmę wypowiedziana. W jej miejsce zawarliśmy nową, z PKOl-em, który koordynuje i nadzoruje jak wywiązujemy się z promocji spółki* – potwierdza Korol. Państwowych sponsorów obiecał ściągnąć do PKOl Radosław Piesiewicz, który z bliskiej znajomości z Jackiem Sasinem zrobił rok temu, w kampanii wyborczej na prezesa olimpijskiej centrali, swoją kartę przetargową. Wcześniej przećwiczył ten schemat jako prezes Polskiego Związku Koszykówki (sponsorami są tam m.in. Orlen, Pekao SA, Polska Grupa Spożywcza i Enea).

Piesiewicz narzucił układ trójstronny: spółki zawierają kontrakty sponsorskie z PKOl, który inkasuje przelew, a następnie olimpijska centrala podpisuje umowy ze związkami, obdzielając je wedle uznania, bo jasnych kryteriów nie ma. Większość działaczy ochoczo zgłosiła apetyt na kęs państwowego tortu, ale niespodziewanie znaleźli się i tacy, którzy odmówili. Opowiada Tomasz Kwiecień, wiceprezes Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego: – *Każdy sponsor ma objąć opieką pakiet związków. My byliśmy jednym z sześciu. W jednym z zapisów przewidziano prawo sponsora do natychmiastowego wypowiedzenia umowy głównej z PKOl w razie pozytywnego wyniku kontroli dopingowej u któregokolwiek z zawodników. Czyli np. wpadnie sztangista i wszyscy tracą sponsora. Co więcej, w razie wpadki dopingowej związkowi grozi kara umowna w wysokości 1,2 mln zł! Konsultowaliśmy te zapisy z kilkoma prawnikami i wszyscy zgodnie odradzili podpisywanie. Uruchomienie karnej klauzuli w sytuacji, na jaką nie mamy wpływu, jest nie tylko kuriozalne, ale groziłoby też odpowiedzialnością zarządu za narażenie związku na straty.*

Prezes Kwiecień dodaje, że prosił o okazanie umowy-matki, między PKOl a Krajową Grupą Spożywczą. Ale jej nie otrzymał. – *Nie miałem wglądu w zobowiązania, jakie w naszym imieniu poczynił PKOl wobec sponsora. To był kolejny argument przeciw* – dodaje.

Na państwowe pieniądze podsuwane przez PKOl (800 tys. zł rocznie) nie połasiła się też szermierka. – *Zgłosiliśmy do tej umowy 129 uwag. Np. za jeden dzień opóźnienia z wpisem lokującym nazwę sponsora w mediach społecznościowych zawodnika groziło nam kilkadziesiąt tysięcy kary. Odpowiedzialność zbiorowa za doping to oczywisty absurd. Tak samo jak nieokazanie nam umowy między PKOl a sponsorem. Cofnęliśmy więc pełnomocnictwo dla PKOl do negocjowania w naszym imieniu* – opowiada jeden z działaczy.

Dopompować piłkę

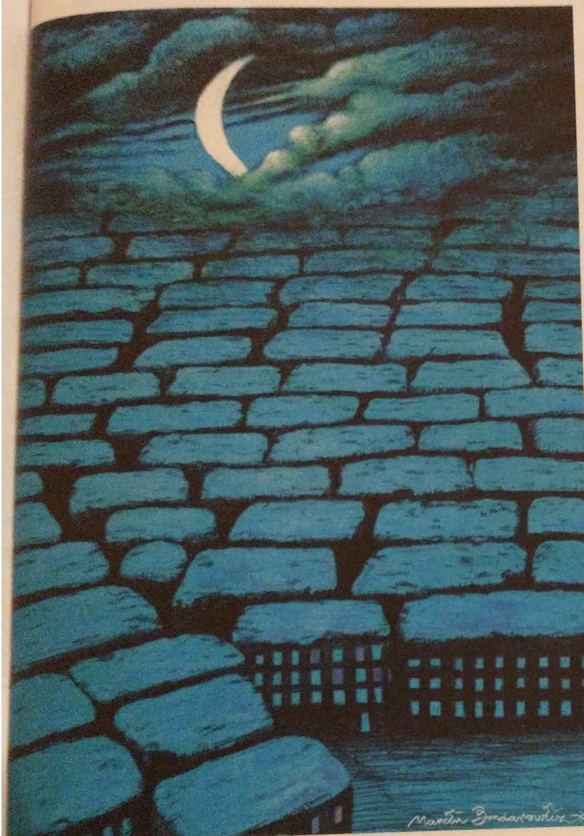
PKOl odmawia informacji o skali wsparcia od państwowych spółek. – *Piesiewicz obiecywał w kampanii 300 mln. Zakładam, że Sasin pozwolił mu dowieźć co najmniej 70* – szacuje jeden z wiceprezesów związku olimpijskiego. Ile, na co, dla kogo, według jakich kryteriów, jak wygląda rozliczanie wydatków – tego nie ujawnia ani PKOl, powołując się na swoją autonomię, ani spółki SP, zasłaniając się tajemnicą handlową. – *Za czasów PiS obowiązywała bezczelna argumentacja przećwiczona w Orlenie: że to prywatna firma, która ujawni tyle, ile chce. Jeśli wystarczyło, by nie wpuścić kontrolerów NIK, to dopominanie się o weryfikację wydatków na sponsoring jest wołaniem na puszczy* – mówi jeden z działaczy.

Ostatnie umowy udało się sfinalizować ekipie Piesiewicza rzutem na taśmę, jeszcze przed wyborami parlamentarnymi. Po zmianie władzy nowych nie przybyło. To może być efekt nieufności nowej ekipy wobec Piesiewicza, ale również konsekwencja stanu zawieszenia, w jakim tkwią spółki, czekające na nowe władze. Tymczasem sygnały o ograniczaniu państwowego patronatu nad zawodowym sportem już widać. Enea nie przedłużyła umów z klubami żużlowym i koszykarskim z Zielonej Góry, jak również z żużlowcami z Piły. A Orlen ogłosił, że likwiduje stanowisko członka zarządu ds. komunikacji i marketingu. Za czasów rządów PiS piastował je Adam Burak. Jak niedawno ustalił Onet, Burak pomagał Radosławowi Tadajewskiemu, który swego czasu wykonywał usługi na rzecz PiS w kampaniach wyborczych, tuczyć się na zleceniach od państwowych spółek. Jedna z firm Tadajewskiego, Publicon, odpowiadała za politykę marketingową i komunikacyjną Orlenu, a jednocześnie reprezentowała PZPN podczas zawierania lukratywnego kontraktu sponsorskiego z płockim koncernem. Tadajewski odwzajemnił się, zatrudniając matkę Buraka. Dla niepoznaki – pod panieńskim nazwiskiem.

Trudno o przykład bardziej patologicznego układu. Wrażenie niezwykle pryncypialnego w kwestii przejrzystości finansowych układów na linii sport–polityka–państwo stara się sprawić nowy minister sportu Sławomir Nitras. W jednym z wywiadów stwierdził, że pora skończyć z tym, że Totalizator Sportowy na polityczne polecenie wydaje środki na sport zawodowy zamiast na jego upowszechnianie, że finansujące żużel spółki Skarbu Państwa „licytują się, gdzie będzie jeździł Zmarzlik”, że Enea odciska swój sponsorski ślad akurat tam, gdzie kandyduje Sasin. Tyle tylko że kilka dni później ogłoszono, iż Krajowa Grupa Spożywcza zostaje partnerem Pogoni Szczecin, czyli klubu z rodzinnego miasta ministra Nitrasa. Środki mają wprawdzie trafić do dzieciaków, do klubowej akademii. Ale wątpliwości pozostały.

MARCIN PIĄTEK

Mieszkanie Minus



ILUSTRACJE MARCIN BONDAROWICZ

CEZARY KOWANDA

Deweloperom w Polsce ma wreszcie wyrosnąć konkurencja. Rządzący zapowiadają 100 tys. lokali na wynajem z ograniczonym czynszem. Ale na razie chętnych jest dużo więcej niż takich inwestycji: w Katowicach o jeden taki lokal rywalizowało 75 osób.

Ze składaniem obietnic mieszkaniowych politycy powinni uważać, zwłaszcza po przykrych doświadczeniach poprzedniej władzy. PiS zapowiadał budowę w czasie swoich rządów 3 mln lokali, tymczasem jego sztandarowy program Mieszkanie Plus zakończył się klęską – powstało ledwo kilkanaście tysięcy mieszkań. Nie znaczy to, że nowa koalicja zrezygnowała z podawania liczb. Niedawno wiceminister rozwoju i technologii Krzysztof Kukucki (Lewica) obiecał, że w tej kadencji powstanie w ramach różnych inicjatyw 100 tys. mieszkań przeznaczonych na tani wynajem. Wiceministrowi i jednocześnie senatorowi ta obietnica miała pewnie pomóc w kwietniowych wyborach samorządowych, w których walczył o prezydenturę Włocławka.

Ale czy taki plan jest realny? Od lat karty na naszym rynku mieszkaniowym rozdają deweloperzy. Jarosław Kaczyński mówił nawet o ich „dyktaturze”, tłumacząc tym niepowodzenia mieszkaniowe rządu Zjednoczonej Prawicy. Źli deweloperzy mieli rzekomo torpedować szlachetne inicjatywy, choć nie bardzo wiadomo jak. Tym bardziej że klęska Mieszkania Plus wynikła z braku współpracy publicznych instytucji. Np. spółki Skarbu Państwa nie chciały przekazywać gruntów do Krajowego Zasobu Nieruchomości, a rząd nie potrafił współpracować z samorządami, którym zabierał pieniądze i odbierał kompetencje.

W rzeczywistości sytuacja w Polsce to nie żadna dyktatura deweloperów, tylko brak konkurencji dla nich z powodu niemocy państwa. Prywatny sektor dyktuje warunki, bo jest w komfortowej pozycji niemalże monopolisty. Deweloperzy oddają do użytku średnio ponad 95 proc. nowych mieszkań rocznie. I tak jest od lat. Na przykład w ub.r. prywatne firmy przekazały klucze do 136,5 tys. lokali. Tymczasem budownictwo spółdzielcze, komunalne i społeczne czynszowe zapewniło łącznie niewiele ponad 4 tys. nowych mieszkań. W całej Polsce! Politycy od lat obiecują, że zmniejszą tę przepaść. I od lat im się to nie udaje.

Przykre doświadczenia PiS z Mieszkaniem Plus mają konkretne konsekwencje. Najważniejsza z nich to wycofanie się państwa, rozumianego jako rząd, z bezpośredniej budowy domów. Teraz mieszkania mają budować samorządy, a rząd będzie je tylko wspomagał, przekazując pieniądze (w formie korzystnych pożyczek i bezzwrotnych dotacji) i grunty z Krajowego Zasobu Nieruchomości. Ale to nie wystarczy, co widać zwłaszcza na przykładzie budownictwa komunalnego. Gminy mogą dostać pieniądze na pokrycie 80 proc. (a w niektórych przypadkach nawet więcej) kosztów takich inwestycji. Tymczasem w ciągu ostatnich pięciu lat ani razu nie udało się oddać nawet 2 tys. lokali komunalnych rocznie. ▶

▶ W większości gmin takich bloków w ogóle się nie stawia. – *Tylko garstka samorządów zajmuje się budownictwem komunalnym. To z pewnością nie jest priorytet dla lokalnych polityków. Dlaczego? Chyba wolą robić coś, z czego skorzystają wszyscy mieszkańcy, np. budować drogi. Wychodzą z założenia, że nowe lokale komunalne nie zapewnią im zbyt wielu głosów w wyborach. Do tego dochodzi problem z wieloletnim planowaniem. Proces inwestycyjny trwa dłużej niż jedną kadencję* – mówi Marek Wielgo, ekspert portalu gethome.pl. Podkreśla, że w ostatnich latach przyspieszyły za to remonty starych lokali komunalnych. Liczbę takich mieszkań, które stoją puste, szacuje się w całej Polsce na 60 tys. Kłopot w tym, że lokalni politycy, przekazując uroczyście klucze do wyremontowanych obiektów, zachowują się, jakby oddawali nowe inwestycje. A to w rzeczywistości tylko nadrabianie wieloletnich zaniedbań.

Trzeba jednak pamiętać, że nawet bardziej aktywne budownictwo komunalne nie rozwiązałoby problemów mieszkaniowych w Polsce. Gminy ustalają bowiem ostre kryteria dochodowe, więc wiele osób nawet nie składa wniosków o takie mieszkanie. Teoretycznie można się chwalić, że kolejka do lokali komunalnych nieco się zmniejsza. Według danych GUS na takie mieszkanie w 2023 r. czekało 123 tys. gospodarstw domowych. W 2021 r. było ich o prawie 6 tys. więcej. Ale jeszcze szybciej topnieje zasób mieszkań komunalnych: obecnie jest ich już niespełna 600 tys. w całej Polsce. Oznacza to, że gminy pozwalają na wykup większej liczby lokali, niż ich budują.

Zatem to nie mieszkania „socjalne" złożą się na obiecane 100 tys. Nacisk ma zostać położony na inwestycje kierowane do osób o umiarkowanych dochodach. Mówiąc prościej, chodzi o tych, którzy są zbyt bogaci, by marzyć o lokalu komunalnym, lecz równocześnie nie mogą wziąć kredytu i kupić od deweloperów czy na rynku wtórnym drożejących w szybkim tempie mieszkań (w dużych miastach o 11 proc. tylko przez ostatni rok). Takie osoby mają korzystać z Towarzystw Budownictwa Społecznego (TBS) i Społecznych Inicjatyw Mieszkaniowych (SIM). Te pierwsze istnieją od lat 90., drugie są pomysłem PiS po przykrych doświadczeniach z Mieszkaniem Plus.

Z punktu widzenia szukających lokali różnice między TBS i SIM są niewielkie. W obu przypadkach trzeba pokryć wkład własny (zazwyczaj to 30 proc. wartości mieszkania). Czynsze są niższe od rynkowych, ale wyraźnie wyższe od komunalnych. Różnica w nazwie wynika z innego charakteru programów. TBS istnieją głównie w dużych miastach. Tymczasem SIM dają szansę także mniejszym gminom, które mogą grupowo tworzyć takie inicjatywy razem z Krajowym Zasobem Nieruchomości. SIM powstało już ponad 30. Nowy rząd zapowiada, że program SIM będzie kontynuował. Niestety, najpierw trzeba dokonać ich audytu, bo dla PiS część z nich stała się świetnym miejscem do przechowywania partyjnych działaczy.



Kto ile buduje

Mieszkania oddane do użytkowania (w tys.)

Rok	Deweloperskie	Spółdzielcze	Komunalne	Społeczne czynszowe
2023	136,5	1,0	1,2	2,0
2022	143,8	1,5	0,6	1,6
2021	141,7	2,0	1,3	1,2
2020	143,8	1,5	1,0	1,5
2019	130,9	2,1	1,8	2,5

Źródło: GUS

Eksperci sądzą, że właśnie TBS i SIM mogą wreszcie przełamać niemoc w budownictwie społecznym. Pod warunkiem że dostaną stabilne finansowanie. – *Przypomnijmy, że TBS rozwijały się bardzo prężnie w przeszłości. Na początku XXI w. powstawało nawet 10 tys. mieszkań rocznie. Niestety w 2009 r. zamknięto Krajowy Fundusz Mieszkaniowy, który dofinansowywał inwestycje w ramach programu społecznego budownictwa czynszowego. Ten wznowiono co prawda z finansowaniem Banku Gospodarstwa Krajowego w 2015 r., ale już nie udało się odzyskać dawnej dynamiki. Największym problemem naszego budownictwa społecznego jest brak politycznej konsekwencji* – mówi Kamil Nowak, ekspert ds. mieszkalnictwa w Obserwatorium Polityki Miejskiej i Regionalnej. – *Miejmy nadzieję, że teraz się to zmieni. Rząd deklaruje, że na wsparcie TBS i SIM będzie do dyspozycji 5 mld zł rocznie. TBS lub SIM obecny jest już w co czwartej gminie. SIM zaczęły na razie prace*

przy 2 tys. lokali, a kolejne 9 tys. ma pozwolenie na budowę. Jest zatem wreszcie nadzieja na przełamanie państwowej niemocy. Jednak wszystko zależy od tego, czy strumień z pieniędzmi nie zostanie nagle zakręcony.

Brakiem chętnych na takie lokale samorządy z pewnością nie powinny się martwić. Na przykład w katowickim TBS w ub.r. o jedno z mieszkań walczyło… 75 chętnych! W szczecińskim TBS trzeba losować, kto zamieszka w nowej inwestycji niedaleko placu Zgody. Zainteresowanych nie zniechęcają nawet skargi niektórych mieszkańców z istniejących TBS. Ich losom przygląda się specjalnie powołany zespół w Sejmie. Przedstawiciele lokatorów skarżą się na zbyt wysokie podwyżki miesięcznych opłat, niepotrzebne wydatki niektórych spółek prowadzących TBS czy niejasne zasady wykupu takich lokali po tym, jak mieszkańcy spłacą już w ramach czynszu koszty budowy. We Wrocławiu niezadowoleni poszli nawet do sądów, aby zmusić TBS do ograniczenia podwyżek opłat – z dość marnym zresztą skutkiem.

Trudno się dziwić ogromnemu zainteresowaniu mieszkaniami z TBS czy SIM, nawet jeśli nie są to rozwiązania idealne. Kto nie kwalifikuje się na lokal komunalny i nie może sobie pozwolić na kredyt mieszkaniowy, temu pozostaje komercyjny rynek najmu. A na nim zarabiają, i to coraz lepiej, prywatni właściciele. Według danych resortu finansów przychody z takiego najmu, zgłoszone do fiskusa, sięgnęły ponad 23 mld zł w 2022 r. To wzrost aż o 5 mld zł w ciągu zaledwie roku. Co prawda czynsze w ostatnich miesiącach się ustabilizowały, po drastycznych podwyżkach w czasie napływu uchodźców z Ukrainy, ale w relacji do zarobków pozostają bardzo wysokie.

Popyt na mieszkania od samorządów zatem jest i pozostanie bardzo wysoki. Wiedzą o tym politycy. Marcin Horała, były pełnomocnik ds. budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego, snuł krótko przed swoim odwołaniem wizje budowy ogromnego osiedla na 30 tys. lokali z niskim czynszem dla młodych ludzi, które miałoby powstać na terenie obecnego portu Chopina. Po tym jak zostanie zamknięty, by nie konkurować z nowym wspaniałym hubem.

Tymczasem zamiast takich bajek potrzeba konkretnych rozwiązań, które choć trochę ulżyłyby poszukującym mieszkań w rozsądnych cenach. Nie tylko TBS czy SIM cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Bardzo popularne są programy pod hasłem „Mieszkanie za remont”. Idea jest prosta: gminy szukają chętnych, którzy najpierw za swoje środki wyremontują lokale komunalne, a potem będą mogli w nich zamieszkać na preferencyjnych warunkach. Samorząd nie musi sam martwić się o fundusze na modernizację ani organizować przetargów. Liczy także, że najemca, który zainwestuje własne pieniądze w remont, będzie później wzorowo dbał o swój lokal. W Krakowie na początku marca miasto oferowało sto takich mieszkań. Chętni koczowali przed urzędem w kolejce przez całą noc, bo chociaż stworzono listę kryteriów, to przy równej punktacji miała decydować kolejność złożenia wniosku.

Inną metodą zaspokojenia głodu mieszkaniowego mogłoby się okazać udostępnianie lokali prywatnych, które stoją puste z różnych powodów. Niektórzy właściciele boją się niesolidnych najemców, inni nie chcą lub nie mogą inwestować środków w niezbędny remont. Nie wiadomo, ile takich mieszkań jest w Polsce. Dane GUS mówią co prawda aż o 1,8 mln lokali bez stałego lokatora, ale urząd nie rozróżnia między np. domami wakacyjnymi a rzeczywistymi pustostanami. Z pewnością jednak to ogromne źródło niewykorzystanych mieszkań w metropoliach. Samorządy mogą się ubiegać o rządowe wsparcie na stworzenie Społecznych Agencji Najmu (SAN). Idea ich działania wydaje się ciekawa: prywatni właściciele udostępniają swoje lokale takiej instytucji. Ona zaś wynajmuje mieszkania tym, którzy mają zbyt wysokie dochody, by dostać lokal komunalny, ale zbyt niskie, by płacić czynsze komercyjne.

Niestety na razie SAN jest bardzo niewiele. Gminy nie spieszą się z ich tworzeniem, chociaż tylko na ten cel czeka aż 100 mln zł państwowego wsparcia. Niektóre samorządy narzekają, że trudno znaleźć prywatnych właścicieli chętnych do współpracy, skoro w ramach SAN dostaną czynsz o ok. 30 proc. niższy od tego na rynku komercyjnym. Jednak w Poznaniu taka agencja rozwija się mimo trudnych warunków. – *Pozyskaliśmy na razie ok. 70 lokali, chętnych na najem jest trzy razy więcej. Zawarliśmy już 38 umów. W ramach naszego SAN wynajem kawalerki kosztuje do 1,5 tys. zł miesięcznie, mieszkania dwupokojowego – do 2 tys., a trzypokojowego lub większego – do 2,5 tys. zł. Warto podkreślić, że te kwoty zawierają również czynsz dla wspólnoty. Do tego lokatorzy mogą korzystać z dopłat w ramach programu „Mieszkanie na start”. Właściciele rzeczywiście otrzymają mniej niż przy wynajmie komercyjnym, ale są zwolnieni z podatku od najmu, a do tego gwarantujemy im terminowe płatności i ewentualny remont w przypadku zniszczenia lokalu. W dodatku zarabiają przez cały rok, nie ma żadnych przerw, co często się zdarza, gdy najemcami są np. studenci* – opowiada Tomasz Lewandowski, prezes zarządu Komunalnych Zasobów Lokalowych w Poznaniu.

Po raz pierwszy od wielu lat nie brakuje dzisiaj ani pieniędzy na rozwój budownictwa publicznego, ani różnych rozwiązań. Czy zatem deweloperzy mogą się wreszcie poczuć zagrożeni? Wszystko zależy od tego, jaką strategię przyjmą politycy. Jeśli nie stworzą stabilnych, wieloletnich ram finansowania dla samorządów, niewiele się zmieni. – *Mamy rzeczywiście wiele programów, które jednak nawzajem się nie widzą, wręcz się wykluczają. Musimy określić konkretne cele. Dzisiaj np. gminy wolą przeznaczać pod publiczne inwestycje grunty nieuzbrojone, a te lepiej przygotowane sprzedają na wolnym rynku. Powinniśmy też premiować samorządy, które jak najszybciej zagospodarowują pustostany. Potrzebujemy oczywiście pieniędzy od państwa, ale potrzebujemy też jasnej strategii gdzie, ile i za jaką kwotę budować* – przekonuje Tomasz Lewandowski z poznańskiego Zarządu Komunalnych Zasobów Lokalowych.

Na razie politycy odkryli, że tematy mieszkaniowe są priorytetem młodych wyborców, więc w kampanii samorządowej – chyba po raz pierwszy w historii – obiecywali remonty i nowe bloki na dużą większą skalę niż dotąd. Czy gdy opadnie już wyborczy kurz, pojawi się kurz budowlany?

CEZARY KOWANDA

Rozstrzelany konwój

Śmierć pracowników World Central Kitchen, w tym Polaka Damiana Sobóla, według Izraela była przypadkowa. Ale wpisuje się w izraelską strategię ograniczania pomocy humanitarnej w celach wojennych.

ALA QANDIL



Deir al-Balah, Strefa Gazy. Jeden z trzech samochodów ostrzelanych 1 kwietnia. W ataku zginęło siedmioro cywilów.

© ALI JADALLAH/ABACA/EAST NEWS

D

Jeszcze tego
charytatywne
nek. WCK spe
objętych kryz
trzema precy
rowcę i sześci
się rozładowa
nu w central
240 ton wróc
w regionie.

To była już
ską do Gazy.
Josep Borrell
Bezpieczeńst
rzędzia prow
wychudzony
wała 27 przyp
mogło ich by

W Gazie gł
wszystkich r
części, odcię
nymi. Według
rodzin spęd
Zdecydowan
dostępu do
zniszczył wi
nością wojo

Kule nie

Izrael kon
humanitarn
organizacji
jednorazow
z północnyc
mocą wjeżd
w południo
wości, na g
do ruchu c
godniami b
przeciwko

Większoś
z obawy, że
nizacje. Jed
ale nie mo
Kolejna osc
nistracja w
wek, i tak m
zakazanyc
zarówno c
i bywa doś
topedyczn

Do molo zbudowanego z gruzów gazańskich domów 1 kwietnia przycumował statek z Cypru z 340 tonami pomocy humanitarnej na pokładzie. Po sześciu miesiącach izraelskich bombardowań, w których zniszczona lub uszkodzona została ponad połowa budynków, jedyne, czego w Gazie dziś nie brakuje, to gruzów.

Jeszcze tego samego dnia personel amerykańskiej organizacji charytatywnej World Central Kitchen (WCK) rozpoczął rozładunek. WCK specjalizuje się w dostarczaniu posiłków do miejsc objętych kryzysem. Zanim izraelski pilot drona (lub dronów) trzema precyzyjnymi uderzeniami zabił palestyńskiego kierowcę i sześciu zagranicznych wolontariuszy, zespołowi udało się rozładować 100 ton pomocy i przewieźć zapasy do magazynu w centralnej części Strefy Gazy, w Deir al-Balah. Pozostałe 240 ton wróciło na Cypr po tym, jak WCK zawiesiła działania w regionie.

To była już druga dostawa pomocy humanitarnej drogą morską do Gazy. Pierwsza wyruszyła 12 marca; tego samego dnia Josep Borrell, szef unijnej dyplomacji, przemawiając w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, potępił Izrael za używanie głodu jako narzędzia prowadzenia wojny. Z Gazy docierały pierwsze zdjęcia wychudzonych dzieci. Administracja palestyńska zdokumentowała 27 przypadków śmierci głodowej, choć zdaniem ekspertów mogło ich być dużo więcej.

W Gazie głodem zagrożonych jest ponad milion osób – połowa wszystkich mieszkańców. Najgorsza sytuacja jest w północnej części, odciętej od reszty enklawy izraelskimi punktami kontrolnymi. Według danych UNICEF na północy w marcu „dwie trzecie rodzin spędziło bez jedzenia co najmniej 10 całych dni i nocy". Zdecydowana większość Palestyńczyków w Strefie Gazy nie ma dostępu do pitnej wody, prądu i opieki medycznej, bo Izrael zniszczył większość szpitali, najczęściej tłumacząc te ataki obecnością wojowników Hamasu.

Kule nie przejadą

Izrael kontroluje i ogranicza cały proces dostarczania pomocy humanitarnej. W reportażu CNN z początku marca pracownicy organizacji pomocowych opowiadali, z czym się zmagają. Poza jednorazowym konwojem, który wjechał w marcu przez jedną z północnych bram w płocie otaczającym Gazę, ciężarówki z pomocą wjeżdżają tylko przez dwa przejścia graniczne ulokowane w południowej części Strefy: Rafah – o ograniczonej przepustowości, na granicy z Egiptem, i Kerem Szalom – przystosowane do ruchu ciężarówek, od strony Izraela. To drugie bywało tygodniami blokowane przez izraelskich cywilów protestujących przeciwko wwożeniu do Gazy jakiejkolwiek pomocy.

Większość rozmówców CNN chciała zachować anonimowość z obawy, że Izrael nałoży jeszcze więcej ograniczeń na ich organizacje. Jeden z nich mówił o tym, że mają 15 tys. ton towarów, ale nie mogą wjechać, bo wciąż czekają na izraelską inspekcję. Kolejna osoba skarżyła się, że nawet jeśli COGAT (izraelska administracja wojskowa ds. cywilnych) zaakceptuje zawartość ciężarówek, i tak mogą zostać zawrócone na przejściu granicznym. Lista zakazanych przedmiotów, które Izrael uznaje za mogące służyć zarówno celom cywilnym, jak i wojskowym, ciągle się zmienia i bywa dość arbitralna. Do Gazy nie mogą wjechać np. kule ortopedyczne, anestetyki czy nożyczki chirurgiczne.

Cytowana w materiale CNN Janti Soeripto, dyrektorka organizacji Save the Children US, powiedziała, że była świadkiem, jak ciężarówki, które przeszły już inspekcję, są zawracane – bo śpiwory miały suwaki, a w pakietach higienicznych z podpaskami były cążki do paznokci. Innym razem śpiwory nie wjechały, bo były zielone, a zieleń to kolor wojskowy. Taki sam los spotkał zestawy dla matek i noworodków czy systemy filtracji wody. W dodatku nawet jeśli tylko niektóre przedmioty zostaną uznane za problematyczne, zawracana jest cała ciężarówka, a trwający często tygodniami proces weryfikacji zaczyna się od nowa.

Ograniczanie pomocy humanitarnej jest zbieżne z oficjalną izraelską polityką blokady Gazy, a premier Beniamin Netanjahu pochwalił się nawet w połowie stycznia, że Izrael do Gazy celowo wpuszcza tylko minimalne ilości pomocy. Mimo to COGAT zaprzecza wszystkim informacjom z materiału CNN.

Nawet jeśli pomoc wjedzie do Strefy Gazy przez południowe przejścia graniczne, nie ma gwarancji, że trafi do najbardziej potrzebujących, szczególnie tych na północy enklawy. Zdarza się też, że zdesperowani Palestyńczycy zabierają jedzenie z czekających na dalszy przejazd ciężarówek. Coraz więcej osób boi się zbliżać do miejsc dystrybucji ze względu na izraelskie ataki na czekających na pomoc. O ile pod koniec lutego oburzenie świata wywołał izraelski ostrzał (według Izraela żołnierze poczuli się zagrożeni) ludzi chaotycznie rozładowujących ciężarówki w mieście Gaza – zginęło wtedy 118 osób, a 760 zostało rannych – o tyle kolejne, podobne, nie zostały już tak nagłośnione.

Według danych ONZ podobnych ataków było już 24, a według lokalnego Ministerstwa Zdrowia izraelska armia do połowy marca zabiła w nich 400 osób. Na początku lutego izraelska armia ostrzelała jadący na północ oenzetowski konwój z pomocą, mimo że jego przejazd został zgłoszony i zatwierdzony przez armię. 10 ciężarówek stało na izraelskim punkcie kontrolnym, gdy jedna z nich, wypełniona żywnością, została ostrzelana przez okręt marynarki wojennej. Pozostałe zawrócono. Władze miały sprawę zbadać, ale jak dotąd nie poinformowały o wynikach śledztwa.

Zniszczone przez armię drogi; śmierć ludzi z lokalnych władz odpowiedzialnych za koordynowanie wjazdów pomocy, a także policjantów, którzy chronili ciężarówki przed wygłodzonymi ludźmi; piętrzące się przeszkody biurokratyczne i regularne ostrzeliwanie konwojów – wszystko to sprawia, że od strony Egiptu na północ Gazy nie dociera obecnie prawie nic. Stąd próby transportu pomocy drogą morską oraz nieliczne, kosztowne i nieskuteczne zrzuty żywności z samolotów.

UNRWA kontra WCK?

W Strefie Gazy wciąż działa prawdopodobnie kilkadziesiąt organizacji pomocowych. Kluczową z nich jest UNRWA, oenzetowska agencja ds. palestyńskich uchodźców na Bliskim Wschodzie. Została powołana w 1949 r. – po tym, jak Izrael wysiedlił 750 tys. Palestyńczyków z ich ziem. UNRWA miała być agencją tymczasową, ale Izrael nigdy nie pozwolił uchodźcom wrócić. Wielu z nich w 1948 r. uciekło do Strefy Gazy, dziś oni i ich potomkowie stanowią ponad 70 proc. wszystkich mieszkańców tej enklawy.

Ogromna większość zatrudnionych w organizacji to Palestyńczycy. UNRWA m.in. prowadzi szkoły, przedszkola, szpitale i przychodnie, kursy zawodowe, dystrybucję jedzenia, remonty infrastruktury w obozach. Obecnie w swoich szkołach zorganizowała schroniska dla wewnętrznie przesiedlonych Palestyńczyków (ponad 80 proc. wszystkich mieszkańców enklawy). UNRWA ▶

▶ w Strefie Gazy pełni niejako funkcję równoległej administracji cywilnej, zatrudniając 13 tys. osób.

I być może właśnie z powodu tej kluczowej dla Palestyńczyków roli Izrael uparł się, by UNRWA zlikwidować. Zaczęło się od zarzutów o udział 12 pracowników UNRWA w ataku Hamasu na Izrael 7 października, w którym zginęło blisko 1,2 tys. obywateli Izraela, a 250 zostało uprowadzonych (w Strefie Gazy do dziś zginęło ponad 33 tys. osób, przynajmniej co trzecia to dziecko). Zarzuty w stosunku do pracowników UNRWA do dziś nie zostały poparte wiarygodnymi dowodami, mimo to posądzeni o terroryzm pracownicy zostali przez UNRWA pod presją zwolnieni. Izrael zwrócił się też do sekretarza generalnego ONZ, by ten UNRWA zastąpił nową agencją.

Zarzuty poskutkowały tym, że część krajów okresowo wycofała się z finansowania organizacji, choć większość już przywróciła wpłaty, z wyjątkiem USA. Ale prywatni donatorzy nadal boją się wpłacać pieniądze na UNRWA. Wśród obecnych w Palestynie pracowników humanitarnych nikt nie ma wątpliwości, że ta agencja jest kluczowa dla całej operacji pomocowej. Więc choć walka o dotacje między organizacjami często bywa bezwzględna, wiele z nich odmawia teraz przyjmowania środków, które pierwotnie miały być przeznaczone dla UNRWA.

Szczególnie że to właśnie UNRWA jako jedna z ostatnich dostarczała pomoc na północ Strefy Gazy. Pod koniec marca Izrael jednak zerwał z nią kontakty, jednocześnie zezwalając WCK na wjazd do północnej Strefy Gazy.

World Central Kitchen 15 lat temu założył słynny szef kuchni José Andrés. W Polsce dała się poznać w 2022 r., gdy z Ukrainy docierały miliony uchodźców. Działała i u nas, i w samej Ukrainie, często wchodząc w partnerstwo z lokalnymi biznesami i organizacjami oraz stawiając wielkie kuchnie. W Polsce – m.in. w Przemyślu. I tam właśnie do WCK trafił Damian Soból – pomagał z logistyką, gotowaniem, jeździł też z dostawami pomocy do Ukrainy, a potem do innych miejsc, m.in. Turcji. Aż w końcu dotarł do Strefy Gazy.

Od początku izraelskiej inwazji w kilkudziesięciu ogromnych kuchniach, które WCK postawiła w centralnej i południowej części enklawy, jej zespół przyrządził ponad 40 mln posiłków. „Oferują świeże warzywa, które albo nie są dostępne na rynku, albo są strasznie drogie. (…) WCK niemalże z dnia na dzień zorganizowała drugą pod względem wielkości – po istniejącej od 1949 r. UNRWA – największą operację pomocową. Szybkość działania sugeruje, że izraelska biurokracja musiała ułatwić im ten proces" – pisze izraelska dziennikarka Amira Hass w dzienniku „Haaretz". Dodaje też, że ewidentnie była to część izraelskiej strategii obliczonej na pozbycie się UNRWA.

Hass widzi w ataku na personel WCK strzał Izraela we własną stopę, bo WCK zawiesiła działalność w Gazie i teraz nie będzie kim UNRWA zastąpić. Ale organizacje pomocowe interpretują to zupełnie inaczej – jako celowe działanie, które ma je zastraszyć i zniechęcić do działania w Strefie Gazy.

Lista celów

Po tym, jak 1 kwietnia personel WCK rozładował pierwsze 100 ton pomocy ze statku i przewiózł ją do magazynu, sześciu międzynarodowych pracowników organizacji i palestyński kierowca – zgodnie z obowiązującym protokołem bezpieczeństwa – skoordynowali z izraelską administracją wojskową plan powrotu do swojej siedziby w Rafah.

Organizacje pomocowe mają opracowane protokoły bezpieczeństwa. Poza oznakowaniem samochodów, kamizelkami, hełmami kluczowa jest kwestia uzgodnień z lokalnymi władzami. Z zasady organizacje informują izraelską armię o współrzędnych geograficznych swoich magazynów, siedzib, domów. Zgłaszają, kiedy i dokąd będą się przemieszczać oraz w jakich samochodach.

W Gazie od miesięcy kolejne organizacje starają się to ukrywać, a w szczególności współrzędne geograficzne miejsc, w których realizują pomoc – opowiadają w nieoficjalnych rozmowach pracownicy humanitarni. Ich obiekty były w ciągu ostatnich sześciu miesięcy ostrzeliwane. Organizacje uznały więc, że izraelska armia „traktuje listę obiektów chronionych jak listę celów" – wyjaśniał tę logikę w rozmowie z serwisem New Humanitarian Jesse Marks z Refugees International.

Po ataku na konwój WCK przedstawiciele organizacji pomocowych nie przebierają już w słowach. „Nie akceptujemy narracji o niefortunnym incydencie. (…) Bo to, co spotkało konwoje WCK i MSF, i siedzibę MSF, jest częścią tego samego wzorca celowych ataków na pracowników humanitarnych i medycznych, dziennikarzy, pracowników ONZ, szkół i domów" – powiedział podczas konferencji prasowej w Genewie Christopher Lockyear, sekretarz generalny MSF, Médecins Sans Frontières International.

Odniósł się też do izraelskiego ataku na siedzibę MSF położoną na obrzeżach Chan Junis. W ostrzale z 20 lutego zginęła synowa i żona jednego z pracowników, a sześć osób zostało rannych, z czego pięć to kobiety i dzieci. W budynku przebywały wtedy 64 osoby. Niektóre z nich to ocalali z poprzedniego ataku izraelskiej armii na inny dom MSF w Rafah, z 8 stycznia. Zginęła wtedy pięcioletnia córka pracownika organizacji.

Izraelska armia była informowana i potwierdziła odbiór informacji o współrzędnych geograficznych budynku na obrzeżach Chan Junis, na którym dodatkowo wisiała ogromna flaga z logo MSF. Dopiero po wszczęciu śledztwa dziennikarskiego w tej sprawie przez Sky News, ponad miesiąc po ostrzelaniu domu MSF, izraelska armia zapowiedziała swoje śledztwo. W oświadczeniu dodatkowo podała, że żołnierze „ostrzelali budynek, który został zidentyfikowany jako miejsce, w którym ma miejsce działalność terrorystyczna". MSF odrzuca te zarzuty.

Niefortunne incydenty

Wszystkie te ataki – na siedziby MSF i na konwój WCK – są coraz częściej łączone ze sobą. „Śmierć wolontariuszy jest tragedią. Ale jest też opowieścią o zachodnim rasizmie" – pisał na portalu Middle East Eye brytyjski dziennikarz Peter Oborne. Odnosił się do faktu, że do końca marca w Strefie Gazy zginęło 196 pracowników humanitarnych i 76 zostało rannych. Ów rasizm według Oborne'a polega na tym, że musieli dopiero zginąć obywatele Zachodu, aby świat zwrócił uwagę.

Tego samego dnia, co atak na konwój WCK, zakończyło się dwutygodniowe oblężenie szpitala Szifa w mieście Gaza. WHO podało, że podczas oblężenia zginęło 21 pacjentów, a prośby organizacji humanitarnych, by strona izraelska zezwoliła na ewakuację, zostały zignorowane. Dopiero po ataku udało się przetransportować część pacjentów w stanie agonalnym do innego szpitala.

Władze wojskowe twierdzą, że Hamas miał swoją siedzibę w szpitalu, a w samym ataku armia zabiła i aresztowała setki terrorystów, zaś cywile w żaden sposób nie ucierpieli.

Dla samych Palestyńczyków tragiczna śmierć międzynarodowych pracowników humanitarnych może mieć katastrofalne skutki. W tej chwili już żadna organizacja nie dostarcza regularnie żywności w północnej Gazie. Wiele z nich, biorąc też pod uwagę zapowiadaną izraelską inwazję na Rafah, planuje zupełnie wycofać swój zagraniczny personel i zawiesić działalność w Strefie, tak jak zrobiło to WCK.

ALA QANDIL



Jeden z podejrzanych o udział w zamachu na Crocus City Hall.

Po zamachu na Crocus City Hall Rosję zalała nowa fala nienawiści. W tym wieloetnicznym kraju już strach nie wyglądać jak typowy Słowianin. Ale chyba nie o to Kremlowi chodziło.

Casting na wroga

PAWEŁ RESZKA

Wasilina Łukina, mieszkająca w Moskwie Jakutka, zamieściła w sieci nagranie. Na stacji metra grupa młodych mężczyzn otacza i obrzuca rasistowskimi wyzwiskami jej siostrę. „Tysiące Jakutów bronią ojczyzny na pierwszej linii Specjalnej Operacji Wojskowej, a ci dranie poniżają i obrażają nasze bezbronne dziewczyny" – skomentowała.

Takie incydenty nie są w Rosji rzadkością. Jednak po ataku terrorystów na salę koncertową na obrzeżach Moskwy przybrały na intensywności i brutalności. Neonazistowskie bojówki polują na kurierów (którymi są zazwyczaj imigranci), kobiety ubrane w hidżaby albo kogokolwiek, kto wygląda nie dość słowiańsko.

Pryskają gazem pieprzowym w oczy. Potem okładają ofiarę kułakami albo po prostu uciekają. Filmy z akcji pokazują w internecie z napisami: „Zemsta za Crocus".

Nacjonaliści chwalą się też przecinaniem opon w autach, które mają tablice rejestracyjne z Czeczenii, Dagestanu, Kazachstanu, Tadżykistanu i Uzbekistanu. W Błagowieszczańsku spłonął warzywniak prowadzony przez „nie-Słowian", atakowane są budki z kebabami, dochodzi do bezczeszczenia meczetów, a nawet ataków z bronią w ręku.

Wiktoria Maładiejewa z Fundacji Indigenous of Russia, która zajmuje się rdzennymi narodami Rosji, w rozmowie z portalem Mediazona ocenia, że społeczeństwo obarczyło winą za zamach terrorystyczny najbardziej bezbronną część populacji, tj. migrantów: „A ponieważ do ataków dochodzi na podstawie wyglądu, a nie paszportu, obrywają także obywatele Rosji, przedstawiciele mniejszości etnicznych".

Sprawy zaszły za daleko i Władimir Putin uznał, że czas nacisnąć na hamulec. Podczas spotkania z szefostwem MSW stwierdził, że „organizatorom i sprawcom zamachu zależało właśnie na wywołaniu fali ksenofobii i islamofobii". Dodał, że należy zapobiegać „podziałom i panice w kraju".

Zgroza

Zamach terrorystyczny w Crocus City Hall 22 marca (ponad 140 ofiar śmiertelnych, ponad 500 rannych) wywołał w Rosji szok. „W opinii naszych respondentów ta tragedia dorównuje największym atakom terrorystycznym pierwszej dekady XXI w.: Nord-Ost (2002), Biesłan (2004), eksplozje w moskiewskim metrze (2010 i 2014 r.)" – napisał Denis Wołkow, socjolog z niezależnego ośrodka badawczego im. Jurija Lewady.

Jednym z powodów przerażenia była łatwość identyfikacji zwykłych rosyjskich mieszczuchów z ofiarami. Kto z nich nie lubi w piątek wyskoczyć do centrum handlowego? Kupić coś, zjeść obiad, a wieczór zakończyć na rockowym koncercie. Z tych to właśnie powodów 22 marca wieczorem w Crocusie znalazło się ok. 6,2 tys. widzów. Zgrozę potęgowała brutalność ataku. Napastnicy nie wysuwali żądań, nie chcieli zakładników. Szli przez salę koncertową. Seriami strzelali do widzów. Rozlewali benzynę i rozniecali ogień. ▶

▶ Rosja zobaczyła egzekucję bezbronnych, podrzynanie gardeł rannym i ucieczkę po trupach. Zobaczyła dosłownie – zamach nagrywali widzowie, ale i sami terroryści. Filmy pojawiły się w sieci, cały kraj siedział wpatrzony w ekrany smartfonów. A nazajutrz spontanicznie organizowano miejsca upamiętnienia ofiar. Oddawano krew.

Dysonans

Tragedii musiał towarzyszyć dysonans poznawczy. Przed chwilą Rosja „wybrała" Putina na kolejną, sześcioletnią kadencję. Prezydent pobił rekordy (87 proc. poparcia przy 77 proc. frekwencji). Ile w tym wyniku prawdy, a ile fałszu, nie ma znaczenia.

Niezależne badania centrum Lewady wykazują, że 86 proc. pytanych odczuwa satysfakcję z kampanii i wyników. A to 12 pkt proc. więcej niż w czasie poprzednich wyborów w 2018 r. Wojna z sąsiedzką Ukrainą, wysyłanie dziesiątków tysięcy żołnierzy na front, sankcje, ograniczanie praw obywatelskich, zamykanie opozycjonistów czy ich mordowanie nie wywoływały masowych protestów.

Trzy czwarte Rosjan podchodzi do rzeczywistości optymistycznie. Oczekują, że po wyborach sytuacja zmieni się na lepsze. Sam prezydent podkreślał niedawno przed połączonymi izbami parlamentu, że jego priorytetem jest bezpieczeństwo obywateli.

Krwawy atak z 22 marca zepsuł ten obrazek. Tym bardziej że doszło do niego nie na prowincji, ale w popularnym centrum rozrywki na przedmieściach stolicy.

Zamachowcy to czterej mężczyźni, którzy – jak zauważyli internauci – „nie wyglądali na Rambo". Chwilę przed godz. 20 zaparkowali niewielki samochód przed salą koncertową (zresztą opodal radiowozu). Przez kilkanaście minut dokonywali egzekucji. Około 20.15 wsiedli do auta i odjechali nieniepokojeni.

Uzbrojone oddziały policyjne były na miejscu ok. 20.30. Mimo że najbliższy posterunek jest po sąsiedzku, a baza OMON znajduje się w prostej linii ledwie 3 km od miejsca tragedii. Stróże prawa weszli do budynku, w którym nie było napastników. Ich obecność raczej utrudniała pracę ratownikom i strażakom. Akcję trudno więc zaliczyć do udanych.

ISIS

Do zamachu przyznała się organizacja terrorystyczna Państwo Islamskie Chorasan (ISIS-K), na dowód pokazując film kręcony przez napastników.

Niedługo potem w obwodzie briańskim – 100 km od granicy z Ukrainą – złapano czterech sprawców. Byli to obywatele Tadżykistanu. Dziennikarze niezależnego portalu Insider* przeanalizowali zdjęcia i filmy zatrzymanych oraz filmy zrobione wcześniej w Crocus City Hall. Zgadzały się szczegóły ubioru i wyglądało na to, że pojmani są rzeczywiście poszukiwanymi terrorystami. Wersja z ISIS-K miała sens, co nie było dobrą wiadomością dla Kremla. Najwidoczniej Putin, od dwóch lat skoncentrowany na wojnie w Ukrainie, zapomniał o innych zagrożeniach.

A sygnałów ostrzegawczych nie brakowało. Nędza, brak praw obywatelskich, zacofanie – wszystko to sprawia, że 10-milionowy Tadżykistan jest idealnym miejscem do rekrutowania terrorystów. Zamieszkany w 96 proc. przez sunnitów, rządzony od 1994 r. przez klan prezydenta Emomali Rahmona, jest jednym z najbiedniejszych państw świata (nominalny dochód narodowy na głowę jest niższy niż w Etiopii).

Przy tym Tadżykistan to bliski sojusznik Rosji (członek Wspólnoty Niepodległych Państw i Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym). A co najważniejsze, główny – obok Uzbekistanu – dostarczyciel taniej siły roboczej.

Tzw. Państwo Islamskie nieraz posługiwało się terrorystami rekrutowanymi w Tadżykistanie. Odpowiadają oni za zamachy w Iranie, Afganistanie i próby zamachów w Turcji i Niemczech. *– Prezydent Rahmon niedawno informował, że w ciągu ostatnich trzech lat 24 obywateli Tadżykistanu przeprowadziło ataki terrorystyczne lub było podejrzanych o ich planowanie w 10 krajach. Imponująca skala jak na mały kraj* – zauważa Temur Umarow, specjalista ds. Azji Środkowej, ekspert Carnegie Endowment.

Warto też przypomnieć, że na początku marca służby USA i Wielkiej Brytanii ostrzegały Moskwę, że ISIS może zaatakować. Putin to zignorował. Oficjalnie powiedział, że to próba zastraszania Rosjan, podjęta przez Zachód. Potem Kreml tłumaczył się, że informacje były mało konkretne. Zdaje się, że to jednak nieprawda. Mówiono w nich nawet, że do ataku może dojść na koncercie. Według Reutersa analogiczna przestroga napłynęła też z Teheranu.

Ukraina

Putin nie bardzo się tym przejmował. W pierwszym wystąpieniu po zamachu (odczekał blisko 20 godzin) nie wspomniał o ISIS i zaznaczył, że „terroryści nie mają narodowości". Oznaczało to, że nie ma pretensji ani do muzułmanów, ani do Tadżyków. Miał za to pretensję do Ukrainy. Bo terrorystów złapano 100 km od granicy z tym krajem. „Według wstępnych danych czekało tam na nich bezpieczne okno" – mówił rosyjski prezydent.

Ukraiński ślad zaczęto „potwierdzać" urzędowo. Prokuratura przekonywała, że czterej pochwyceni terroryści już wyjawili swoje związki z ukraińskimi nacjonalistami. I że „obiecane wynagrodzenie mieli otrzymać w Kijowie". Teraz rosyjskie MON chwali się, że przybyło ochotników. Ci, którzy się zgłaszają, mówią, że chcą się mścić za atak z 22 marca. Z kolei Ukraińcy w Charkowie znaleźli szczątki rosyjskiego drona, na którym był napis „Za Crocus".

Dalej niż prokuratorzy posunął się szef FSB – sugerował udział w zamachu nie tylko służb Ukrainy, ale też USA i Wielkiej Brytanii. Według rosyjskiej Służby Wywiadu Wojskowego władze USA zaleciły nawet mediom i organizacjom pozarządowym usuwanie informacji mogących sugerować ukraińskie zaangażowanie w atak. Natomiast były prezydent Dmitrij Miedwiediew proponował, by po prostu zlikwidować przywódców państwa ukraińskiego, gdy tylko ich udział w ataku zostanie potwierdzony.

W propagandowych programach telewizyjnych wszystko było jeszcze bardziej oczywiste. Wykonawcami byli obywatele Tadżykistanu. Organizatorami: nazistowskie władze Ukrainy. Ale zleceniodawcy to Zachód. „Nie wierzę zachodniej swołoczy, która składa nam kondolencje. Czeskie, brytyjskie, francuskie szumowiny, dranie z Niemiec, dostarczacie broń, żeby zabijać Rosjan. Teraz zabiliście ponad 100 osób w Crocus City. Powinniście się cieszyć" – oznajmił czołowy propagandysta Władimir Sołowiow w swoim show.

Tortury

Ulica jednak wiedziała swoje. Ukraiński ślad wyglądał słabiutko. Zaś pojmani Tadżycy – bardzo realnie. Odpowiadali archetypowi „obcego", który budzi lęk i nienawiść – brudni, słabo mówiący po rosyjsku, oberwani. Tak wyglądali na filmach w internecie, które dokumentowały ich zatrzymanie i torturowanie. Jednemu z pojmanych odcięto ucho i kazano je zjeść. Innemu podłączono kable do genitaliów i traktowano

Dla Kremla nagonka na „obcych" to stąpanie po cienkim lodzie. Islam wyznaje w Rosji od kilkunastu do nawet 21 mln osób.



Na fot. **modlitwa muzułmanów w Moskwie, kwiecień 2023 r.**

prądem. Na wstępnej rozprawie byli umęczeni. Jednego wożono na wózku.

Nie wywołało to oburzenia. Tylko Tatiana Moskalkowa, rzeczniczka praw człowieka, z urzędu powiedziała, że torturowanie zatrzymanych jest niedopuszczalne, choć „same zatrzymania odbywają się nieraz w ostrej formie". Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, pytany wprost przez CNN o tortury, stwierdził: „Pozostawię to pytanie bez odpowiedzi".

Nie było więc mowy o szukaniu odpowiedzialnych. Na odwrót – kremlowska propaganda zachwycała się skutecznością funkcjonariuszy biorących udział w pościgu. „Chciałabym im oddać głęboki pokłon" – mówiła w telewizji Margarita Simonian, naczelna państwowego koncernu medialnego RT.

Zastanawiające jest, na ile ten proces kontrował Kreml, a na ile działo się to spontanicznie, za przyzwoleniem społecznym. Niewątpliwe jest natomiast, że wraz z inwazją na Ukrainę Kreml musiał zawrzeć sojusz z „patriotami", bez żadnych wątpliwości popierającymi wojnę. A ci rekrutują się często z nacjonalistów, ksenofobów i neonazistów. Powód tego sojuszu jest prosty: organizacje te dostarczają żołnierzy na front i są wykorzystywane przez służby do innych celów.

W pościgu za terrorystami z Crocusa brali udział członkowie nazistowskiej bojówki Rusicz. W Kraju Krasnodarskim w polowaniach na nielegalnych imigrantów obok umundurowanych stróżów prawa uczestniczą też działacze ultraprawicowej Russkoj Obszcziny. Zresztą stróże porządku bywają nie lepsi od bojówkarzy. W ramach ogłoszonej w zeszłym roku operacji „Nielagał 2023" deportowano 15 tys. imigrantów. Filmy kręcone podczas akcji pokazywały migrantów leżących na ziemi, bitych pałkami i kopanych przez mundurowych.

I teraz odbywają się podobne operacje, tyle że są jeszcze bardziej brutalne. Zemsta na „nie-Słowianach" funkcjonuje więc zupełnie niezależnie od oficjalnej wersji, że zamach to sprawa Ukraińców i Zachodu. „Rosyjska kultura karania jest rodem ze średniowiecza. Nie chodzi o to, aby nakłonić daną osobę do zaprzestania zachowań przestępczych. Ale o to, aby sprawić jej ból" – mówi Siergiej Titajew, socjolog, badacz struktur siłowych w Rosji, w rozmowie z „Nową Gazetą".

Cienki lód

Trwają igrzyska okrucieństwa, które mieszczańska Rosja obserwuje w telewizji i w internecie. Mają upewnić społeczeństwo, że sprawiedliwości staje się zadość. A „obcy" poniosą indywidualną i zbiorową odpowiedzialność.

Rząd zaostrza więc politykę migracyjną. A atmosfera jest już taka, że ludzie nie chcą wsiadać do taksówek prowadzonych przez „nie-Słowian". Na osiedlach pojawiają się plakaty: „Jeśli w sąsiedztwie mieszka migrant, dzwoń do Wojskowej Komendy Uzupełnień". Migranci są tam namawiani albo zmuszani do podpisywania kontraktu z armią i wysyłani na wojnę. Muzułmanie, obywatele państw Azji Środkowej, boją się wychodzić na ulice. Ambasady Tadżykistanu i Kirgistanu zaapelowały już, by tego nie robili.

Dla Kremla jest to jednak stąpanie po cienkim lodzie. Islam jest uznawany w Rosji za religię tradycyjną, wyznawaną (dane samych muzułmanów) nawet przez 21 mln osób. Muzułmanie stanowią większość w Tatarstanie, Baszkartostanie i kaukaskich republikach Czeczenii, Dagestanie, Inguszetii – gdzie Putin osiąga największe rekordowe poparcie. I skąd rekrutowani są żołnierze na wojnę z Ukrainą.

Dla równowagi w relacjach dotyczących zamachu podkreślano więc bohaterstwo muzułmanina Islama Chalipowa, 15-letniego garderobianego, który wyprowadził z sali 100 osób. Zaproszono go do Dumy, klub Spartak Moskwa obdarował go karnetem na wszystkie mecze, gwiazda rapu – milionem rubli, a duchowy przywódca rosyjskich muzułmanów, mufti Rawil Gainutdin, odznaczył medalem „Za zasługi".

Także w nagonce na migrantów trzeba już hamować. Stopa bezrobocia w Rosji osiągnęła historyczne minimum (3,2 proc. w 2023 r.). Zbrojeniówka pracuje na cztery zmiany, pensje wzrosły, szacunki mówią, że w gospodarce brakuje 3–4 mln pracowników.

Wiktor Liaszuk z Rosyjskiej Akademii Gospodarki Narodowej i Administracji Publicznej szacuje, że migrantów zarobkowych na rynku jest ok. 3 mln. To chyba dość konserwatywne dane. W każdym razie masowy odpływ tej taniej siły roboczej mógłby się skończyć dla gospodarki niedobrze. Zwłaszcza w takich branżach, jak budownictwo, rolnictwo, hotelarstwo i turystyka, a także w niektórych gałęziach przemysłu.

Co dalej?

Niechęć do „nie-Słowian" zapewne będzie nadal odgórnie hamowana. Kreml zakaże podkręcania tych nastrojów w państwowej telewizji i wyśle sygnał do tych propagandystów, na których ma wpływ. Jednocześnie będzie trwała dyskusja o zniesieniu moratorium na wykonywanie kary śmierci, lider kremlowskiej frakcji Jedna Rosja Władimir Wasiliew już zapowiedział, że Duma zajmie się tą sprawą.

Z kolei prokuratura znajdzie „niezbite dowody" na to, że za zamachem stoją Kijów i Waszyngton. Co będzie dodatkowym argumentem, by przeprowadzić powszechną mobilizację (nawet 300 tys. żołnierzy) i w końcu pokonać rządzących Ukrainą „banderowców i nazistów" oraz zaprowadzić pokój.

Sytuacja, która nieco wymknęła się spod kontroli, powinna niebawem wrócić do normy, w której to władza wskazuje, kto jest wrogiem. To, czy Rosjanie naprawdę uwierzą w „ukraiński ślad", nie ma chyba dla Putina żadnego znaczenia.

PAWEŁ RESZKA

Wychodzący z cienia

Kolejny Austriak chce naprawiać zepsute Niemcy. Jeśli zajdzie taka konieczność – nie tylko perswazją.



Martin Sellner dał się poznać jako wytrawny ideolog nowoczesnej prawicy o rasistowskich, nacjonalistycznych i antysemickich rysach.

LISI NIESNER/REUTERS/FORUM

MAREK ORZECHOWSKI Z BERLINA

W większości są mężczyznami. Są w średnim wieku. Nie brakuje wśród nich jednak i dojrzałych, tych przed albo z emeryturą, z bagażem życiowych doświadczeń. Tzw. naprawiacze zepsutych Niemiec na razie tylko wychodzą z cienia. Ostatnie manifestacje przeciw nim sygnalizują, że protestujący wolą dmuchać na zimne. Póki jeszcze czas. I że nie chcą powtórzyć błędów pokolenia swoich dziadków, którzy 90 lat temu naiwnie sądzili, że tak kulturalnego narodu jak Niemcy nie stać na ekstremalne ekscesy, więc nie sprzeciwili się w porę i w ten sposób pomogli nazistom w przejęciu władzy.

Tyle że dziś jest o wiele trudniej zidentyfikować prawdziwe oblicze typowego naprawiacza, a więc i trudniej przeciwdziałać. Nie tylko inne są czasy, polityczne nawyki i zakorzenienie demokratycznego systemu. Inna jest również struktura wielowarstwowego społeczeństwa, w dużej mierze multikulturowego, system gospodarczy. Inne są niemieckie problemy, choćby wielomilionowa migracja, zmiany klimatu czy otoczenie międzynarodowe. Inna jest również przestrzeń medialna.

Toteż, nic dziwnego, inni są też naprawiacze – dobrze wykształceni, znający języki, zasobni finansowo, technologicznie niezależni. Na wskroś nowocześni, świetnie poruszający się w nowych mediach. Kiedy stoją na mównicach i eleganckim językiem wyjaśniają zależności i zawiłości politycznego krajobrazu, mówią o sposobach sanacji, podpowiadają recepty na „uporządkowane” życie, nie odróżniają się w zasadzie od słuchaczy. Nie biegają przecież w brunatnych koszulach i skórzanych sztybletach, noszą adidasy i modne kurtki, dobre garnitury. Nie wymachują też pałkami, w dłoniach trzymają smartfony. Ich cierpliwie wypowiadane argumenty wydają się racjonalne, oceny uzasadnione, oparte na faktach. Potrafią przekonać.

Tylko naród

Jak 35-letni Martin Michael Sellner, wiedeńczyk z dobrego burżuazyjnego domu. Kulturalny, elokwentny autor, publicysta. No i skrajnie prawicowy inicjator oraz twórca – tuż za rogiem, w Austrii – Ruchu Tożsamościowego (Identitäre Bewegung Österreich). A także zdobywający na popularności i znaczeniu sympatyk tzw. Nowej Prawicy w Niemczech. W Wiedniu studiował filozofię, później prawo. Ale potem pociągnęła go akcja, zaczął karierę na neonazistowskiej scenie.

Typ mężczyzny, jakich wielu spotkamy na ulicach Wiednia, Berlina, Brukseli – dbającego o wygląd, stonowanego intelektualisty, może profesora, może urzędnika Komisji Europejskiej, od którego nie promieniuje żadne niebezpieczeństwo, do którego można mieć zaufanie. A jednak już w młodym wieku Sellner ześlizgnął się w stronę neonazistów, zbliżył do urodzonego w 1958 r. Gottfrieda Küssela, ikony austriackiej sceny faszystowskiej (ten już jako 14-latek postarał się o „Mein Kampf” Hitlera, twierdzi, że nie jest faszystą, tylko socjalistą, tyle że narodowym, a nie internacjonalistycznym), częstego gościa na ławie oskarżonych, zaprzeczającego zbrodniom w Auschwitz.

Już wkrótce nikomu jeszcze nieznany Martin Sellner w swoim nowym środowisku dał się poznać jako wytrawny ideolog nowoczesnej prawicy o rasistowskich, nacjonalistycznych i antysemickich rysach. A kulminacją jego wysiłków było powołanie w grudniu 2012 r. Ruchu Tożsamościowego. Był wówczas jeszcze

studentem, oczytanym i świetnie rozeznanym w europejskim nurcie prawicowego sprzeciwu. Odwoływał się do ideologii Alaina de Benoist, Armina Mohlera czy Renaud Camusa.

Świat wokół, bez wspólnotowej tożsamości, określał jako zagrożenie dla narodowej egzystencji. Twierdził, że „chora ideologia równości" usiłuje „ujednolicić ludzi" i doprowadzić do sytuacji, w której nie będzie już „żadnych prawdziwych mężczyzn i żadnych prawdziwych kobiet". Tylko naród jako wspólnota pochodzeniowa, językowa i kulturowa stanowi – twierdził – gwarancję skutecznej blokady wszystkiego, co obce. Ludzie są bowiem wyłącznie produktem etniczno-kulturowego, zaufanego kolektywu. A w nim nie ma miejsca dla obcych.

Tyle że wtedy jeszcze skrywał się w cieniu niedomówień. Unikał deklaracji, że świat wokół wymaga wyhamowania, „powrotu do źródeł" – jednym słowem naprawy; że są chętni, aby się jej podjąć, i uczynią to według starej recepty. Wszystko to było niewypowiedziane, bo w tamtych latach brakowało jeszcze szerokiej przestrzeni protestu, sprzeciwu i tego, co je w końcu zrodziło: covidowej izolacji i zerwanych więzi, masowego i w dużej mierze niekontrolowanego napływu migrantów.

Obce ciała

Te czasy dyskrecji i medialnej wstrzemięźliwości Sellnera już jednak minęły. Według doniesień portalu Correctiv, pozarządowej organizacji monitorującej neofaszystowskie tendencje, w listopadzie 2023 r. Sellner uczestniczył w konspiracyjnym spotkaniu niewielkiej grupy prawicowych ekstremistów w Poczdamie. Omawiano tam koncepcję i plan tzw. reemigracji. Correctiv określił te zamierzenia jako planowanie masowej deportacji tych obywateli Niemiec, którzy mają migracyjne korzenie. Sellner od razu zaprzeczył, że taki plan omawiano. I przede wszystkim, że zamierzenie równałoby się deportacji. Ale ta koncepcja pojawiła się w obiegu wcześniej niż jej prezentacja. A wszystko jest już szczegółowo opisane w jego książce właśnie pod tym tytułem – „Reemigracja", która ukazała się 1 marca. Czym zatem jest reemigracja według Sellnera?

Nie chodzi tu o zupełnie normalne zjawiska, porównywalne z werbunkiem siły roboczej czy czasowym schronieniem uchodźców. Nienormalna jest natomiast, zdaniem Sellnera, migracja zastępcza, praktykowana od dekad w Europie, szczególnie w Niemczech. W swojej książce formułuje on propozycje, w jaki sposób można zjawisko to odwrócić. I rozpocząć reemigrację obcokrajowców, którzy nie podjęli wysiłku kulturowej, ekonomicznej, politycznej i religijnej asymilacji.

Oczywiście Sellner zdaje sobie sprawę z wybuchowego charakteru swojego pomysłu. Z możliwych nieludzkich scenariuszy, które musiałyby towarzyszyć remigracji. Wyraźnie więc deklaruje: to nie ma nic wspólnego z wypędzeniem. Taki był los 14 mln Niemców, pisze, przepędzonych z dawnych wschodnich terenów Rzeszy. I wyjaśnia – opisywana przez niego reemigracja jest natomiast systemem zachęt, aby otworzyć drogę dobrowolnego powrotu do własnych krajów. Naturalnie ważne są też kryteria niedobrowolne – jak udział obcokrajowców/mieszkańców Niemiec w przestępczości, ich trwała kulturowa obcość wobec niemieckiej kultury i obyczaju, praktykowany przez nich fundamentalizm religijny. Ale jedynymi, których Sellner chce naprawdę wypędzić, i to z urzędów, „są politycy, którzy nie rozumieją sytuacji i zagrożeń".

Wprawdzie chodzi o proces, który będzie trwać 30, a nawet 40 lat, ale trzeba go natychmiast rozpocząć. Sellner pisze, że reemigracja nielegalnych migrantów jest prawnie możliwa, politycznie uzasadniona, moralnie usprawiedliwiona i praktycznie do wykonania. Byłaby procesem, który wszystkim przyniósłby tylko zysk. A ponieważ polityczni przeciwnicy zwalczają to określenie, zrównując je z horrorem, Sellner widzi swoją książkę również jako przyczynek do walki o język komunikacji i politycznego obyczaju. I reasumuje – czy się to komu podoba czy nie, reemigracja będzie tak samo kluczowym pojęciem w nadchodzących dekadach jak tożsamość czy wolność.

Sellner nie traci więc czasu. Właśnie odbył kolejne nieoficjalne spotkanie w Berlinie z przyjaciółmi z Alternatywy dla Niemiec (AfD) i narysował im wizję powołania w partii własnej tajnej służby bezpieczeństwa. Jej najważniejszym zadaniem ma być dekonspiracja tajnych agentów niemieckiego kontrwywiadu, a także demaskacja tych członków AfD, którzy przez swoją nierozwagę, czasem głupotę i przede wszystkim długi język psują partii opinię.

Na pierwszy ogień mają pójść członkowie grup młodzieżowych, według Sellnera najsłabsi i najbardziej narażeni na ataki kontrwywiadu. Autoinwigilacja AfD miałaby być tak dokładna, że w rezultacie członkowie partii byliby praktycznie pozbawieni prywatnej sfery życia. Następnie tajną kontrolą miałyby zostać objęte wszystkie partyjne struktury. Tak właśnie przed 90 laty zaczęły się kariery Heinricha Himmlera i Reinharda Heydricha w nazistowskiej partii – od inwigilacji i kontroli własnych partyjnych towarzyszy, *Volksgenossen*.

Przeniknął i zniknął

Sellner sięga zarówno po stare i sprawdzone metody, jak i te, które współcześnie wobec niego osobiście stosował Hans-Georg Maassen – były szef niemieckiego kontrwywiadu, a dziś polityczny konkurent Sellnera w walce o duszę Nowej Prawicy. Maassen przez wiele lat zajmował się w niemieckim MSW migracją i mniejszościami etnicznymi, tematycznie nie jest mu więc do Sellnera daleko. A od 2012 r. przez sześć lat kierował już całym kontrwywiadem i zdobył rozległą wiedzę o strukturach ekstremistycznych partii. Z urzędu odszedł w 2018 r., zadarł bowiem z mediami, którym zarzucił głoszenie nieprawdy o atakach prawicowych bojówek na cudzoziemców we wschodnioniemieckim Chemnitz.

Przede wszystkim jednak nie ukrywał krytycznego stosunku do migracyjnej polityki Angeli Merkel. I w końcu porzucił kontrwywiad, ponieważ – jak sam mówił – nie mógł już unieść ciężaru politycznej poprawności, która ograniczała wymowę faktów i wyciągniętych z nich wniosków. Pod koniec lutego ostatecznie wyszedł z cienia i założył nową partię radykalnej prawicy – Unię Wartości (Werteunion). Zamierza walczyć o władzę w kraju.

Wychodzenie z cienia, zjawisko, które w Niemczech zdobywa na dynamice, doprowadziło więc szefa kontrwywiadu i jednego z intensywnie inwigilowanych przez jego agentów prawicowego ideologa do wspólnoty interesów w naprawie zepsutego kraju, chociaż nie przesądza, że wspólnie dojdą do celu. Spory i niesnaski w środowisku niemieckiej prawicy przebijają bowiem nawet te w lewicowym spektrum. ■

Jeśli wojna będzie długa…



Płonący Charków po rosyjskim ataku 25 marca.

Brytyjski strateg Lawrence D. Freedman o tym, co może i powinien zrobić Zachód dla walczącej z Rosją Ukrainy.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: – **Ukraina wejdzie do NATO?**

LAWRENCE D. FREEDMAN: – Tak, ale nie za szybko. Trudno przyjmować państwo, które prowadzi wojnę. Sojusz Północnoatlantycki pewnie by się w nią bezpośrednio uwikłał. Zbyt mało państw członkowskich jest dziś otwartych na taką ewentualność. Członkostwo będzie możliwe jedynie wtedy, gdy walki zostaną w jakiś sposób zatrzymane, dojdzie do zawieszenia broni czy bardziej formalnego porozumienia. Tylko to otwiera pole do rozmów o zabezpieczeniu Ukrainy i daniu jej długookresowych gwarancji bezpieczeństwa. Ten moment może nadejść za kilka lat, może jeszcze później. Rzecz zależy od przebiegu walk na froncie i rozwoju sytuacji w samej Rosji. Członkostwo może być elementem porozumienia z Kremlem, można je negocjować wspólnie z kwestią zwrotu terytoriów.

Niektórzy eksperci suflują, by przyjąć Ukrainę do NATO, nawet gdy Kijów kontroluje tylko część swojego terytorium, i jedynie ją objąć natowskimi gwarancjami. Przywołują przykład zachodnich Niemiec.

Kiedy dołączyły do NATO w połowie lat 50., Niemcy zachodnie zgodziły się, że nie będą próbowały siłą odzyskiwać obszarów pozostających poza ich kontrolą i nie będą próbowały zdobyć broni atomowej. Władzom ukraińskim trudno byłoby obiecać, że nie podejmą próby odbicia okupowanych terytoriów. W tych okolicznościach zachodnie gwarancje musiałyby być mniej formalne albo mieć inną formę niż członkostwo w NATO.

Co można Ukrainie zaproponować?

Nie dostrzegam sensu w inicjatywach państw NATO, to droga do demoralizowania Ukraińców. Gdy Kijów uzna, że sobie nie radzi i zechce spróbować układania się z Rosją, wtedy oczywiście musimy go wspierać. Nie do nas jednak należy mówienie Ukraińcom, co mają robić. Rządy państw członkowskich w ciszy gabinetów mogą podpowiadać rozmaite scenariusze, ale nie powinny formalnie przedstawiać Ukraińcom np. jakiegoś wielkiego planu pokojowego, który zakładałby rezygnacje terytorialne na rzecz Rosji. W takim wypadku poczuliby się zdradzeni.

Inicjatywa leży tylko po stronie Władimira Putina?

Dopóki nie będzie dowodów, że Rosja jest zainteresowana jakimkolwiek porozumieniem, to nie ma sensu wychodzić z propozycjami, bo te zostałyby odebrane jako wyraz słabości. Jeśli to Rosjanie zdecydują się z czymś wyjść, to popatrzmy, co zaoferują. Gdyby to Ukraina zaczęła prosić o pokój, wtedy Rosja zwiększy presję. Z inicjatywą dyplomatyczną może wyjść jeszcze trzecia strona, np. Chiny. Nie jestem przeciwnikiem dyplomacji, ale na razie nie widzę dla niej żadnej roli. Tak samo nie ma dziś sposobu na zakończenie tej wojny jedynie działaniami militarnymi. Trzeba czekać.

Czyli Ukraina broni się latami, a NATO udziela wsparcia. Taki jest scenariusz?

Ważne, by NATO demonstrowało, że jest przygotowane do wspierania Ukrainy tak długo, jak to konieczne. Przedmiotem troski – zwłaszcza na tle problemów w Stanach Zjednoczonych – jest w mniejszym stopniu szybkie zwycięstwo. Chodzi przede wszystkim o to, by Ukraina nie przegrała, więc Unia Europejska i Wielka Brytania muszą znacznie zwiększyć wysiłki. Pamiętajmy też, że finał tej wojny zależy przede wszystkim od Moskwy. Trzeba jej przypominać daremność agresji, koszt ludzki i wynikające z wojny straty gospodarcze.

Co będzie ukraińskim zwycięstwem, a co porażką?

Z perspektywy Ukrainy wygrana oznacza odzyskanie wszystkich terytoriów. Niektórzy mogą przekonywać, że powrót do linii z 23 lutego 2022 r. oznaczałby całkiem imponującą wygraną, z pewnością tak uważano na początku wojny. Nieprzegranie oznacza, że główne miasta – Kijów, Charków i Odessa – pozostają pod ukraińską kontrolą, a Rosja – w najgorszym razie – w przyszłości osiąga minimalne zdobycze terytorialne.

Dlaczego NATO nie doceniło zagrożenia ze strony Rosji?

Można by też powiedzieć, że Rosjanie byli przeceniani, wielu zakładało przecież, że podbiją Ukrainę. Przez dwa lata wojny, w której mają tyle przewag, prawie nie osiągnęli żadnych postępów, wręcz

stracili kontrolę nad częścią ziem, które początkowo zdobyli. Nie doceniliśmy lekkomyślności Putina i jego gotowości pójścia na wojnę. To, co zrobił, było dość głupie. Bardzo trudno przewidzieć, że ktoś wykona krok tak lekkomyślny, jałowy i szkodliwy dla Rosji. Zawsze istnieje ryzyko, że zostaniemy zaskoczeni przez agresorów, choć wojna to zwykle bardzo zły pomysł. Rzeczywiście przed lutym 2022 r. ryzyko było niedoceniane, ale teraz jest już rozumiane dużo lepiej. Europa reaguje znacznie wolniej, niżby się chciało, ale na szczęście porusza się we właściwym kierunku. Prezydent Francji Emmanuel Macron zasugerował, że kraje europejskie mogą być zmuszone do znacznie bardziej bezpośredniego zaangażowania. Byłoby to pociągnięcie przełomowe, ta wypowiedź podkreśla powagę oceny sytuacji.

NATO się wzmacnia czy słabnie?

Przez ostatni rok Sojusz się wzmocnił. Ma dwóch nowych członków, demonstruje wspólnotę celu, Amerykanie wykazali przywództwo, Ukraina jest wspierana i trwa. Agresor został – patrząc w dalszej perspektywie – poważnie osłabiony. Jednak Rosja przestawiła się na tryb wojenny, co czyni ją bardziej niebezpieczną.

Wybory sekretarza generalnego obnażyły napięcia w Sojuszu na linii wschód–zachód.

Źródłem największego ryzyka dla NATO nie są dziś jakiekolwiek podziały w Europie, ale Stany Zjednoczone. Nie wiemy, czy Donald Trump zostanie prezydentem. Niezależnie od rezultatu wyborów w USA oczekuje się, że Europejczycy wezmą na siebie więcej odpowiedzialności.

Rosyjski atak na państwa bałtyckie lub Polskę jest możliwy?

Należy zachować ostrożność przy dyskutowaniu tego rodzaju prognoz, wywołują niepotrzebny niepokój. Gdyby Ukraina została w jakiś sposób pokonana, sytuacja stałaby się rzeczywiście dużo bardziej niebezpieczna. Wiarygodność Sojuszu zostałaby srogo podważona, Rosja poczułaby się pewniej i spróbowałaby wywrzeć nacisk na państwa bałtyckie, Polskę, Czechy itd. Nie chcę jednak nazywać tego przewidywaniami, bo wiele jeszcze może się zdarzyć po drodze, ale powinniśmy być świadomi, że jeśli państwa NATO nie poradzą sobie z obecnym wyzwaniem, możemy znaleźć się w dużo niebezpieczniejszej sytuacji. Nie ma sensu być fatalistą, ten scenariusz byłby ogromnym ryzykiem dla Rosji, która przecież sporo już ucierpiała na wojnie z Ukrainą. Wyczerpała większość swojej nowoczesnej broni, odbudowa tych zdolności zajmie sporo czasu.

Jak odnosić się do nuklearnych gróźb Putina?

Jego stanowisko jest jasne i konsekwentne. Broń jądrowa może potencjalnie wejść do gry, jeśli kraje NATO zaczną walczyć bezpośrednio, ramię w ramię z Ukraińcami. Tyle. Nigdy nie wygłaszał bezpośrednich gróźb nuklearnych wobec Ukrainy. Putin całkiem skutecznie wykorzystywał zagrożenie nuklearne, by przekonać państwa NATO, zwłaszcza USA, że nie powinny wspierać Ukrainy własnymi siłami bezpośrednio na polu walki, albo by zniechęcić sojuszników Kijowa do wysyłania samolotów. Broń jądrowa odegrała więc rolę, jakiej należało od niej oczekiwać, powstrzymała konflikt i ograniczyła go do wojny między Rosją i Ukrainą.

Jakie lekcje mogą już wyciągnąć państwa NATO z przebiegu wojny nad Dnieprem?

Wojny kończą się bardzo szybko, o ile któraś ze stron zostanie pokonana. Gdy jednak atak z zaskoczenia się nie udaje, wtedy wojna zmienia się w przewlekłą. Do długiej wojny trzeba się dostosować. Wiemy już, a powinniśmy byli to wiedzieć znacznie wcześniej, jak kluczowe są produkcja i logistyka. Nie zwiększyliśmy wystarczająco zdolności wytwórczych przemysłu zbrojeniowego. Do przemyślenia jest preferencja NATO dla operacji manewrowych. Ukraińcy doświadczyli, że taka taktyka może być trudna, choć akurat oni nie mieli wystarczającego wsparcia z powietrza. Nauczyliśmy się też, jak wiele można osiągnąć dronami. Co do zasady sposób prowadzenia wojny zależy od kontekstu. W tym konflikcie dzieją się całkowicie zaskakujące rzeczy. Chyba nikt nie przewidywał, że 20 proc. rosyjskiej Floty Czarnomorskiej zostanie wyeliminowane. Wiele aspektów tego konfliktu będzie studiowanych przez lata, ale podstawowa lekcja jest ta sama. Chodzi o wytrzymałość, produkcję i dostawy oraz motywację i zaangażowanie.

Jak Kijów zmienił strategię?

Buduje linie obronne i fortyfikacje. Musi przeprowadzić mobilizację, to w tej chwili sprawa najpilniejsza. Ciężko jednak mobilizować młodych ludzi do walki, gdy nie ma pewności, że starczy dla nich amunicji. Ukraina zmienia strategię, bo w perspektywie krótkoterminowej dużo trudniej będzie jej zorganizować ofensywę. Musi zregenerować siły, by w pewnym momencie w przyszłości móc pomyśleć o bardziej ofensywnych działaniach. Po drodze konsekwentnie atakuje rosyjskie rafinerie i inną infrastrukturę.

Sondaże wykazują, że Europejczycy nie radzą sobie z wojenną niepewnością. Wielu nie może sobie wyobrazić, w jaki sposób Rosja miałaby przegrać. Brakuje nam strategicznych narracji?

Narracje zawsze są potrzebne, ale muszą być realistyczne. Nie ma sensu obiecywać czegoś, co się nie wydarzy. W tej wojnie już doświadczyliśmy skutków nadmiernych oczekiwań. W Europie popiera się Ukrainę, większość z nas nie chce, żeby Rosja wygrała. Ale że zazwyczaj obrona jest mocniejsza niż atak, więc po przekroczeniu pewnego punktu wojny mają tendencję do impasu i pod pewnymi względami tak też stało się z tą. Zawsze staram się podkreślać znaczenie polityki, bo nie chodzi tylko o to, czy wygrasz, czy przegrasz bitwę, ale co możesz dzięki niej osiągnąć. Nigdy nie uważałem, że Rosja może osiągnąć to, co zakładała. Jasne, istnieje ryzyko, że zdobędzie większe terytorium, ale będzie ono zniszczone lub wyludnione. Jednak nie o to toczy się gra.

Pamiętajmy, że finał tej wojny zależy przede wszystkim od Moskwy.

To narracja o długiej wojnie?

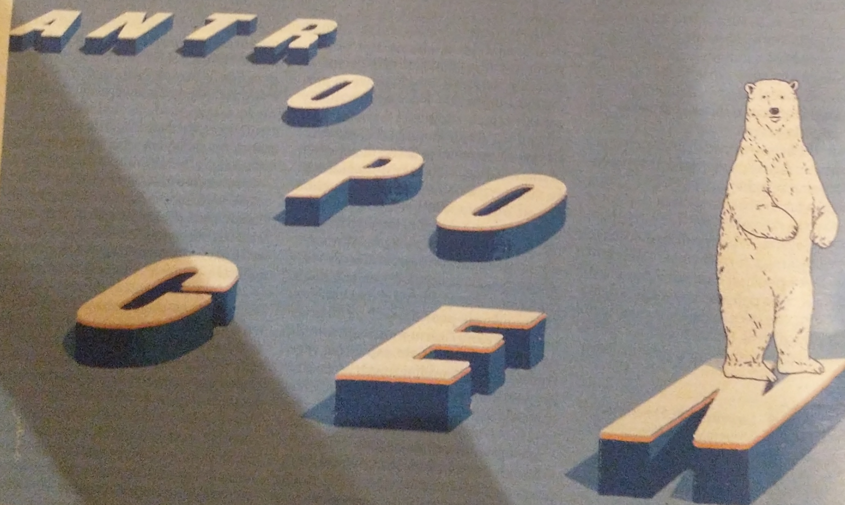
Jeśli będziemy mówić o długiej wojnie i ludzie będą ją akceptować, to będziemy mieć o wiele lepszy fundament do dalszej walki niż w przypadku opowieści, że jedno duże pchnięcie zakończy całą sprawę. To wymagająca walka, potrzeba czasu. Przyjęcie tego aksjomatu pozwoli odpowiednio planować wieloletnie budżety, rytm szkoleń i politykę wsparcia. Im lepiej Europa będzie w stanie tę gotowość demonstrować, tym słabsze będzie przekonanie Putina, że wreszcie mu się uda. W trzecim, czwartym roku wojny Putin, ale również zwykle Rosjanie i rosyjskie elity zaczną mierzyć się z pytaniami, jaki to ma sens. Zdaję sobie sprawę, że cierpliwość to trudny materiał na narrację. Ale jedyny, jakim w tej chwili dysponujemy. ■



Lawrence D. Freedman – emerytowany profesor studiów wojennych w King's College London, którego przez dekadę był wicerektorem. Historyk, doradca i autor książek poświęconych stosunkom międzynarodowym (m.in. „Przyszła wojna").

Spór epokowy

Wydawało się, że to będzie formalność. Światowe gremium ekspertów przypieczętuje oczywisty fakt, że żyjemy w antropocenie. Ale tak się nie stało.



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

A

ntropocen
niamy prz
wpływ czł
w XIX w. g
rozwój prz
no, nazwę amerykański ba
ukuł dopiero w połowie lat
Paul Crutzen, holenderski c
Nobla z 1995 r. – stawiając
przemysłową człowiek zac
Nazwa jest zbitką dwóch
i przyrostka *-cene* od *kain*
do nazwania siedmiu osta
Ziemi, która rozpoczęła się
nia z nich, holocen, liczona
i zaniku lądolodów na półk
min powstały od słowa *hól*
„całkiem nowy" albo po pr
cenu używano powszechn
zaczęły się, kiedy próbowa
różnych dziedzin różnie r
różne propozycje ujęcia k

Co zrobił człowiek

W kręgu zainteresowań
się w 2008 r., kiedy komisja
założonego w 1807 r. stow
Society of London, stwie
by uznać holocen za zak
ność człowieka spowodo
cieplarnianych, zanieczy
szło do stałych zmian w s
Międzynarodowej Komis
Working Group (AWG), k
brytyjskiego paleobiolog
i badaczy z całego świata
bara Fiałkiewicz-Kozieł
w Poznaniu oraz prof. A
Kochanowskiego w Kielc
cen należy uznać za jedn
Początkowo jako sym
wano rok 1800, bo wted
zionego w 1784 r. silnik
w rdzeniach lodowych
węgla. Jednak pojawiły
eds zaproponowali rok
wymieranie zarażonych
Nowego Świata spowod
ferze. Po drugie, w wyni
bezprecedensowej mię
Inni eksperci twierdzi
sko od dawna, co widać
w połowie I tys. p.n.e.
z tego, że cywilizacja
na wielką skalę. Zwole
dzą wręcz, że zaczął się
na rolnictwo, które wią

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Antropocen to modne określenie, które odmieniamy przez wszystkie przypadki, by pokazać wpływ człowieka na naszą planetę. Choć już w XIX w. geolodzy sugerowali, że gwałtowny rozwój przemysłu odciska na niej swoje piętno, nazwę amerykański badacz okrzemek Eugene F. Stoermer ukuł dopiero w połowie lat 70. XX w. A w 2000 r. spopularyzował Paul Crutzen, holenderski chemik, meteorolog i laureat Nagrody Nobla z 1995 r. – stawiając przy okazji tezę, że wraz z rewolucją przemysłową człowiek zaczął psuć świat na globalną skalę.

Nazwa jest zbitką dwóch greckich słów: *anthropos* (człowiek) i przyrostka *-cene* od *kainos* (nowy). Tego ostatniego użyto już do nazwania siedmiu ostatnich epok kenozoiku – ery w dziejach Ziemi, która rozpoczęła się 66 mln lat temu i trwa do dziś. Ostatnia z nich, holocen, liczona jest od momentu ocieplenia klimatu i zaniku lądolodów na półkuli północnej ok. 11 700 lat temu. Termin powstały od słowa *hólos* (cały, wszystek) tłumaczony jest jako „całkiem nowy" albo po prostu „teraźniejszość". Pojęcia antropocenu używano powszechnie, ale nieformalnie. Nieporozumienia zaczęły się, kiedy próbowano je uściślić. Okazało się, że naukowcy różnych dziedzin różnie rozumieją jego „niedawność". Stąd tak różne propozycje ujęcia kryteriów teraźniejszości.

Co zrobił człowiek

W kręgu zainteresowań geologów „epoka człowieka" znalazła się w 2008 r., kiedy komisja stratygraficzna najstarszego na świecie, założonego w 1807 r. stowarzyszenia naukowego, czyli Geological Society of London, stwierdziła, że są wystarczające przesłanki, by uznać holocen za zakończony. Argumentowała, że działalność człowieka spowodowała tak duży wzrost produkcji gazów cieplarnianych, zanieczyszczeń oraz zmian krajobrazu, że doszło do stałych zmian w stratygrafii Ziemi. Rok później w ramach Międzynarodowej Komisji Stratygrafii powołano Anthropocene Working Group (AWG), kierowaną przez prof. Jana Zalasiewicza, brytyjskiego paleobiologa z University of Leicester. 34 badaczek i badaczy z całego świata – m.in. polskie geochemiczki prof. Barbara Fiałkiewicz-Kozieł z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz prof. Agnieszka Gałuszka z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach – miało zebrać dowody, że antropocen należy uznać za jednostkę czasu geologicznego.

Początkowo jako symboliczną datę początku epoki wskazywano rok 1800, bo wtedy doszło do upowszechnienia wynalezionego w 1784 r. silnika parowego, co spowodowało widoczny w rdzeniach lodowych wzrost stężenia metanu oraz dwutlenku węgla. Jednak pojawiły się też inne propozycje. Geolodzy z Leeds zaproponowali rok 1610. Po pierwsze dlatego, że wielkie wymieranie zarażonych europejskimi chorobami mieszkańców Nowego Świata spowodowało spadek dwutlenku węgla w atmosferze. Po drugie, w wyniku Wielkiej Kolonizacji zaczął się proces bezprecedensowej międzykontynentalnej wymiany gatunków.

Inni eksperci twierdzili jednak, że człowiek wpływa na środowisko od dawna, co widać w rdzeniach na Grenlandii – na przykład w połowie I tys. p.n.e. nastąpił wzrost ilości ołowiu wynikający z tego, że cywilizacja grecko-rzymska zaczęła go wydobywać na wielką skalę. Zwolennicy „wczesnego antropocenu" twierdzą wręcz, że zaczął się on 10–12 tys. lat temu wraz z przejściem na rolnictwo, które wiązało się z udomowieniem roślin i zwierząt, a co za tym idzie – przekształceniem krajobrazu. Dochodziło wówczas do masowego wypalania lasów pod uprawę ziemi, budowy kanałów nawadniających i coraz większych osad dla stale rosnącej liczby ludności.

Co twierdzą sceptycy

Osoby należące do AWG opowiadały się jednak za „krótkim antropocenem", podkreślając, że wszystkie te zmiany miały charakter incydentalny i lokalny, były ograniczone w czasie i przestrzeni. Koronnym przykładem jest wielka rewolucja przemysłowa końca XVIII w., którą widać tylko w Europie i Stanach Zjednoczonych, ale nie ma po niej śladu na innych kontynentach. Poza tym, jeśliby początki neolitu uznać za początek „epoki człowieka", to stałby się on po prostu synonimem holocenu.

Podkreślano przy tym, że w dyskursie światowym antropocen mylony jest z antropocentryzmem – że choć ludzie i potrzeba konsumpcjonizmu wpływają na środowisko od tysiącleci, nazwa powinna być zarezerwowana dla geologii. Według nich najlepszą cezurą dla tej epoki są testy nuklearne z lat 1945–50. Mimo że wybuchy bomb atomowych nie wpłynęły na funkcjonowanie planety, a bezprecedensowe stężenie radioaktywnych pierwiastków w atmosferze spadło po 1964 r., obecność plutonu i cezu jest widoczna w osadach – i to na całym świecie.

W 2016 r. AWG oficjalnie zgłosiła propozycję wprowadzenia nowej epoki geologicznej rozpoczynającej się w 1950 r. Poza próbnymi wybuchami bomb wodorowych doszło wówczas do mającego globalny charakter przyspieszenia demograficzno-gospodarczego, które łączyło się z wykorzystaniem paliw kopalnych i nawozów sztucznych na niespotykaną wcześniej skalę, co spowodowało wzrost zawartości metali ciężkich i dwutlenku węgla w powietrzu i glebie. Nową epokę geologiczną zdradza zatem zarówno obecność w osadach radionuklidów, jak i popiołów lotnych, aluminium, betonu czy plastiku.

Kolejnym zadaniem AWG było wytypowanie „złotego gwoździa" – stratotypu antropocenu, czyli miejsca najlepiej dokumentującego moment ingerencji człowieka w globalny ekosystem.

Co wybrali badacze

W 2022 r. zaprezentowano 12 stanowisk różnych typów z niemal całego świata (brakowało reprezentacji Ameryki Południowej i Afryki). Były wśród nich lodowce (Półwysep Arktyczny), jeziora (kanadyjskie Crawford i chińskie Sihailongwan), rzeka (ujście San Francisco), sztuczny zbiornik (Searsville w USA), jaskinia (Ernesto we Włoszech), stanowiska morskie (basen wschodniej Gotlandii, Zatoka Beppu w Japonii, Rafa Flinderska w Australii i West Flower Garden Bank w USA) oraz miejskie, reprezentowane przez znajdujący się w centrum Wiednia Karlsplatz, w którego nawarstwieniach najlepiej udało się zaobserwować rosnący wpływ antropocenu.

Było też torfowisko spod polskiej Śnieżki. Prof. Fiałkiewicz-Kozieł znalazła w nim nie tylko ślady powojennego wielkiego przyspieszenia i olbrzymich zanieczyszczeń w postaci akumulacji pierwiastków z całej tablicy Mendelejewa, łącznie z plutonem i cezem, ale też dowody, jak przyroda zareagowała na działalność człowieka. – *Na Śnieżce dominują wiatry zachodnie, więc 45 proc. zanieczyszczeń szło z Niemiec, a 30 proc. z Czech. Ale mogły być też transportowane z odległości tysięcy kilometrów* – tłumaczyła badaczka w 2022 r. – *Ich wpływ widać było po zaniku wielu* ▶

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYN

▶ *gatunków roślin. W torfowisku znaleźliśmy jednak odporne na nie mikroorganizmy, które wykorzystały powstałe w wyniku wysokotemperaturowego spalania węgla kuliste cząsteczki tego pierwiastka – i glinokrzemianów – do budowy ochronnych skorupek.*

W lipcu ub.r. Śnieżka przegrała z jeziorem Crawford w Kanadzie, które AWG wybrała na „złoty gwóźdź" antropocenu. Wybór uzasadniono tym, że znajdujące się w jeziorze roczne przyrosty (warwy) najdokładniej pokazują początek proponowanej epoki. Dzięki niemu może ono posłużyć do porównywania podobnych procesów środowiskowych w innych częściach świata. W kolejnym etapie selekcji miały zostać wybrane „stanowiska wspierające", które potwierdzałyby synchroniczny charakter antropocenu na całym świecie.

W uzasadnieniu napisano, że człowiek nie zmienił jeszcze świata na tyle, by mówić o nowej epoce geologicznej.

Proces ratyfikacji miał trwać rok. Wydawało się, że wszystko było na dobrej drodze, choć prof. Fiałkiewicz-Kozieł stwierdziła wówczas: – *Ciekawe, co się stanie z pojęciem antropocenu, jeśli komisja stwierdzi, że nie jest to oddzielna epoka, tylko np. „zdarzenie" (ang. event).* Przyszedł czas, by sobie odpowiedzieć na to pytanie, bo 20 marca br. podkomisja ds. czwartorzędu Międzynarodowej Komisji Stratygrafii odrzuciła propozycję wprowadzenia „epoki człowieka".

Co frustruje zwolenników

Bomba wybuchła 5 marca, gdy w „New York Timesie" pojawił się artykuł informujący, że 12 z 16 głosujących członków podkomisji stwierdziło, że zostajemy w holocenie. A konkretnie – w ostatniej jego trwającej 4,2 tys. lat podepoce, oficjalnie uznanej w 2018 r. i nazwanej megalajem. W uzasadnieniu tej decyzji napisano, że człowiek nie zmienił jeszcze świata na tyle, by mówić o nowej epoce geologicznej. I nawet jeśli nie ma wątpliwości, że zmieniamy planetę, zaproponowana data początkowa – 1950 r. – pomija wcześniejsze przykłady wpływu człowieka w różnych częściach świata w różnym czasie.

W artykule, który ukazał się chwilę później w „Science", oponenci wręcz zarzucili AGW, że zbyt często i ochoczo ogłaszała w mediach swoje kolejne ustalenia i że nazbyt obstawała przy wprowadzeniu nowej epoki geologicznej, nie zgadzając się na mniej kategoryczny termin, jakim jest wspomniany przez prof. Fiałkiewicz-Kozioł Antropocen Event, czyli mające globalny charakter zjawisko rozłożone w czasie. Jako przykład podali Great Oxygenation Event.

To zdarzenie, po polsku zwane katastrofą tlenową, polegało na tym, że choć pierwsze organizmy zdolne do fotosyntezy pojawiły się ok. 2,4 mld lat temu, to efekt ich obecności, czyli wzrost ilości tlenu w atmosferze, wystąpił 300 mln lat później. Erle Ellis, ekolog z University of Maryland w Baltimore, który w zeszłym roku zrezygnował z członkostwa w AWG, uważając, że nie dostrzega ona całokształtu problemu, powiedział „Nature", że termin Antropocen Event jest odpowiedni, ponieważ zmiany geologiczne wywołane industrializacją czy zanieczyszczeniem planety przez człowieka rozwijają się w czasie, a nie są nagłym przejściem z jednego stanu w drugi.

Przewodniczący komisji i kierownik AWG prof. Jan Zalasiewicz zamieścił w sieci list wzywający do wszczęcia postępowania unieważniającego głosowanie. Uzasadniał, że odbyło się ono naprędce, za jego plecami i niezgodnie z procedurami, ponieważ z 16 osób, które oddały głos, aż 11 nie miało do tego prawa ze względu na czas zasiadania w komisji. Za wyjątkowo nieetyczne uznał ujawnienie wyników głosowania reporterowi „New York Timesa" przed powiadomieniem o nich AWG. Niewiele jednak wskórał, bo 20 marca Międzynarodowa Unia Nauk Geologicznych podtrzymała niekorzystny werdykt, zamykając dalszą drogę odwoławczą. Oficjalnie pozostaniemy zatem w holocenie co najmniej przez następną dekadę, bo zgodnie z zasadami Międzynarodowej Komisji Stratygrafii kolejny wniosek będzie można złożyć dopiero po takim okresie karencji.

Naukowcy, którzy przez 15 lat badali na całym świecie różne stanowiska mające reprezentować początek „epoki człowieka", są sfrustrowani porażką. Odnoszą wrażenie, że ich wysiłek zasługiwał na bardziej merytoryczną dyskusję niż wydane na chybcika i dyskryminujące „nie" 12 oponentów. Wymownym zakończeniem wieloletnich starań AWG o uznanie antropocenu jako epoki stało się wykasowanie jej strony internetowej. Według prof. Naomi Oreskes, historyczki nauki z Harvard University, najsmutniejsze jest to, że część badaczy „nie chce lub nie jest w stanie rozpoznać tego, co wszyscy widzą: że żyjemy w antropocenie; zaprzeczając temu, co oczywiste, sprawiają, że podważana jest wiarygodność nauki, którą rzekomo chronią". Natomiast prof. Francine McCarthy, mikropaleontolożka z Brock University, nadal uważa połowę XX w. za punkt zwrotny w dziejach Ziemi i zamierza dalej analizować zapis działalności człowieka w jeziorze Crawford.

Prof. Fiałkiewicz-Kozieł tłumaczy, że proponowane określenie Antropocen Event jest nie do końca adekwatne. – *W terminologii geologicznej odpowiada ono zapisowi krótkotrwałych zmian wywołanych wyjątkowymi warunkami środowiska, jak pożary, trzęsienia ziemi czy upadek meteorytu, które odczytujemy za pomocą odpowiednich wskaźników. Ostatnia podepoka – megalaj – wyróżniona została na podstawie „zdarzenia" klimatycznego. Tymczasem od 1950 r. możemy stwierdzić istnienie setek różnych zdarzeń o globalnym zasięgu definiowanych przez różne wskaźniki geochemiczne i biologiczne pochodzenia antropogenicznego – jak obecność plutonu, mikrosfer ze spalania węgla, ziaren pyłku roślin inwazyjnych, muszli zwierząt inwazyjnych. To daje podstawę do wyróżnienia nowej epoki geologicznej.*

Najwyraźniej nie według wszystkich.

Co zobaczą geolodzy

Spór wydaje się czysto akademicki, ale ma swoje znaczenie symboliczne. Bo nawet jeśli na razie trwałe zmiany w litosferze nie są aż tak jednoznaczne, a w perspektywie geologicznej dominacja człowieka na Ziemi jest niczym mgnienie oka, to zwiększające się populacja i konsumpcja w sposób oczywisty prowadzą do nadmiernej eksploatacji planety na wielu poziomach.

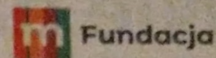
Na razie grupie geologów nie udało się przekonać sceptyków, że antropocen wart jest oficjalnego odnotowania, jednak w końcowym oświadczeniu Międzynarodowa Unia Nauk Geologicznych przyznała, że jest on ważnym sposobem opisu relacji między człowiekiem a przyrodą. A zatem przegrana bitwa nie musi być jednoznaczna z końcem wojny.

Termin ten nie nabrał znaczenia chronostratygraficznego, z pewnością jednak pozostanie określeniem koncepcji kulturowej, opisującym epokę przyspieszającego wpływu człowieka na klimat czy utratę różnorodności biologicznej, które niechybnie zbliżają nas do katastrofy klimatycznej i cywilizacyjnej. Gdy do niej dojdzie, w litosferze z pewnością odłożą się na tyle wyraźne warstwy, że geolodzy przyszłości nie będą mieć kłopotów z jej wyróżnieniem.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



Matematycy w natarciu



Coraz więcej młodych matematyków, studentów wydziałów matematycznych na uniwersytetach i uczelniach technicznych w kraju bierze udział w konkursie „Krok w przyszłość", organizowanym po raz ósmy przez Fundację mBanku w partnerstwie z Instytutem Matematyki Polskiej Akademii Nauk.

W tym roku na konkurs zgłoszono 41 prac magisterskich, licencjackich i naukowych. – *Od początku istnienia konkursu dostawaliśmy dobre, bardzo dobre i znakomite teksty – i to nie tylko prace magisterskie, ale i prace licencjackie, pisane przez bardzo młodych ludzi* – podsumowuje prof. Paweł Strzelecki, dziekan Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego, a jednocześnie przewodniczący siedmioosobowego jury, złożonego ze specjalistów z różnych dziedzin matematyki. I dodaje, że w czołówce laureatów dość regularnie znajdują się kobiety, wbrew częstemu, ale niesłusznemu, przekonaniu, że matematyka jest domeną mężczyzn. Ostatecznie do ścisłego finału wybrano osiem prac. Autorzy czterech najlepszych otrzymali nagrody finansowe.

W tym roku główną nagrodę, czyli 20 tys. zł oraz statuetkę STEFCIO, która symbolizuje wybitnego polskiego matematyka Stefana Banacha, otrzymał Radosław Żak. Nagrodzoną pracę napisał podczas studiów licencjackich na Uniwersytecie Jagiellońskim (obecnie kontynuuje naukę na Uniwersytecie w Cambridge). Punktem wyjścia było pojęcie grupy – struktury formalizującej i rozszerzającej termin symetrii. Grupie można przyporządkować graf – sieć połączonych ze sobą węzłów (obiektów, które bada zarówno matematyka, jak i informatyka). W pracy dowodzi własności jednej z konstrukcji tego typu – np. że otrzymany graf może być dowolnie skomplikowany.

Z kolei wyróżniona praca Tamary Frączek, doktorantki na Wydziale Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Wrocławskiego, dotyczy teorii prawdopodobieństwa. Szczególnie procesu gałązkowego (opisuje systemy cząstek, które poruszają się losowo oraz mogą się rozmnażać), w którym dodatkowo cząsteczki są poddawane selekcji. Takie modele są stosowane przez fizyków przy badaniu rozchodzenia frontu fali.

Wyróżnienie otrzymał także Bartosz Sójka, absolwent Wydziału Matematyki i Informatyki na Uniwersytecie Wrocławskim (obecnie studiuje fizykę w ramach Kolegium Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Matematyczno-Przyrodniczych na Uniwersytecie Warszawskim). Jego praca dotyczy pola powierzchni dwuwymiarowych orbifoldów hiperbolicznych. Orbifoldy to obiekty, które w swojej strukturze geometrycznej zawierają informacje o symetriach. Jak sam mówi, posiadają solidną, przyjemną w dotyku strukturę.

Celem pracy Filipa Gawrona, absolwenta Instytutu Matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim (obecnie robi doktorat z matematyki na Uniwersytecie w Barcelonie), było zbadanie skończonych podgrup abelowych w grupie Nottingham. Grupę Nottingham definiuje się jako grupę szeregów jednej zmiennej o współczynnikach w ciele skończonym i z działaniem składania szeregów.

Zdaniem prof. Strzeleckiego nagrodzone prace pokazują, że młodzi ludzie są świetni, nie tylko w skali własnego ośrodka, ale w szerszej, niezależnej ocenie grupy bardziej doświadczonych i starszych kolegów po fachu. – *Oceniamy przede wszystkim samodzielność autora, czego zresztą wymaga regulamin konkursu, ale także jego inwencję, pomysłowość, pracowitość. Wyróżnione prace muszą zaciekawić całe jury, a następnie uzyskać wysoką ocenę niezależnych, zewnętrznych recenzentów. Najważniejsze jest jednak zgodne wrażenie członków jury, że oto mamy autora, który rozwiązał trudny i ciekawy problem, zrobił to elegancko i z klasą, a potem czytelnie i precyzyjnie opisał* – dodaje prof. Strzelecki.

Tegoroczni laureaci konkursu „Krok w przyszłość" mają też swoje plany. Radosław Żak od października będzie doktorantem w Oxfordzie, gdzie chce zajmować się teorią reprezentacji grup p-adycznych. Nie wyklucza też dalszej naukowej kariery matematycznej na jakimś europejskim uniwersytecie. Podobnie myśli Bartosz Sójka, w planach ma także doktorat z matematyki. Obecnie pracuje w Europejskim Ośrodku Badań Nuklearnych (CERN) w sekcji robotyki. Na razie naukowej kariery nie planuje Tamara Frączek, ale na studiach zajmowała się analizą danych, więc pod tym kątem będzie szukać pracy.

Nikt z nagrodzonych nie marzy o Noblu z matematyki. Ale kto wie?

ZOFIA LEŚNIEWSKA

Materiał powstał we współpracy komercyjnej z Fundacją mBanku.

Laureaci VIII edycji konkursu „KROK W PRZYSZŁOŚĆ":

Nagrodę główną 20 tys. zł oraz statuetkę STEFCIO otrzymał:



© AP

RADOSŁAW ŻAK (Uniwersytet Jagielloński) za pracę naukową „A few remarks on the theory of non-nilpotent graphs", napisaną pod kierunkiem dr. hab. Grzegorza Kapustki.

Wyróżnienia po 10 tys. zł otrzymali:



© PAWEŁ PIOTROWSKI

TAMARA FRĄCZEK (Uniwersytet Wrocławski) za pracę magisterską „Branching-selection particle system with semiexponential increments", napisaną pod kierunkiem dr. Piotra Dyszewskiego.



© AP

BARTOSZ SÓJKA (Uniwersytet Wrocławski) za pracę magisterską „Areas of two dimensional hyperbolic orbifolds", napisaną pod kierunkiem prof. dr. hab. Tadeusza Januszkiewicza.



© AP

FILIP GAWRON (Uniwersytet Jagielloński) za pracę magisterską „Embeddings of finite abelian p-groups into the Nottingham group", napisaną pod kierunkiem dr. Jakuba Byszewskiego.

Nie dajmy się zwariować

Narasta sprzeciw wobec tradycyjnej psychiatrii. Zamiast u lekarzy pomocy szukamy w aplikacjach i poradnikach. Dwie książki próbują uporządkować ten chaos. Z różnym skutkiem.

PAWEŁ WALEWSKI

Po wpisaniu w wyszukiwarkach aplikacji słowa „depresja" pojawia się kilkadziesiąt propozycji. Jedne ją diagnozują (ostrzegamy: raczej udają, że to robią), inne pomagają odnaleźć sens życia. Istnieją podobne programy skierowane do osób zmagających się z lękiem, schizofrenią, zespołem stresu pourazowego, zaburzeniami odżywiania i uzależnieniami. Rozwijająca się branża selfcheckingu (samokontroli stanu zdrowia) wyruszyła na psychiatryczne łowy. Łudząc się, że zaspokoi ważną potrzebę – bo według szacunków ok. 30 proc. mieszkańców globu doświadczy zaburzeń psychicznych w swoim życiu, a dane Światowej Organizacji Zdrowia pokazują, że wielu z nich (do 55 proc. w krajach rozwiniętych i 85 proc. w rozwijających się) nie otrzymuje leczenia, którego potrzebuje, i często szuka pomocy w internecie.

Za dużo autyzmu

Eksperci mówią, że nie należy ufać aplikacjom, które – choć obiecują pomóc w kryzysach psychicznych – nie zostały pod tym kątem ocenione. Szybka interakcja z użytkownikiem – algorytm pyta o nastrój i sugeruje odpowiednie strategie jego poprawy – wygląda na zaletę. Pozornie. Gdy w Australii dokonano przeglądu 82 dostępnych na rynku aplikacji na smartfony dla osób z chorobą afektywną dwubiegunową, odkryto, że niektóre z nich zawierały zalecenia „krytycznie błędne" – np. radzono ludziom w środku epizodu maniakalnego, aby pili mocny alkohol przed snem!

Może lepszą pomocą służą książki, które w tradycyjny sposób komunikują się z pacjentami? Tu również istnieje ryzyko, że w ręce wpadnie poradnik napisany przez niekompetentnego autora. Co prawda wielu psychiatrów nie widzi niczego złego, kiedy czytelnicy w ten sposób rozwiązują swoje dylematy lub zmieniają zakorzenione wzorce myślowe – o ile porady są naukowo uzasadnione. Wysyp popularnonaukowych książek tego rodzaju wzmacnia jednak przekonanie o masowym rozpowszechnieniu zaburzeń psychicznych.

Efektem są coraz donośniejsze głosy, że psychiatria może za bardzo chce przejąć kontrolę nad naszym życiem? Za dużo diagnoz autyzmu i ADHD, za wiele pochopnych rozpoznań depresji, przesadna obfitość nerwicowych objawów – niesie się krytyka wymierzona głównie w lekarzy zbyt chętnie wypisujących leki. Pacjenci bowiem zaczęli naiwnie wierzyć, że za sprawą antydepresantów lub innych psychotropów łatwo rozwiążą każdy problem.

Wiedzę na temat radzenia sobie z zaburzeniami psychicznymi próbują uporządkować dwie wydane właśnie w Polsce książki. Obie wpisują się w nurt oswajania psychiatrii w życiu publicznym. Każda w diametralnie inny sposób. „Zdrowie psychiczne. Instrukcja obsługi" autorstwa Aleksandry Pięty, młodej psychiatrki znanej z psychoedukacyjnego profilu na Instagramie @psychiatra_ola – zachęca do leczenia. Druga książka – „Zmącony obraz" amerykańskiego dziennikarza naukowego Roberta Whitakera, po raz pierwszy opublikowana w Stanach Zjednoczonych w 2010 r. – wyraźnie od niego odciąga.

Więcej leków, więcej chorych?

Zastanawia, dlaczego zdecydowano się przetłumaczyć książkę po 14 latach od jej premiery w Stanach Zjednoczonych? Tym



bardziej że autor przytacza wyłącznie amerykańskie statystyki zużycia leków i odwołuje się do praktyk specyficznych dla tamtejszej psychiatrii. A i samo podejście lekarzy do podłoża zaburzeń psychicznych dość istotnie się w ostatniej dekadzie zmieniło na całym świecie. To, co jeszcze w 2010 r. uznawano niemal za dogmat – że wystarczy przywrócić właściwy poziom neuroprzekaźników w mózgu, by pacjenta uznać za wyleczonego – nie jest już tak powszechne; wbrew nadziejom pacjentów.

Amerykanie wierzą w farmakologię bardziej niż reszta świata, czego pierwszym skutkiem ubocznym był kryzys opioidowy, a zaraz po nim skok sprzedaży neuroleptyków (leków przeciwpsychotycznych, wyciszających układ nerwowy). Ubezpieczeni korzystają tam z prawa do wykupowania leków na masowo wypisywane recepty, a ci bez polis bez trudu zaopatrują się w szemranych źródłach. W jakimś stopniu te niebezpieczne praktyki widoczne są w Polsce, ale dotyczą bardziej osób, które stawiają sobie same diagnozy i leczą się na własną rękę, a nie głównego nurtu psychiatrii.

Tymczasem na obwolucie książki Whitakera polski wydawca szczerze wyjaśnia, że zależało mu na wywołaniu poruszenia. A chodzi głównie o jedno, dla Whitakera zasadnicze pytanie: jak to jest, że dysponujemy coraz większą liczbą farmaceutyków najnowszej generacji, a liczba osób zmagających się z kryzysami psychicznymi zamiast spadać, rośnie, i to w zastraszającym tempie?

Swoją odpowiedź autor po napisaniu 405 stron wykłada w czterech zdaniach: „Owszem, leki psychotropowe bywają skuteczne w krótkiej perspektywie. W dłuższej zapewniają niektórym korzyść. Ogólnie jednak powodują pogorszenie stanu pacjentów cierpiących na ciężkie zaburzenia psychiczne. Zwiększają prawdopodobieństwo, że choroba stanie się przewlekła i że pojawią się nowe, poważniejsze objawy". Jak sądzisz, osobo czytająca te słowa, na co może zdecydować się pacjent w trakcie terapii po przeczytaniu takiego podsumowania?

Gdyby wnioski Whitakera dotyczyły wyłącznie i tak niemałej grupy konsumentów psychotropów, którzy łykają je, by tylko regulować swój nastrój, bez konsultacji z lekarzami, trudno byłoby mieć pretensje.

Ale z przedmowy do książki Whitakera napisanej przez dr hab. Katarzynę Prot-Klinger wynika, że ostrze swojej bezwarunkowej krytyki wymierza on w cały system leczenia psychiatrycznego (choć jeszcze raz podkreślmy: w USA). Szkoda, że polski wydawca, skoro skorzystał z opinii lekarki znanej ze swojego sceptycyzmu wobec farmakoterapii (czemu dała wyraz, poza wstępem, w niedawnym wywiadzie w „Gazecie Wyborczej") nie pokusił się chociaż o dwugłos i nie dał czytelnikom szansy zapoznania się z opiniami innych polskich psychiatrów. Nie tych, którzy pracują wyłącznie w prywatnych warszawskich gabinetach, gdzie mogą pozwolić sobie – zgodnie z intencją Whitakera – na nieograniczoną czasowo (a dla pacjenta kosztowną) psychoterapię, wspartą ewentualnie lekami, lecz na zatłoczonych oddziałach szpitalnych, gdzie takiego komfortu nie ma. Jak powiedziała mi jedna z takich frontowych specjalistek

Można odnieść wrażenie, że zaburzenia emocjonalne ma już prawie każdy.



spoza Warszawy, jej wojewódzki szpital psychiatryczny to w zasadzie „psychiatryczny OIOM" – trzeba chorych szybko za pomocą leków pacyfikować i wypisywać, żeby zrobić miejsce dla innych.

– *Trudno nie zgodzić się z postulatem, że leki psychotropowe, jak każde zresztą leki, należy zlecać z rozmysłem i starannie je dostosowywać do stanu pacjenta* – przyznaje dr hab. Sławomir Murawiec, rzecznik Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i redaktor naczelny czasopisma naukowego „Psychiatria Spersonalizowana", mając nadzieję, że nawet lekarze pracujący na nocnych dyżurach w izbach przyjęć nie robią odstępstw od tej reguły.

Whitaker napisał dobrze udokumentowaną książkę, w której sięga do korzeni farmakologicznego boomu w amerykańskiej psychiatrii i dokonał rewizji naukowych hipotez na podstawie wyników badań klinicznych. Jednak w Polsce, 14 lat później, trzeba ją czytać z dużo większą wiedzą na temat tła zaburzeń psychicznych, której mogą nie mieć przeciętni czytelnicy (choć do nich jest skierowana). „Zmącony obraz" to akurat trafny tytuł dla dzieła, które może u wielu wywołać niepotrzebne zwątpienie. Apel autorki polskiego wstępu, tonującej napięcia pomiędzy ▶

▶ zwolennikami a przeciwnikami leków, dla wielu może się okazać niewystarczający.

Plecak, gips i okulary

Dlatego dobrze, że do rąk czytelników trafia też sprawnie napisana książka „Zdrowie psychiczne. Instrukcja obsługi". Amerykański przedruk dość przewrotnie, poprzez krytykę leków, zwraca naszą uwagę na inne (lepsze?) metody terapii. Polska autorka robi to z większym wyczuciem i w bardziej bezpośredni sposób. – *Jestem lekarką w trakcie pięcioletniej specjalizacji z psychiatrii, którą kończę w tym roku* – odpowiada na moją wątpliwość, czy nie brakowało jej doświadczenia przy tworzeniu kompendium na temat zdrowia psychicznego.

– *Pracuję w Pruszkowie, w jednym z największych szpitali psychiatrycznych w Polsce, co umożliwia kontakt z pacjentami z różnorodnymi dolegliwościami* – argumentuje. Wieloletnie prowadzenie „psychiatrycznego" konta na Instagramie pomogło autorce sprecyzować, do kogo powinna kierować swe porady: do osób, które zastanawiają się nad wyborem właściwego specjalisty (psychiatry, psychologa, a może np. hipnoterapeuty?); do chorych, którzy chcieliby poznać potencjalne metody kuracji; do ich bliskich szukających sposobu niesienia pomocy; do lekarzy innych specjalności, którzy często nie wiedzą, dokąd skierować pacjenta sygnalizującego problemy z psychiką.

To, że leki nie muszą być jedyną opcją leczenia, uczy przykład depresji – choroby masowo rozpoznawanej, z rozmaitymi objawami wrzucanymi do wspólnego worka. „Depresja jest jak ciężki plecak wypełniony problemami i negatywnymi przekonaniami, który ktoś musi nosić ze sobą przez cały czas, co sprawia, że wszystko staje się trudniejsze i bardziej męczące" – pisze Pięta (cała jej książka wypełniona jest przenośniami pomagającymi komunikować się z pacjentami w prosty sposób). – *Mamy jedno słowo „depresja", a różne procesy mogą do niej prowadzić i po różne metody terapeutyczne warto sięgać* – dodaje dr Murawiec.

Wmawianie, jak w książce Whitakera, że psychiatrzy nadal wierzą w argumenty sprzed pół wieku, które przyspawały ich do jedynej słusznej hipotezy biologicznej, opartej na deficycie jednego neuroprzekaźnika serotoniny, jest anachroniczne. Dr Pięta zwraca na to uwagę: u jednego pacjenta dominuje tło biologiczne, u drugiego somatyczne (tzw. teoria zapalna depresji), a u innego społeczne (utrata pracy, rozwód). – *Raz leki pomogą wyjść z dołka na jakiś czas, kiedy indziej przyda się inna forma leczenia* – mówi. – *Gdy pacjent stanie na nogi i minie obezwładniający lęk, będzie w stanie spojrzeć na swoją sytuację i poszukać właściwej formy psychoterapii.*

Wymierzona w psychiatrię krytyka sformułowana przez Whitakera może wynikać z rozczarowania, że mimo postępu farmakoterapii i coraz dokładniejszego rozpoznania źródeł zaburzeń psychicznych (depresji, schizofrenii) wciąż nie przenosimy się do szczęśliwszego świata – choć wydawało się, że umożliwią to chemiczne modyfikatory pracy mózgu. Aleksandra Pięta pokazuje, że w psychiatrii zachodzi dziś raczej proces poszerzania interwencji – np. badania nad skutecznością przezczaszkowej stymulacji w leczeniu depresji dowodzą, że może być ona alternatywą w stosunku do leków.

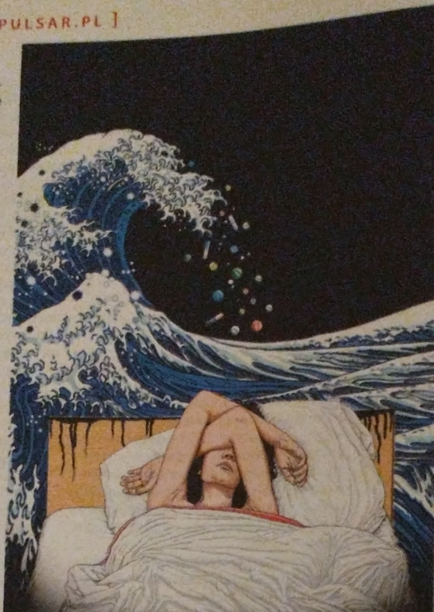
Obszerny raport na ten temat ukazał się niedawno w jednym z najlepszych czasopism naukowych „PNAS", w którym TMS (magnetyczna stymulacja przezczaszkowa) i tDCS (stymulacja niskonapięciowym prądem stałym) zostały przedstawione jako opcje bezpieczne i skuteczne. A na drodze do ich spopularyzowania nie stoi brak efektów (jeśli metody te zostaną właściwie dobrane do konkretnego pacjenta), lecz na razie wysoka cena aparatury oraz skromne możliwości wykonywania takich zabiegów w domu. Łatwość przyjmowania tabletek, nawet kosztem ewentualnych powikłań, to czynnik nieraz decydujący przy wyborze kuracji. Dr Pięta słusznie porównuje je do okularów, które „nie usuną wady wzroku, ale umożliwiają codzienne funkcjonowanie i zapobiegają pogarszaniu problemu", i do gipsu, dzięki któremu „przywracana jest naturalna równowaga organizmu i normalne samopoczucie".

Dobry psychiatra i dobry psycholog będą starać się uzyskać empatyczne zrozumienie historii każdego pacjenta, a następnie zaoferują mu pomoc w złagodzeniu cierpienia – niezależnie od tego, czy stanowi ono już zaburzenie, czy jest jeszcze częścią normalnego życia. Do takiego wniosku prowadzi lektura książki dr Pięty. Ale to z kolei prowokuje następne pytanie, czy każde duchowe, psychiczne, wzloty i upadki trzeba poddawać kontroli lub terapii?

PAWEŁ WALEWSKI

Aleksandra Pięta **„Zdrowie psychiczne. Instrukcja obsługi"**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2024

Robert Whitaker **„Zmącony umysł. Leki psychotropowe i epidemia chorób psychicznych w Ameryce"**, tłum. Jan Dzierzgowski, Wyd. Czarne, Wołowiec 2024



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Pacjenci zaczęli naiwnie wierzyć, że za sprawą psychotropów łatwo rozwiążą każdy problem.





© SHUTTERSTOCK

Chat z okienka

Administracja publiczna rozpoczyna przygodę ze sztuczną inteligencją. Ten mariaż ma przynieść ulgę obywatelom i urzędnikom.

Wcześniej możliwości sztucznej inteligencji, AI, odkrył biznes, m.in. branże finansowa i telekomunikacyjna, a także handel detaliczny, czyli przedsiębiorstwa obsługujące bardzo wielu klientów. – *Zbierają morze danych i starają się je wykorzystać w praktyce* – mówi dr Michał Gamrot z zespołu Digital& w firmie doradczej PwC Polska. – *Banki wiedzą, jak często logujemy się do systemu, jak szybko piszemy na klawiaturze, ile wydajemy i na co. Na podstawie tych informacji potrafią przewidzieć, z jakim prawdopodobieństwem i kiedy kupimy kartę kredytową. Podobne operacje da się wykonywać w sektorze publicznym.*

Ziarna sztucznej inteligencji w instytucjach publicznych starają się siać sami dostarczyciele technologii. Przekonują, że warto inwestować w narzędzia, które pomogą urzędnikom np. kategoryzować zdigitalizowane dokumenty. – *Takie działania pochłaniają mnóstwo czasu, tę dość mechaniczną pracę wykonują osoby starannie wykształcone, które spędziły lata w uniwersytetach, mogłyby więc zająć się czymś bardziej twórczym i skomplikowanym niż ręczne nadawanie sygnatur* – stwierdza dr Michał Gamrot. Urządzenia, przekonują ich twórcy, potrafią tu wyręczyć człowieka. Wykonają operację znacznie szybciej i dokładniej, rzadziej się mylą, nie męczą się, poziom ich koncentracji jest zawsze dokładnie taki sam, nie zależy od nastroju, uwarunkowań politycznych i biometu.

Owytchnieniu od administracyjnego znoju marzą miliony urzędników, stąd urzędy na całym świecie własnym sumptem starają się wprowadzać rozwiązania, które uwolnią ich pracowników od wykonywania czynności dających się prosto zautomatyzować. Także sami obywatele doskonale wiedzą, jak łatwy bywa dostęp choćby do bankowości internetowej, a jaką drogą przez mękę potrafi być kontakt z urzędem władz lokalnych w sprawie jakiejkolwiek błahostki. Stąd promotorzy rozwiązań zaprzęgających AI składają urzędnikom i obywatelom-petentom dwa rodzaje obietnic.

Po pierwsze: – *Automatyzacja zmniejszy pracochłonność najbardziej nużących procesów* – przewiduje dr Michał Gamrot. Dzieje biurokracji widziały sporo przełomów, zmieniały ją m.in. wynalazki pisma, księgowości czy telegraf. Obecny moment dziejowy bywa porównywany do rewolucji zapoczątkowanej w latach 70. XX w. wraz z wprowadzeniem komputerów. – *Usprawniły operacje matematyczne, ale znacznie gorzej radzą sobie z tekstem, który zależy od kontekstu, ma nieoczywisty charakter i wiele znaczeń* – objaśnia dr Gamrot. – *Wydestylowanie z niego precyzyjnej informacji jest bardzo trudne. Tę przeszkodę pokonały rozwiązania analityczne związane ze sztuczną inteligencją. Operują właśnie na dokumentach, które są esencją sektora publicznego.*

Komputery nie wyeliminowały zupełnie urzędników – AI też ich nie zastąpi, obywatel nadal będzie musiał wiedzieć, gdzie siedzibę ma jego urząd – za to zmniejszy się np. uzależnienie od papierowych archiwów. Przed erą komputeryzacji szukano przepisów na półkach, teraz robi się

...rzeczej na dyskach lub w sieci, ale nadal „na piechotę", wpisując do wyszukiwar[ki] bardzo konkretne pytania. Przyszłym standardem ma być kontakt z tzw. chatbotem, wykorzystującym współczesne algorytmy i wielkie bazy danych. Na ich podstawie chatbot udzieli odpowiedzi na pytania otwarte, wykona omówienie albo streszczenie, czyli operacje o niebo bardziej skomplikowane niż te dostępne obecnie.

Drugi rodzaj obietnic składany jest obywatelom. Łatwiejszy ma być kontakt z instytucją, bo np. chat – czyli odpowiednik wirtualnej pani czy pana w okienku – urzęduje bez przerwy, pracuje także w nocy i w święta, można się z nim skontaktować przez telefon albo w komunikatorze internetowym. Także działania administracji mają być prowadzone z większym sensem, bo można np. planować rozwój przestrzeni wsi i miast na podstawie twardych danych o nawykach i potrzebach mieszkańców.

We Wrocławiu od stycznia, w ramach rozwijanej idei Smart City, pracują kamery, które zliczają użytkowników dróg rowerowych, uwzględniają rodzaj pojazdu i kierunek jazdy. – *Ich działanie jest oparte m.in. na AI, pozwalają rozpoznać dynamikę ruchu rowerowego, co niewątpliwie przyczyni się do lepszego planowania układu drogowego. Tak, by sprawniej godzić interesy kierowców, pieszych i rowerzystów* – mówi Robert Bednarski, dyrektor ds. Smart City we wrocławskim urzędzie miejskim. – *Maszyny trzeba uczyć i w trakcie testów zauważyliśmy różne problemy* – przyznaje dyr. Bednarski. – *Niektóre przypadki wykraczały poza standardowy obraz roweru. Kamera nie potrafiła nadać odpowiedniej kategorii dostawcom jedzenia z przytwierdzoną torbą sporych rozmiarów, podobny kłopot system miał z rozpoznaniem rowerów dla osób z niepełnosprawnościami.*

Kamery dostarczają więcej danych niż np. wkopywane w ziemię pętle indukcyjne, które nie rozpoznają rodzajów pojazdów, a rowerów z aluminiową ramą w ogóle nie wykrywają. Podobne systemy można stosować do monitorowania miejsc postojowych, by podpowiadać kierowcom, na których odcinkach ulic jest szansa na zaparkowanie auta. Systemy takie bywają jednak drogie, składają się z wielu elementów i wymagają serwisowania, czasem trzeba coś rozkopać. – *W tym przypadku zamiast kamer możemy wykorzystywać dane z parkomatów. Widzimy wówczas, ile biletów zostało wykupionych i m.in. na tej podstawie tworzone są podpowiedzi, które trafiają do kierowców za pośrednictwem testowanej aplikacji* – opowiada dyr. Robert Bednarski.

A co z obawami? Choćby o nadmierne podglądactwo? Dyrektor Bednarski zapewnia o braku słyszalnych sprzeciwów, uspokaja, że dane z nowoczesnych urządzeń dostarczane są w formie zanonimizowanej. Podaje przykład samotnie mieszkających seniorów, którzy w ramach miejskiego projektu otrzymali bezprzewodowe urządzenia monitorujące stan ich zdrowia i umożliwiające natychmiastowe wezwanie pomocy w przypadku zagrożenia życia. – *AI pomoże w dobrym zarządzaniu miastem, jej analizy są bardziej staranne niż te wykonane ludzką ręką. Potrzebujemy precyzyjnych danych, by szybko rosnące, coraz bardziej zatłoczone miasta nadawały się do przyjemnego życia* – twierdzi dyr. Bednarski.

Orędowniczką takich ułatwień dla obywateli jest Joanna Erdman, prezeska Fundacji Polska Bezgotówkowa, wspierającej cyfryzację najmniejszych przedsiębiorców oraz administracji, także samorządowej: – *Jak najwięcej procesów związanych z obsługą mieszkańców powinno być dostępnych online* – uważa. Jednak coś za coś: sektor publiczny jest szczególnie narażony na ataki cybernetyczne. Jego infrastruktura pozostaje rozproszona, a to powoduje rozproszenie wiedzy o budowaniu zabezpieczeń. W mniejszych miejscowościach i mniejszych organizacjach jest trudniej z dostępem do wykwalifikowanych informatyków i specjalistów od zabezpieczeń.

– *Wciąż czekamy na krajową strategię cyfryzacji i na jeden standard ochrony takich instytucji. Jeśli władze publiczne decydują się na udostępnianie jakichkolwiek usług, to muszą też brać na siebie odpowiedzialność za stawianie skutecznych zabezpieczeń. AI mogłaby opracowywać dane z połączonych rejestrów danych, zbieranych przez np. miasta, ale każdy, kto brał np. kredyt hipoteczny, dobrze wie, że informacje te nie są obecnie zintegrowane* – przekonuje Joanna Erdman. Tylko czy całe zamieszanie w ogóle się opłaca, czy warto ponosić nakłady na zakup nowego sprzętu i przeszkolenie urzędników? – *Patrząc z perspektywy całej gospodarki, to inwestycje w rozwój sztucznej inteligencji w sektorze publicznym są wręcz wskazane. Trzeba jednak pamiętać, że powodzenie zależy od poziomu startowego ucyfrowienia. A z nim bywa różnie.*

Jędrzej Winiecki

Kosmiczne zoo

Czego nowego dowiedzieliśmy się o czarnych dziurach? I czy mamy już pewność, że istnieją? Wyjaśnia prof. Tomasz Bulik, astrofizyk z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego.

PRZEMEK BERG: – **Dwaj fizycy brytyjscy – Brian Cox i Jeff Forshaw – napisali niedawno książkę „Czarne dziury. Klucz do zrozumienia Wszechświata". Zastanawiam się, jak możemy używać jako klucza czegoś, co wciąż tak słabo rozumiemy?**

TOMASZ BULIK: – Myślę, że porównanie czarnych dziur do klucza nie jest złe. Ale jeśli to jest klucz do jakichś drzwi, to w tych drzwiach jest jeszcze, moim zdaniem, wiele innych zamków. I kluczy do nich też jest wiele. Nie jest tak, że jeśli zrozumiemy czarne dziury, to zrozumiemy od razu cały wszechświat. Nie. Ale oczywiście bez zrozumienia czarnych dziur wszechświata dobrze nie poznamy.

Czy w ostatnich latach ono się istotnie pogłębiło?

Oczywiście. I to bardzo – dzięki rozwojowi technik obserwacyjnych. Mam tu na myśli przede wszystkim wykrycie fal grawitacyjnych powstałych w wyniku zderzania się czarnych dziur, a także pierwsze w historii ich obrazy wykonane Teleskopem Horyzontu Zdarzeń. Przypomnę – przedstawiają one supermasywne czarne dziury w centrum naszej Galaktyki i w centrum galaktyki M87, oddalonej od nas ponad 50 mln lat świetlnych. Dzięki nim zaczynamy wiedzieć, że obiekty te zachowują się raczej zgodnie z naszymi przewidywaniami. Możemy też dostrzec więcej, na przykład obserwować dyski akrecyjne czarnych dziur – opadające na nie wirujące struktury z pyłu i gazu – z większą rozdzielczością, a więc też śledzić ich ewolucję w czasie.

Dzięki falom grawitacyjnym zaczynamy dostrzegać pewne niedostrzegane wcześniej własności, na przykład charakterystyczne oscylacje nowo powstałych dziur po ich koalescencji (zespoleniu). Fakt, że wszystkie te pomiary są zgodne z przewidywaniami ogólnej teorii względności, jest niezwykły. Niektóre hipotetyczne koncepcje daje się już dzisiaj wyeliminować. Na przykład tę sugerującą istnienie tzw. zapór ogniowych na horyzoncie zdarzeń czarnej dziury, o której napisano dziesiątki prac.

Horyzont zdarzeń? Zapory ogniowe? Można trochę bliżej?

Przypomnijmy: horyzont zdarzeń czarnej dziury to wyznaczany tzw. promieniem Schwarzschilda obszar, spod którego nic, żadne cząstki, żadne oddziaływania nie mogą się wydostać z powrotem do naszego świata. Z kolei zapory ogniowe to hipoteza mówiąca o tym, że ponieważ wokół czarnej dziury czas płynie bardzo wolno, wszelkie cząstki wpadające do niej byłyby zatrzymane tuż ponad horyzontem zdarzeń. Na zawsze… Ale wiemy, że w wyniku zderzenia dwóch czarnych dziur i powstania nowej i masywniejszej te zapory powinny się przynajmniej na chwilę otworzyć i dać błysk elektromagnetyczny. Jednak my tych błysków nie widzimy. Reasumując – do niedawna mogliśmy obserwować czarne dziury tylko z bardzo dużych odległości, a teraz możemy zajrzeć już blisko horyzontów zdarzeń. To ogromna jakościowa zmiana.

Ale trzeba też powiedzieć, że mamy do czynienia z całym zoo czarnych dziur, od stosunkowo małych, gwiazdowych, po supermasywne. Czy o jednych wiemy więcej niż o innych?

Jeśli chodzi o obiekty do ok. 60 mas Słońca, czyli dziury gwiazdowe, to mamy w miarę jasny obraz tego, jak one powstają – dobry scenariusz oparty właśnie na teorii ewolucji gwiazd. Gorzej jest z tymi o masach pośrednich, do kilkuset tysięcy Słońc, i największymi, z galaktycznych centrów – do miliardów mas Słońca. Wciąż nie wiadomo, jak powstają. Uważa się, że w sposób hierarchiczny, czyli z łączenia się mniejszych dziur w coraz większe. Problem polega jednak na tym, że ogromnie masywne czarne dziury są obserwowane już w bardzo młodym wszechświecie. Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba je widzi. Jak mogły więc w bardzo krótkim czasie uformować się do tak wielkich rozmiarów?

To jest kwestia, której nie rozwiążemy, siedząc przy biurku. Musimy czekać na lepsze obserwacje, mieć przegląd wielu masywnych czarnych dziur w różnych odległościach od nas, zrobiony przez teleskop Webba. Albo poczekać kilka lub kilkanaście lat, aż w kosmosie zacznie działać obserwatorium LISA rejestrujące zderzenia masywnych czarnych dziur właściwie w całym wszechświecie.

Może te największe powstają w nieznany nam jeszcze sposób?

Istnieje taka alternatywna koncepcja. We wczesnym wszechświecie gaz mógł tworzyć potężne lokalne zagęszczenia materii i to one, przez kolaps, zrodziły bardzo masywne obiekty. Zwłaszcza że gęstość największych jest mała. Na przykład czarna dziura o masie miliarda Słońc będzie miała gęstość 10^{3} grama na centymetr sześcienny. To nie jest wiele. Być może dawno temu gaz międzygwiazdowy tworzył takie zagęszczenia.

…z nich powstawały czarne dziury. Niestety nie wiemy, jak mogłyby się tworzyć takie ogromne niejednorodności materii …ło w małych obszarach. I czy ciśnienie …go gazu nie byłoby przeszkodą.

Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do gwiazdowych czarnych dziur. Mówi się, że powstają w wyniku kolapsu gwiazdy, po którym następuje wybuch supernowej, ale też, że gwiazda zapada się w zupełnej ciszy. To jak to jest?

Tę drugą hipotezę rozważa się już od dłuższego czasu. Ciche, bezpośrednie kolapsy muszą zachodzić choćby dlatego, że czasami obserwujemy jakąś galaktykę i nagle dobrze w niej widzialna masywna gwiazda znika – bez wybuchu. Jeśli ma powyżej 40 mas Słońca, to jest to zdarzenie oczekiwane. Nie działa bowiem mechanizm zwieńczony eksplozją, powodowaną głównie tym, że kiedy jądro masywnej gwiazdy zapada się, to analogicznie dzieje się z jej pozostałą częścią, która może się od jądra odbić, powodując wybuch. Lecz może się też zdarzyć, że jądro zapada się zbyt szybko i pozostała materia już nie ma od czego się odbić, więc zostaje po cichu wchłonięta. Wtedy brak eksplozji. Ale jest czarna dziura.

Te dwa mechanizmy – z wybuchem supernowej i bez – mogą istnieć równolegle?

Tak. To zależy od masy gwiazdy.

Jak właściwie należy sobie wyobrażać czarne dziury? Jako obiekty rozciągłe czy raczej punkty?

Możemy dla nich wprowadzić charakterystyczną odległość, czyli wspomniany wcześniej promień Schwarzschilda, który jest jednocześnie promieniem horyzontu zdarzeń czarnej dziury. Ale to nie znaczy, że ten promień wyznacza obszar samej czarnej dziury. Nie. Czarna dziura nie ma materialnej powierzchni. Promień Schwarzschilda wyznacza jedynie powierzchnię wokół czarnej dziury, spod której nic już nie może się nigdy wydostać. Natomiast w opisie matematycznym czarna dziura jest obiektem próżniowym, to znaczy cała jej masa jest skupiona w jednym, zakrzywiającym czasoprzestrzeń punkcie bez powierzchni, który jest otoczony próżnią. Niestety w tym punkcie już załamują się prawa fizyki. Nikt nie wie, czym on jest i jaki jest.

W książce Cox i Forshaw dużo mówią o rozróżnieniu na czarne dziury nieruchome i obracające się, których istnienie zaproponował w latach 60. XX w. nowozelandzki matematyk Roy Kerr. Skąd w ogóle możemy wiedzieć, czy czarne dziury mają spin?

Moim zdaniem one wszystkie się obracają. Nie ma w kosmosie ciał, które by nie miały jakiegoś momentu pędu. Tyle że te z niemal zerowym możemy z dobrym przybliżeniem opisać jako nieruchome. Właściwości fizyczne dysków akrecyjnych czarnych dziur zależą od tempa obrotu. Od niego też zależy kształt sygnału docierającego do detektorów fal grawitacyjnych. Z kolei obracanie się supermasywnych czarnych dziur skutkuje tym, że w galaktykach pewnego rodzaju – kwazarach, blazarach czy galaktykach Seyferta – obserwujemy obecność strumieni, tzw. dżetów, materii wypływających z ich centrów.

Widząc jasne dyski akrecyjne, możemy podejrzewać, że w środku znajdują się czarne dziury. Czy to jedyny sposób na ich znajdywanie?

Porównanie czarnych dziur do klucza nie jest złe. Ale w tych drzwiach jest jeszcze wiele innych zamków.

Nie. Obserwujemy na przykład dalekie układy podwójne, w których gwiazda i czarna dziura są na tyle oddalone od siebie, że nie następuje przepływ materii z pierwszej na drugą. Wtedy nie ma dysku akrecji. Jednak jeśli gwiazda zatacza elipsy, to wiadomo, że współistnieje z innym obiektem. Znając jej orbitę, możemy wyliczyć masę niewidzialnej sąsiadki. Jeśli przekracza pięć mas Słońca, to raczej musi być czarną dziurą. Istnieją zresztą czarne dziury zupełnie samotne, niezwiązane z żadną gwiazdą. Wykryto już takie metodą tzw. soczewkowania grawitacyjnego.

Przepraszam za to oczywiste pytanie, ale rozumiem, że dzisiaj już nikt nie powątpiewa w istnienie czarnych dziur?

Ja bym to ujął tak: istnieją w kosmosie obiekty, które najlepiej potrafimy opisać tylko jako czarne dziury – spełniające wszystkie stawiane przez nas dla nich wymogi. Gdyby udało się wykryć jakieś odstępstwa, na przykład w ich fizyce fal grawitacyjnych, mielibyśmy wielkie odkrycie. To jest też jeden z ważniejszych celów naszych obserwacji: sprawdzamy, czy obiekty, które uważamy za czarne dziury, zachowują się zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Na razie wszystko się zgadza.

Ludzie zajmujący się fizyką i obserwacją czarnych dziur wciąż stykają się z czymś, co jest bardzo ezoteryczne. Czy to nie stresuje?

Jednak nie do końca ezoteryczne, na szczęście. Kiedy czarne dziury pojawiły się w rozwiązaniach Karla Schwarzschilda, a później na scenę wkroczyli Roy Kerr, John Wheeler, Jacob Bekenstein i inni, pojęcie „czarna dziura” z całkowicie abstrakcyjnego i matematycznego stało się w pewnym stopniu osiągalne dla badań. Zaistniało realnie. Możemy badać przynajmniej niektóre właściwości tych obiektów, możemy dociekać, jak powstają.

We wszechświecie jest więcej zjawisk, które wydawały się badaczom nieba początkowo bardzo egzotyczne lub funkcjonujące tylko w rozważaniach matematycznych. Na przykład niezwykłe gwiazdy neutronowe o masach ponad dwóch Słońc i rozmiarach średniej wielkości miasta, których istnienie sugerowano teoretycznie wiele dziesięcioleci przed ich odkryciem. Albo fale grawitacyjne. Albo egzoplanety. Te ostatnie przed początkiem lat 90. XX w. istniały wyłącznie w hipotezach. Ale wiemy, że wszystkie w końcu zaistniały i stały się obiektami obserwacji. Stąd waga dociekań czysto teoretycznych.

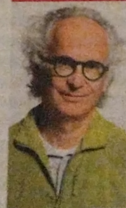
Pretekstem do naszej rozmowy jest polska premiera książki Coxa i Forshawa. Co pan o niej sądzi?

To bardzo dobry, popularnonaukowy wstęp do ogólnej teorii względności i do teorii czarnych dziur.

Nie ma w niej jednak realnej astrofizyki.

Zgadza się, ale została napisana przez fizyków, a nie astronomów, i dotyczy czarnych dziur traktowanych jako obiekty trochę idealne. Dotyczy teorii, która w dużej części jest dla nas niedostępna. Zawiłości czasoprzestrzeni, promieniowanie Hawkinga, termodynamika czarnych dziur – to są zagadnienia w zasadzie pozbawione dzisiaj implikacji obserwacyjnych.

Brian Cox, Jeff Forshaw, **„Czarne dziury. Klucz do zrozumienia Wszechświata”**, tłum. Tomasz Lanczewski, Helion 2024



Prof. **Tomasz Bulik** – astronom z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego, współodkrywca fal grawitacyjnych, zajmuje się astrofizyką teoretyczną, fizyką układów podwójnych, powstawaniem czarnych dziur, gwiazdami neutronowymi i ich ewolucją.

Krwawy karnawał

Zestrzelenie prezydenckiego samolotu 6 kwietnia 1994 r. zapoczątkowało w Rwandzie masakrę, która wstrząsnęła światem.



Szczątki prezydenckiego samolotu

ADAM LESZCZYŃSKI

Wieczorem syn prezydenta Rwandy Juvénala Habyarimany, Jean-Luc, odpoczywał w ogrodzie nad basenem w rezydencji głowy państwa tuż obok lotniska międzynarodowego w Kigali. Nagle usłyszał gwizd i zobaczył białą smugę zmierzającą w stronę samolotu podchodzącego do lądowania. Pilot przechylił maszynę i wyminął pocisk. Drugi trafił w samolot.

Zaledwie pół godziny po katastrofie rebelianci Tutsi z Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego (RPF) zaczęli ostrzeliwać ogród rezydencji. Przez wiele godzin ogniem odpowiadała im gwardia prezydencka.

W tym czasie Jean-Luc, jego matka Agathe, żona prezydenta, oraz kuzyni przeszukiwali szczątki samolotu, które spadły do ogrodu. Większość zwłok była zniekształcona tak bardzo, że nie dało się ich rozpoznać. Tylko jedna twarz, jak opowiadał potem Jean-Luc, była nienaruszona: twarz prezydenta Habyarimany.

Na pokładzie było sześciu wysokich rangą urzędników Rwandy, dwóch dygnitarzy z Burundi i trzyosobowa załoga francuska. Wszyscy zginęli.

To, kto go zestrzelił – pozostaje tajemnicą do dziś. Czarną skrzynkę odnaleziono w tak doskonałym stanie, że urzędnicy ONZ uznali ją za nieużywaną i sądzili, iż pochodzi z innej maszyny. Ostatecznie zidentyfikowano ją 10 lat później. Dekadę przeleżała w jednym z biur ONZ w Nowym Jorku.

Takie dziwne przypadki tylko zwiększyły liczbę plotek i spekulacji dotyczących sprawców zamachu. Nie wiadomo nawet, jaka rakieta zestrzeliła samolot – czy był to amerykański Stinger czy rosyjska Strieła.

Nie brakuje także kandydatów na zabójców. Pozornie najbardziej oczywistym jest Paul Kagame, wówczas przywódca partyzantów Tutsi z RPF, a od zdobycia Kigali aż do dziś prezydent i niepodzielny władca kraju. Krążyły spekulacje, że zawarł układ z żołnierzami pilnującymi lotniska i to oni zestrzelili prezydencki samolot. Armia nie miała jednak ani samolotów, ani broni przeciwlotniczej.

W 2004 r. odpowiedzialnością za zamach obarczyło prezydenta Kagame dochodzenie prowadzone przez francuskie władze. Według raportu przygotowanego przez francuskiego sędziego po sześcioletnim śledztwie Kagame wydał rozkaz zestrzelenia samolotu. Sam oskarżony zaprzeczał. Nikt mu zresztą zarzutu wprost nie postawił. Rząd francuski nawet

nie ujawnił oficjalnie raportu ze śledztwa formalnie będącego efektem dochodzenia w sprawie śmierci francuskiego pilota prezydenckiego samolotu. Zapewne jednak nieprzypadkowo wyciekł on do prasy.

Według innej hipotezy, popieranej długo po zamachu przez władze kraju i samego Paula Kagame, prezydent Habyarimana – należący do plemienia Hutu – padł ofiarą swoich współplemieńców, radykałów, którzy uważali go za główną przeszkodę do przeprowadzenia masakry Tutsi. To ich tajemna siatka, nazywana Akazu (według jeszcze innej wersji był to rodzinny klan, którego głową była żona prezydenta Agathe), miała zaplanować ludobójstwo. W istocie doszło do niego w ciągu kilku tygodni po zabójstwie prezydenta – zginęło ponad 800 tys. ludzi, głównie z plemienia Tutsi.

Dojście do władzy

5 lipca 1973 r. dojście do władzy Juvénala Habyarimany agencja Associated Press odnotowała krótką depeszą. Chodziło przecież o mały kraj w środku Afryki, pozbawiony dostępu do morza, o jedno z najbiedniejszych państw na świecie. AP pisała wówczas, że rząd „małego kraju" został obalony w wojskowym zamachu stanu „po miesiącach niepokojów plemiennych" pomiędzy rządzącą większością Hutu i mniejszością Tutsi. Armia ogłosiła w radiu, że utworzyła Narodowy Komitet Pokoju i Jedności, który będzie rządził, i że Grégoire Kayibanda, jedyny prezydent, którego Rwanda miała od uzyskania niepodległości w 1962 r., został osadzony pod strażą.





Od góry: **prezydent Rwandy Juvénal Habyarimana i jego następca Paul Kagame podejrzany o zlecenie zabójstwa.**

Zamach dokonał się bezkrwawo. Dwa miesiące przed zaplanowanymi wyborami do parlamentu i wyborami prezydenckimi, w których dotychczasowy prezydent był jedynym kandydatem. Zamachowcy zawiesili jedyną legalną partię polityczną w Rwandzie – Permehutu – i rozwiązali zgromadzenie narodowe.

„Stolica Rwandy, Kigali, to senne miasteczko liczące ok. 25 tys. mieszkańców. Ma tylko pięć asfaltowych ulic. W dniach poprzedzających zamach stanu największą sensacją w mieście było to, że stacja benzynowa Texaco zaczęła sprzedawać lody w amerykańskim stylu z nowej zamrażarki" – napisał korespondent „New York Timesa" parę dni później.

Za tą pozorną sennością kryło się jednak ogromne napięcie. Wiosną 1973 r. na fali przemocy skierowanej przeciwko Tutsi zamordowano, według nieoficjalnych źródeł, około tysiąca osób. W lutym 1973 r. studenci Hutu usunęli przemocą studentów Tutsi z Narodowego Uniwersytetu w Butare. Wcześniej, w 1972 r., w sąsiednim Burundi, również zamieszkanym przez Hutu i Tutsi, ale w którym rządziła mniejszość Tutsi, zamordowano prawie 100 tys. osób podczas nieudanej rebelii Hutu i następujących po niej represji.

Zachodni dziennikarze donosili, że zamach Habyarimany zaczął się tuż przed świtem. Żołnierze liczącej 2,5 tys. osób armii zaparkowali samochody opancerzone przed stacją radiową, główną pocztą i centralą telefoniczną, bankami i urzędami państwowymi oraz przejęli kontrolę nad „skromną rezydencją" prezydenta w centrum miasta. Około godz. 5.00 usłyszano kilka strzałów, ale nikt nie został ranny.

W proklamacji gen. Habyarimana napisał, że rząd został rozwiązany, ponieważ „nic nie robił". Dokument podpisali wszyscy pułkownicy i majorowie z armii.

Potężny i dobrze zbudowany, liczący w dniu zamachu zaledwie 36 lat wojskowy cieszył się opinią pragmatycznego, zrównoważonego i życzliwego ludziom. „Nie zdradza oznak ekscentryczności albo brutalności niektórych afrykańskich generałów" – napisał o nim „New York Times".

Rządził Rwandą 21 lat.

Odwieczny konflikt

Rwandę czasami nazywa się krajem tysiąca wzgórz. W latach 70. XX w. nazywano ją ironicznie krajem tysiąca organizacji pomocowych. Wszyscy korespondenci odnotowywali, że kraj jest przerażająco biedny. W 1973 r. na 3,5 mln mieszkańców zaledwie 85 tys. miało stałą pracę, głównie w administracji i wojsku.

Nad Rwandą i sąsiednim Burundi ciążył odwieczny konflikt pomiędzy dwoma plemionami: Hutu i Tutsi. Zachodni dziennikarze opisywali, że Tutsi są wysokimi, szczupłymi i przystojnymi pasterzami, podczas gdy Hutu to przysadziści i krępi rolnicy. W plemiennej ideologii, stworzonej przez intelektualistów Hutu z Uniwersytetu w Butare, która stała się potem paliwem zbrodni ludobójstwa, Tutsi byli zdobywcami i obcymi. Nadeszli przed kilkuset laty z północy, znad Nilu, i podbili miejscowych mieszkańców.

W rzeczywistości, jak się wydaje, podział na Hutu i Tutsi był w dużej mierze dziełem władz kolonialnych. Belgom, którzy podbili te terytoria w XIX w. i uczynili z nich swoją kolonię, łatwiej było rządzić za pośrednictwem lokalnej elity. Sztywne tożsamości plemienne były w dużym stopniu efektem wpływu władz kolonialnych: elita Tutsi rządziła w ich imieniu.

XX-wieczna historia zarówno Rwandy, jak i Burundi pełna jest plemiennych masakr oraz następujących po sobie krwawych i skorumpowanych rządów podporządkowanych interesom jednego plemienia.

Dyktator

Habyarimana rządził żelazną ręką. W kraju legalnie działała jedna partia, Narodowy Rewolucyjny Ruch dla Rozwoju (MRND). Ale reżim był mniej krwawy od wielu sąsiednich – zwłaszcza Miltona Obote w Ugandzie czy Mobutu Sese Seko w Zairze. W 1974 r. jeden z Tutsi wszedł nawet do rządu. Niektórzy dorobili się dużych majątków. Sam fakt, że za rządów Habyarimany (1973–90) nie doszło do dużych międzyplemiennych aktów przemocy, stanowił sukces prezydenta. Nie ulega jednak wątpliwości, że był dyktatorem, nawet jeżeli na ówczesne afrykańskie standardy niezbyt krwawym. Wygrywał wybory z 99 proc. poparcia. Nie miał kontrkandydatów.

Pod koniec lat 80. jego reżim zaczął popadać w kłopoty. Ich przyczyna leżała poza granicami kraju – drastyczny spadek cen surowców i produktów rolnych na rynkach światowych. W tym kawy, głównego produktu eksportowego Rwandy. Liczba ludności szybko rosła, podobnie jak zadłużenie, a eksperci Banku Światowego zaczęli zalecać bolesne reformy. W tym samym czasie do Rwandy dotarły zmiany polityczne związane z końcem zimnej wojny.

Zachód, który wcześniej popierał dyktaturę, zaczął nalegać na demokratyzację. Pod koniec 1988 r. Habyarimana otworzył „wielkie narodowe forum debaty" na stadionie narodowym. Zapełnił go robotnikami, biznesmenami i farmerami, którzy mogli się swobodnie wypowiadać. W styczniu 1989 r. po wyborach prezydent oświadczył przed nowym parlamentem, że niezbędna jest reforma systemu politycznego. Sekretariat MNRD otrzymał ▶

▶ zadanie przekształcenia partii tak, aby lepiej mogła się zmierzyć z nowymi wyzwaniami.

Podczas szczytu państw frankofońskich w Bretanii w lipcu 1990 r. Habyarimana ogłosił, że partia rządząca ulegnie transformacji, a system wielopartyjny zostanie ponownie przywrócony (zawieszono go w 1965 r.). Następnego dnia dodał, że koniecznie trzeba oddzielić partię od państwa.

Konsekwentnie jednak sprzeciwiał się powrotowi uchodźców Tutsi. W 1987 r. oświadczył, że nie zgodzi się na to nigdy. W końcu jednak pod presją Zachodu i organizacji międzynarodowych wydawał się ustąpić w tej sprawie. Negocjacje trwały w 1990 r., zlecono nawet ministerstwu rolnictwa znalezienie zasobów ziemi do uprawy dla tych, którzy mieli powrócić. Jednak w Rwandzie ponownie wybuchła wojna domowa.

Przygotowania do czystki

W nocy z 30 września na 1 października 1990 r. RPF, szkolona i przygotowana w Ugandzie organizacja Tutsi, z pełnym błogosławieństwem prezydenta Ugandy Yoweriego Museveniego (rządzi do dziś) przekroczyła granicę z Rwandą. Natrafiła na armię nieliczną, słabą i zdemoralizowaną. Partyzanci bez problemu jechali samochodami w stronę stolicy, a wojsko nie stawiało im oporu.

Habyarimana zadzwonił wówczas do swojego politycznego patrona, francuskiego prezydenta François Mitterranda. Kiedy partyzanci zbliżali się do stolicy, a ekipa rządząca pakowała walizki, na lotnisku w Kigali wylądowały dwie kompanie francuskich spadochroniarzy. Wystarczyło 150 Francuzów, żeby uratować reżim. Partyzanci nie chcieli ryzykować konfliktu z Francją i zatrzymali się, zajmując na stałe północnowschodnie prowincje kraju.

Być może – jak często później spekulowano, a zwolennikiem tej tezy był Ryszard Kapuściński – gdyby Kagame wówczas zdobył stolicę, nie doszłoby do ludobójstwa. Według Kapuścińskiego Akazu było klanem kierowanym przez żonę prezydenta i jej braci. To oni najbardziej sprzeciwiali się kompromisowi i podziałowi władzy pomiędzy Tutsi i Hutu. Zamordowali więc Habyarimanę.

Trzy lata, które upłynęły pomiędzy zablokowaną przez Francuzów ofensywą RPF a rzezią, Hutu wykorzystali do przygotowywania masakry. Biznesmeni związani z Hutu sprowadzili setki tysięcy maczet. Grupa intelektualistów uczonych i dziennikarzy rozpowszechniała propagandowy przekaz: Hutu muszą wytępić najeźdźców. Armię powiększono z 5 tys. do 35 tys. żołnierzy. Powstała masowa paramilitarna organizacja Interahamwe (Uderzmy Razem). Było to pospolite ruszenie Hutu, które później stało się armią morderców. W końcu stycznia 1993 r. CIA stwierdziła w tajnym raporcie, że napięcia społeczne osiągnęły poziom wrzenia.

Rzeź

W połowie 1993 r. pod naciskiem zewnętrznym doszło do ugody: władza nad krajem miała zostać podzielona. Kiedy prezydent wracał do kraju z Tanzanii po podpisaniu ostatecznego porozumienia, został zestrzelony.

Śmierć Habyarimany w zamachu była tym wydarzeniem, którego obawiali się zarówno zachodni analitycy, jak i wielu Rwandyjczyków. Rwanda miała już za sobą 3,5 roku wojny pomiędzy RPF i armią rządową. Najbardziej dotknięte działaniami wojennymi były wiejskie obszary w północnej części kraju. Około miliona ludzi wegetowało w wewnętrznych obozach dla uchodźców na obrzeżach Kigali. Gospodarka się załamała, krajowi groził głód. Tymczasem rebelianci, którzy niemal wyłącznie składali się z Tutsi, próbowali przejąć władzę w kraju zamieszkanym przez większość Hutu. Obrazu dopełniała liczna grupa zdemoralizowanych byłych żołnierzy oraz bezrobotnych młodych mężczyzn, którzy nie mieli jak założyć i utrzymać rodzin. Wszystko to razem składało się na śmiercionośną miksturę nędzy, przymusowej bezczynności oraz indoktrynacji i propagandy wymierzonej w Tutsi, których obwiniano za tę sytuację.

Zabójstwo prezydenta wywołało orgię przemocy przygotowywaną od wielu miesięcy. Zanim rebelianci RPF przejęli kontrolę nad krajem, bojówki Hutu dokonały masakry. Zabito ponad 800 tys. osób, w większości Tutsi, ale także Hutu, którzy nie popierali czystki. Ofiary były mordowane maczetami i tym, co było akurat pod ręką. Skala bestialstwa wstrząsnęła światem.

Najbardziej poruszającą z licznych opowieści o krwawym karnawale plemiennej nienawiści autor tego artykułu usłyszał od jednego z pracowników międzynarodowej organizacji Lekarze bez Granic, niosącej pomoc humanitarną pod koniec lat 90. Przyjaciel narratora, Francuz, mieszkał wówczas w zamożnej dzielnicy bungalowów na przedmieściu Kigali. Pewnej kwietniowej nocy obudziły go przeraźliwe krzyki i odgłosy masakry. Był zbyt przerażony, aby wyjść z domu. Czekał do rana w łóżku, przekonany, że za chwilę przyjdą po niego zabójcy z zakrwawionymi maczetami.

Krzyki ucichły nad ranem. Było już południe, kiedy odważył się wyjść z domu. Przez chwilę mocował się z zastawionymi drzwiami bungalowu. Kiedy wyjrzał przez szparę w drzwiach, zobaczył, że na ganku piętrzy się stos ciał jego sąsiadów: prawników, lekarzy i inżynierów z plemienia Tutsi, którzy zginęli z rąk bojówek Hutu. Tuż obok stała ciężarówka, z której dwóch mężczyzn wyrzucało trupy na ganek. Stropili się, kiedy zauważyli białego człowieka.

– Przepraszamy pana bardzo. Myśleliśmy, że tutaj nikt nie mieszka. Zaraz posprzątamy – powiedzieli, błyskając zębami w uśmiechu. Zebrali trupy z ganku i wyrzucili je za płot, na sąsiednią posesję. – Do widzenia panu.

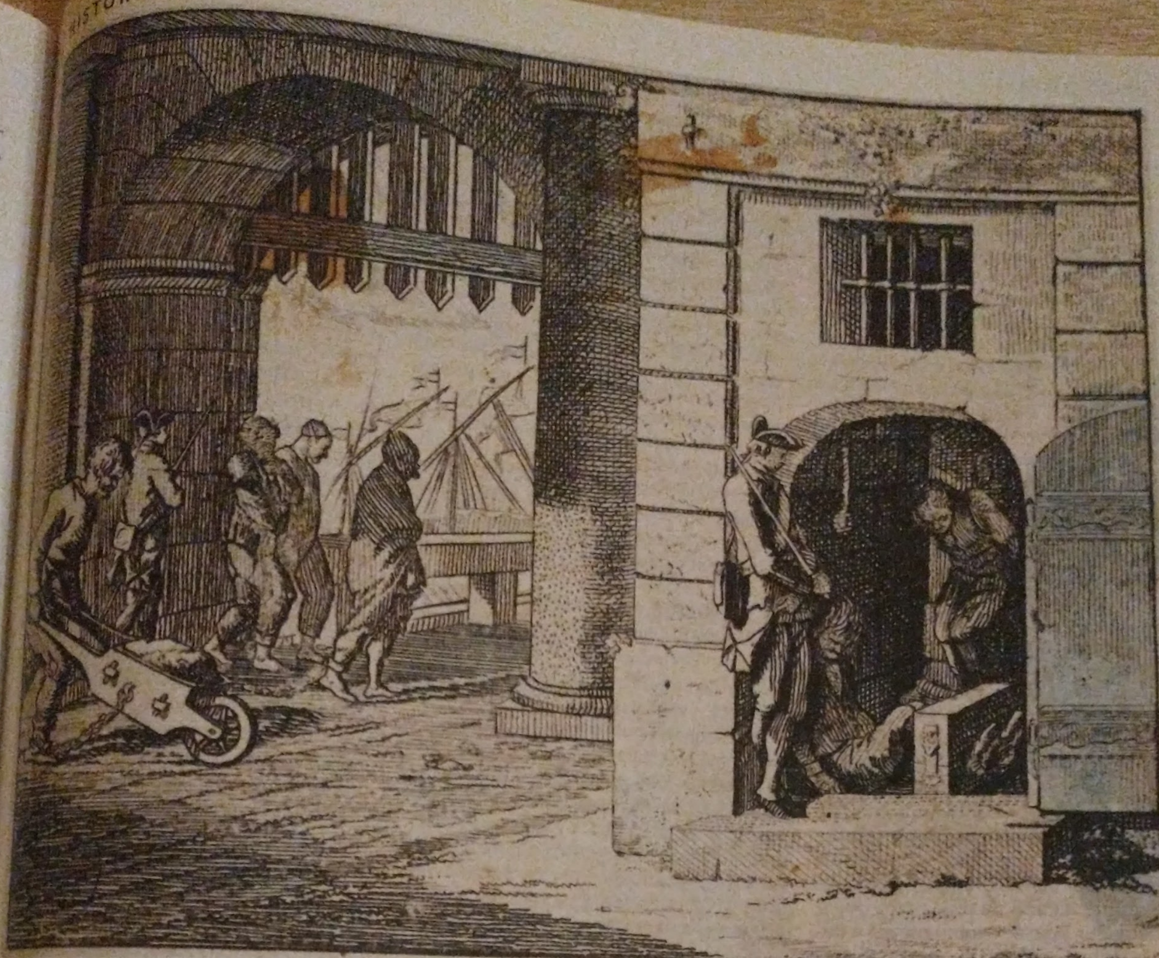
Francuzowi nie spadł włos z głowy. Uciekające z Kigali oddziały ONZ zabrały go do ojczyzny, gdzie trafił do szpitala psychiatrycznego.

Kremacja na lotnisku

Sojusznikiem Habyarimany – nawet po śmierci dyktatora – pozostał jego sąsiad i kolega, władca Zairu, Mobutu. Wybudował w mieście Gbadolite prywatne mauzoleum dla Habyarimany, a jego rodzinie obiecał, że pochowa go w Rwandzie. Nie mógł spełnić obietnicy, bo wkrótce sam został obalony. Kiedy w 1997 r. rebelianci – wśród których było wielu Tutsi z Rwandy i Ugandy – podchodzili pod stolicę Konga, Kinszasę, Mobutu rozkazał sprowadzić z Gbadolite zwłoki Habyarimany. Przez trzy dni zabalsamowane ciało leżało w magazynie lotniska w Kinszasie. W tym czasie w stolicy Konga trwało poszukiwanie kogoś, kto mógłby przewodniczyć obrzędowi kremacji. Ponieważ afrykańskie plemiona z Konga raczej go nie stosują, znaleziono miejscowego Hindusa. Kremacja nie była prosta: trzeba ją było przeprowadzić na lotnisku, do którego zbliżali się rebelianci. Ale Mobutu naciskał, żeby ceremonię odprawiono prawidłowo, nawet gdyby to był jeden z jego ostatnich urzędowych aktów. Udało mu się.

ADAM LESZCZYŃSKI





Kara więzienia i pracy przymusowej, rysunek Daniela Chodowieckiego, XVIII w.

W lochu i na mękach

W dawnej Rzeczpospolitej więzienie nie służyło resocjalizacji, a jego utrzymanie było kosztowne. Państwu bardziej opłacało się pozbyć przestępców tanio i spektakularnie, zapewniając gapiom pouczające widowisko.

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ

Zwierz szkodliwy przez zamknięcie przestaje być niebezpieczny” – zauważył roztropnie Fryderyk Skarbek, autor traktatu o więzieniach z 1841 r. Do XIX w. więzienie było jednak mało popularnym sposobem karania przestępców. Dominowały brutalne kary cielesne i kara śmierci, które miały charakter odstraszający i pokutny. Popularne były też kary pieniężne. Gdy przestępstwo wymierzone było we władcę i państwo, często stosowano banicję. Problemu pozbywano się oszczędnie, przy ograniczonych nakładach finansowych. Nie przypadkiem, bowiem do XX w. instytucje sprawiedliwości, w tym policja, były ciągle w powijakach.

Więzienia jednak funkcjonowały, choć do czasów oświecenia ich podstawową funkcją były izolacja i skazanie na powolne umieranie w prymitywnych warunkach. Gdański historyk Dariusz Kaczor w książce o przestępczości w grodzie nad Motławą w czasach przed oświeceniem zwraca uwagę, że karę uwięzienia traktowano wtedy jako formę kary cielesnej, była odwetem i jednocześnie zadośćuczynieniem.

Często nie stosowano żadnej segregacji osadzonych i w jednym pomieszczeniu trzymano włóczęgów, złodziei i morderców, mężczyzn i kobiety, starców i młodych. Karano także dzieci, nawet dziesięciolatki.

Bartłomiej Groicki w „Porządku sądów i spraw miejskich” z 1559 r. napisał, że więzienie jest, kiedy „kogo do ciemnice wsadzą, abo w pęto okowają”. Językoznawca ▶

▶ i autor XIX-wiecznego słownika języka polskiego Samuel Bogumił Linde zdefiniował: „Więzienie, miejsce, gdzie kogo więżą…". Aleksander Brückner w „Encyklopedii staropolskiej", wydanej już w XX w., podał, że „więzienie istniało w każdym mieście", a inny autor XX-wiecznej encyklopedii, Zygmunt Gloger, uściślił, że główne więzienie Rzeczpospolitej znajdowało się w Kamieńcu Podolskim w podziemiach zamku i nosiło obiecującą turystycznie nazwę „Indie". Tyle encyklopedie i słowniki. Silne wpływy niemieckie w miastach i w prawie powodowały, że więzienia chętnie nazywano z niemiecka *Zuchthausami*.

Zwykle mieściły się one w wieżach, basztach i piwnicach ratusza. Karę zamknięcia nazywano po prostu „wieżą". Tego typu miejsca odosobnienia znajdowały się w wieżach zamków oraz w linii murów obronnych miast. W Piotrkowie wieży nie było, więc szlachta złożyła się na ten cel – sejmik zarządził zbiórkę pieniędzy po 6 gr od łanu. Pierwsze informacje o wieży więziennej z Poznania mamy z 1495 r. Wyroki były tu wykonywane w wieży wronieckiej, gdzie najgorsze, czyli pożądane, warunki panowały w tzw. wieży dolnej, określanej jako loch lub ciemnica. Było to okropne pomieszczenie standardowo umieszczone poniżej poziomu ziemi, mroczne, zimne i wilgotne, bez okien i drzwi. Uwięzionego spuszczano na dno na linie przez otwór w sklepieniu. Jako że trudno mówić o dobrej cyrkulacji powietrza, pisarz miejski ocenił je jako „smrodliwe". Więzienie znajdowało się też w podziemiach ratusza. Źródła mówią o nim „kaźń". Było też miejsce dla obłąkanych, nazywane „kluzą".

Oprócz wieży dolnej była też wieża górna, oferująca warunki zdecydowanie bardziej komfortowe: miała otwory okienne i kominki do ogrzewania. Było w niej „widno, schludno, czysto i ciepło" – zapewniał Zygmunt Gloger. Tak wyglądała szlachecka część wieży. Prawo mówiło, że szlachcica nie można uwięzić bez wyroku sądowego, chyba że go złapano na gorącym uczynku, a i wówczas traktowano go lepiej niż innych więźniów. Wieża górna była czasem wręcz bez straży i zamka oraz krat w oknach: „cześć szlachcica dawała rękojmię, że pozostawiony bez żadnych ograniczeń nie będzie wychodził ani uciekał. Opał, światło, jadło sam szlachcic się sobie starał".

Praktyka nie była tak idealna. Jak napisał Władysław Łoziński w książce „Prawem i lewem. Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku", interesowni burgrabiowie (urzędnicy mianowani przez króla) oferowali więźniom ulgi. Zdarzało się też, że łapówka starczyła, by przekonać burgrabiego do uwolnienia więźnia. Wypuszczano wreszcie odpowiednio zasobnych pensjonariuszy na wieczorne rozrywki. Zdarzało się, że kary w ogóle nie odsiadywano i nikt tego nie egzekwował. Coś się działo dopiero, kiedy zajęła się tym strona poszkodowana. Czasem wybierała zemstę i zajazd zamiast prawa. Aresztowaniem zajmować się miał starosta, ale nie zawsze te czynności traktował wystarczająco poważnie. Aparat sprawiedliwości, jak i całe państwo polskie tego czasu, były naprawdę marnej jakości. Burgrabia, zdarzało się, nie utrzymywał też żadnej straży, a jeżeli, to wykorzystywał ją do swoich prywatnych celów. Egzekucje sądowe, jeśli już były, robiły czasem wrażenie raczej rozboju niż wymierzania sprawiedliwości.

W Krakowie na rozległym zamku na Wawelu więźniów przetrzymywano nawet w kilku wieżach, m.in. w Złodziejskiej przestępców pospolitych, w Senatorskiej – szlachtę, a w wieży Duńskiej – przestępców politycznych. Marian Mikołajczyk w książce „Proces kryminalny w miastach Małopolski XVI–XVIII wieku" podaje, że miejskie więzienie krakowskie mieściło się w kamienicy przy ulicy Szpitalnej. Jak powiada autor, warunki były tam całkiem znośne, bo izby ogrzewano, miały być nawet łóżka i pościel, a więc więzienie służyło dla bogatszych.

Więzienia funkcjonowały też w małych miasteczkach. W Grodzisku Wielkopolskim pomieszczenia tego przybytku znajdowały się w wieży ratusza i piwnicach z grubymi murami i bez okien. Osadzonych pilnował sługa miejski. Zachowała się wzmianka, że ów sługa, niejaki Wawrzyn, za niedopilnowanie więźnia otrzymał chłostę i wraz z małżonką został relegowany z miasta. W Kaliszu więźniów umieszczonych w celach dodatkowo zakuwano w kajdany, a w Płocku unieruchamiano ich w tzw. kunach i kłodach.

Symbolem dawnego miejskiego aparatu sprawiedliwości był oczywiście kat. Profesja ta uważana była za podłą i hańbiącą, wobec czego wykonujący ją mieszkał z dala od innych, a w każdym razie od możniejszych. I tak np. w Poznaniu swoją siedzibę miał w baszcie miejskiej przy ulicy Woźnej. Jak wskazuje socjotopografia miasta, ulica Woźna zasiedlona była przez ubogich kramarzy i biedotę. Powodem były też unoszące się tam nieprzyjemne zapachy.

Kat był zarazem hyclem, zajmował się uprzątaniem z ulic bezpańskich psów, kotów oraz padłych zwierząt, jak konie. Nierzadko sprzedawał ich oporządzone skóry. Podstawowym jego zadaniem było jednak wykonywanie publicznych egzekucji – wymierzanie ustalonej przez sąd kary za grzechy, która miała jednocześnie odstraszać, a więc musiała być odpowiednio makabryczna i widowiskowa.

Wcześniej podczas przesłuchiwania kat stosował tortury (w kilkunastu procentach spraw, więc nie było to regułą). Oskarżony był wówczas „surowo pytan", „ostro egzaminowany" czy „brany na męki". W Poznaniu tortury odbywały się w podziemiach ratusza, gdzie nie było żadnego otworu okiennego i pozostawione tu ludzkie wydzieliny tworzyły nieznośny fetor. Więzienie sprzątano tylko raz na rok. Regulaminowe tortury dzieliły się, tak jak przykładowo w Poznaniu, na trzy etapy. Najpierw miał miejsce „pierwszy krzyk". Najprostsze męki to chłosta, przypiekanie rozgrzanym żelazem, szarpanie ciała rozżarzonymi w ogniu cęgami.

Chłostę dla celów wychowawczych wykonywano pod miejskim pręgierzem, najczęściej postawionym w rynku, uderzając w obnażone plecy delikwenta. Stosowano też piętnowanie i kary okaleczające, po przymocowaniu nieszczęśnika do pręgierza. Czasem obcinano rękę, język, dwa palce krzywoprzysięzcy, uszy złodziejom. Przy pręgierzu wypalano przestępcy piętno. Karą śmierci – wykonywaną na szubienicy poza murami miejskimi – szafowano z wielką łatwością. Oprócz powieszenia stosowano ścięcie mieczem. Kilka razy w XVI w. przestępcę ćwiartowano, do czego używany był topór. Delikwentów też łamano kołem i nabijano na pal.

Historyk przestępczości Marcin Kamler przeanalizował 1493 sentencje wyroków w miastach Rzeczpospolitej z okresu 1550–1650. Na śmierć skazano: za pospolite kradzieże 50 proc. sądzonych złodziei, za rozbój – 91 proc., za zabójstwo – 99 proc. Za cudzołóstwo karano rzadko – zdarzyło się tylko 15 przypadków, a za gwałt ukarano 19 razy. Dominowały kary śmierci przez powieszenie i ścięcie oraz kary śmierci kwalifikowane: przez ćwiartowanie, łamanie kołem i spalenie. Nie było proporcjonalności wyroku w stosunku do przestępstwa, nawet kradzież była powodem uśmiercenia przez powieszenie. Najczęściej stosowaną karą była chłosta pod pręgierzem (wymierzano od 10 do 60 razów), połączona z wygnaniem z miasta.

Bardzo częstą formą kar były też odszkodowania pieniężne. Wspomniany wyżej XVI-wieczny autor Bartłomiej Groicki w „Porządku sądów" ocenił, że w efekcie bogaci łatwiej popełniają zbrodnie, bo kary pieniężne nie robią na nich wrażenia.





Od lewej: kościół dominikanów i więzienie w Grodnie, akwarela Napoleona Ordy, XIX w., więzienie w Kaliszu, litografia Maksymiliana Fajansa, XIX w. Poniżej: zamek w Lublinie z wieżą więzienną, grafika Alojzego Misierowicza, XIX w.

Wśród rozmaitych kar było też odwołanie obelg: „odszczekanie spod ławy". Kłótliwym mieszczkom nakazywano obnoszenie u szyi kamieni hańbiących po rynku i ulicach miasta, w asyście kata.

Innym rodzajem kar były te „na honorze". Należała do nich relegacja, czyli wygnanie z miasta: po wychłostaniu i obcięciu ucha delikwenta w słomianej koronie oprowadzano najpierw po rynku, a w końcu przy zapalonych pochodniach w hańbiącym pochodzie wyprowadzano go przez bramę za miasto. Relegowano ludzi oskarżonych o kradzieże, cudzołóstwo, bigamię, prostytucję, stręczycielstwo, napaść, oszukiwanie podczas gry w kości czy oszustwa w handlu np. na miarach. Miasta prowadziły rejestry wypędzonych.

Książkę o banicji napisała profesor Hanna Zaremska. Jak zauważyła, już średniowiecze przejęło wygnanie od antyku i Germanów. Proskrypcje stosowano wobec wszystkich, którzy nie stawili się przed sądem. Byli to głównie oskarżeni o zabójstwo, zranienie i stosowanie przemocy.

Oświecenie przyniosło nową wrażliwość. Nastały czasy humanitaryzmu, dyskusji o zniesieniu kary śmierci i zniesieniu karania homoseksualistów oraz zaniechania palenia kobiet na stosie, makabrycznych kar topienia ich w worku albo grzebania żywcem, koniec tortur oraz nieludzkich kar cielesnych, jak kary mutylacyjne (obcięcie części ciała, np. ucha lub nosa). Działacz polityczny i społeczny Fryderyk Skarbek w 1822 r. stwierdził, że ludzie zaczęli dostrzegać sens stopniowania kary według wielkości popełnionego przestępstwa, uważając, że jej dolegliwość wynika już z samej utraty wolności osobistej, straty czasu i pozbawienia wygód życia. Proporcjonalność kar stawała się oczywistością.

Izolacja i więzienie miały zastąpić dotychczasowe kary fizyczne. Również chłostę, choć tę eliminowano bardzo stopniowo i stosowano jeszcze w XIX w.



w wojsku i wobec włościan. Ostatnią sytuacją, w której była akceptowana, pozostało karcenie dzieci. Na fali reform epoki stanisławowskiej wycofywano tortury (np. w Poznaniu zniesiono je w 1776 r.). Król Stanisław August Poniatowski zabrał się do więzień w Warszawie – dawną bramę mostową, a później prochownię przerobiono na „Dom kary i poprawy", a król na elewacji kazał dać sentencję: „Nie miejsce, ale zbrodnia hańbi".

Nowoczesnymi więzieniami zachwycał się Julian Ursyn Niemcewicz – amerykańskimi w 1818 r., pisząc o nich, że gdzie indziej osadzeni cierpią męki w nieludzkich warunkach, zapomniani i pozostawieni sami sobie, mimo że wyrok dawno minął. Brytyjski oświeceniowy reformator John Howard po inspekcji wielu angielskich więzień przedstawił memoriał, w którym postulował radykalną poprawę warunków higienicznych i zdrowotnych, bo gruźlica była w tych przybytkach powszechna. Wzorem były dla niego holenderskie zakłady karne. Podobny raport we Francji przedstawił markiz de Castellane w 1791 r.

Oświecenie przyniosło innowacyjność, kreatywność i zmiany, ale czasem upiorne. Pojawiały się kolejne projekty systemów więziennych. Angielski filozof Jeremy Bentham opracował tzw. panoptykon – więźniowie mieli być zamknięci w osobnych celach w budynku o kształcie walca. Niezwykłość pomysłu polegała na tym, że konstrukcja umożliwiała strażnikom obserwowanie osadzonych tak, by ci nie wiedzieli, czy i kiedy są oglądani i mieli poczucie, że zawsze ktoś na nich patrzy, co było systemem nieznośnym. Na ziemiach polskich do tej koncepcji nawiązywało więzienie w Toruniu z 1866 r., nazywane okrąglakiem. Nie brakowało pomysłów na „ucywilizowanie" kar. Gilotyna wynaleziona w tym czasie miała być humanitarna i bezbolesna, ale stała się symbolem horroru i krwawych rządów jakobinów.

Humanitaryzacji więziennictwa domagały się środowiska lekarskie. Podstawowe postulaty to dostęp do świeżego powietrza, czystość i światło. Budowano więc nowe więzienia, jak to na Pawiaku w Warszawie, umożliwiające separację różnych osób i grup. Takie więzienie powstałe w Gandawie miało służyć moralnemu odrodzeniu skazanego poprzez pracę. Więźniowie w dzień przebywali razem, a na noc zamykano ich do osobnych cel. Nazwano to systemem celkowym (jego początki sięgają XVII w. – przestępca odbywał karę w celi podobnej do klasztornej).

W XIX w. nadal w większości więzień sytuacja była dramatyczna. Unowocześnianie przebiegało powoli, bo w Anglii czy Prusach na przestępców nikt nie chciał łożyć. W Anglii w XIX w. uważano, że warunki uwięzienia muszą być gorsze niż warunki życia na wolności. Przy ówczesnej industrialnej biedzie, którą pamiętamy z powieści Charlesa Dickensa, niełatwo to było zapewnić. Warunki więzienne nazywane „zbawczym terrorem" często powodowały śmierć skazańca z wycieńczenia i chorób.

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ



na ekranie

Codzienna fantazja 5/6

Perfect Days, reż. Wim Wenders, prod. Japonia, Niemcy, 124 min

Po serii znakomitych dokumentów Wim Wenders wrócił do kręcenia fikcji, chociaż ostatnio nie osiągał na tym polu sukcesów. Słabością jego „Pięknych dni" czy „Spotkania w Palermo" była sztuczność. W „Perfect Days" ocieranie się o bajkową umowność wciąga i zachwyca. Uniwersalna, osadzona w tokijskich realiach, pełna niedopowiedzeń fantazja o starzejącym się czyścicielu toalet, z którego emanują spokój i mądrość buddyjskiego mnicha, wyraźnie rozwija poetycki zamysł, jest jednak autentyczna i naturalna. Wielka w tym zasługa wirtuozerskich zdjęć Franza Lustiga i aktorstwa **Kōjiego Yakusho**. Jego gra uwiarygodnia reżyserski koncept polegający na uważnej medytacji nad upływającym czasem. Prosty człowiek na dole drabiny społecznej – ale też naiwny artysta, a może pustelnik albo święty zastygły w dawno minionej przeszłości – żyje w celibacie, skupia się na rozmyślaniach, a jednocześnie jest ciekawy świata i ludzi. Celebruje chwile, chociaż wydają się monotonne. Wieczorami czyta Faulknera, jeżdżąc niebieską furgonetką, słucha klasyków rocka. W przerwach fotografuje. Swoją ciężką pracę w miejskich szaletach traktuje z pokorą i godnością, wykazując stuprocentowe zaangażowanie. Muszle klozetowe, których zakamarki poleruje z lusterkiem w ręku, pod wpływem jego działania pięknieją, stają się niezwykłymi przedmiotami z duszą.

Ze względu na niekonwencjonalną narrację i eksperymentalny styl „Perfect Days" nie nadaje się dla każdego, z pewnością wprawi jednak w ekstazę miłośników *slow cinema*. Film opiera się na obserwacji wypełnianych obowiązków przeplatanych spotkaniami z zaprzyjaźnionymi ludźmi pogodzonego z losem bohatera. Wyjątkowe momenty, niewiele różniące się od codzienności, znajdują odzwierciedlenie w snach. Zawsze czarno-białych, z przyrodą w tle. W tej z pozoru smutnej egzystencji pełno jest magicznych znaków. Tajemnica zawsze pozostanie tajemnicą, lecz Wenders delikatnie przypomina, że aby nie rozpaczać z powodu przemijania, nie cierpieć wskutek niewiedzy, cieszyć się z każdej chwili, wystarczy zaakceptować to, co jest, i zachowywać się przyzwoicie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Mistrz po raz pierwszy 5/6

Lupin III: Zamek Cagliostro, reż. Hayao Miyazaki, prod. Japonia, 100 min

Na fali oscarowego sukcesu filmu „Chłopiec i czapla" na ekrany polskich kin trafi także debiut Hayao Miyazakiego w rekonstrukcji cyfrowej. Wart uwagi nie tylko ze względu na osobę reżysera, lecz także dlatego, że tytułowy bohater, Lupin Trzeci, to jedna z ikon japońskiej popkultury. Najlepszy włamywacz świata, wnuk Arsène'a Lupina, po raz pierwszy pojawił się na łamach mangi twórcy znanego jako Monkey Paw w 1967 r., kilka lat później był już bohaterem serialu animowanego.

Pod koniec lat 70. zaczęły się pojawiać natomiast filmy pełnometrażowe. „Zamek Cagliostro" został zrealizowany jako drugi w kolejności, lecz można go oglądać bez znajomości kontekstu, tym bardziej że Miyazaki zaproponował widzom nieco odmienne od oryginalnego spojrzenie na bohatera. Lupin Trzeci wciąż jest mistrzem złodziejskiego fachu, lecz w przeciwieństwie do mangi, gdzie był bohaterem cynicznym i nierzadko bezlitosnym, jawi się raczej jako dżentelmen włamywacz, bliższy charakterem swojemu przodkowi z powieści Maurice'a Leblanca. I choć próżno tu szukać filozoficznej głębi późnych filmów Miyazakiego, to wciąż wspaniałe widowisko, zachwycające nie tylko popkulturową lekkością i fabułą, jakiej nie powstydziłyby się filmy o Bondzie, lecz także mistrzostwem formy. To może Miyazaki stawiający pierwsze kroki w pełnym metrażu, lecz czuć już rękę wielkiego artysty.

JAKUB DEMIAŃCZUK

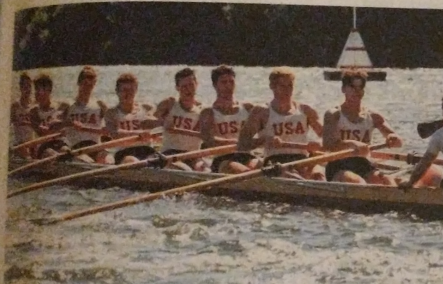


w telewizji

Ciężka walka, lekkie kino 3/6

Ósemka ze sternikiem (The Boys in the Boat), reż. George Clooney, Prime Video, 123 min

Kilka lat temu filmowcy sięgnęli po biografię Jessego Owensa, sprintera, który w 1936 r. zdobył cztery złote medale na igrzyskach olimpijskich w Berlinie, wywołując podobno atak szału u Hitlera. Teraz z cienia jego sukcesu George Clooney wydobywa inny epizod tych igrzysk: heroiczną walkę amerykańskich wioślarzy o medale. Centralnymi postaciami czyni Joego Rantza (Callum Turner, niedawno oglądany w serialu „Władcy przestworzy") oraz trenera Ala Ulbricksona (Joel Edgerton), jednak w oczywisty sposób składa hołd całej wioślarskiej ósemce. Clooney niejeden raz udowodnił, że dobrze radzi sobie, stojąc za kamerą i stać go na wyjście poza gatunkowe schematy. Tym razem obstawiał jednak bezpiecznie, bez ryzyka. „Ósemka ze sternikiem" to klasyczny sportowy dramat o walce z przeciwnościami losu: solidnie zrealizowany, bardzo stylowy, podnoszący morale, przy tym pozbawiony jakichkolwiek cech charakterystycznych. Po prostu kolejna hollywoodzka historia o chłopaku z marginesu – Rantz zgłasza się do drużyny wioślarskiej, ponieważ ma nadzieję, że zarobi na studia, a w sporcie odnajduje siłę, pasję i przyjaźń. Bezbolesny, lekkostrawny seans, który raczej w pamięci widzów na długo nie zostanie. JD





W lesie rozbójników 4/6

Ronja, córka zbójnika, reż. Lisa James Larsson, Netflix, 6 odc.

Wspaniała powieść Astrid Lindgren miała szczęście do ekranizacji: zarówno pełnometrażowy film z 1984 r. (do którego pisarka sama stworzyła scenariusz), jak i serial anime w reżyserii Goro Miyazakiego (syna Hayao) oddawały jej sprawiedliwość. Obie wersje są zresztą dostępne w polskich serwisach streamingowych, więc można pokusić się o seanse porównawcze. Nowa adaptacja, czy raczej jej pierwsza część, bowiem kolejne sześć odcinków zostanie udostępnionych w późniejszym terminie, także nie sprawia zawodu. Trzyma się dość wiernie literackiej fabuły – opowieści o przyjaźni Ronji i Birka, dzieci z dwóch zwaśnionych band rozbójników – choć jednocześnie znacząco ją rozszerza, wprowadzając nowe postaci (między innymi dwie łowczynie nagród, które mają zrobić porządek z rabusiami) oraz rozwiązując wątki, które w książce były ledwo zasygnalizowane. Przy tym to adaptacja dla nieco starszych odbiorców: nie bez przyczyny Netflix sugeruje kategorię wiekową 13+, a więc trochę wyższą niż dla czytelników książki. „Ronja…" wpisuje się w rejestry posępnej, mrocznej baśni, graniczącej niemal z kinem grozy, mimo elementów fantastycznych zaskakuje realizmem i nierzadko duszną atmosferą. Lecz oczywiście mrok tej opowieści jest często rozświetlany humorem i pełną energii rolą **Kerstin Linden**. JD

festiwale

Klasycy na żywo

Ikony Jazzu: Dianne Reeves, Nigel Kennedy, Jan Garbarek Group,
13 kwietnia – 26 listopada,
Gdańsk, Warszawa, Szczecin, Poznań, Łódź



Jedni pamiętają Dianne Reeves z ceremonii zamknięcia igrzysk w Salt Lake City, kiedy popisywała się, śpiewając scatem, niczym jej wielkie poprzedniczki ze złotej ery jazzu. Inni – jako muzyczną bohaterkę drugiego planu w „Good Night and Good Luck", filmowej opowieści o losach gwiazdy dziennikarstwa Edwarda R. Murrowa. Urodzona w Detroit wokalistka, która od lat nie opuszcza czołówki jazzowych zestawień „DownBeat", wystąpi w Polsce wraz ze swoim zespołem aż trzy razy, wszystko w ramach rozrastającego się cyklu koncertowego Ikony Jazzu. Jego kolejną gwiazdą będzie świetnie znany u nas Nigel Kennedy, skrzypek swobodnie zmieniający repertuar z klasycznego (zasłynął choćby jako interpretator Vivaldiego) na jazzowy, a najchętniej łączący różne języki muzyczne w jednym programie (tak będzie i tym razem, obok Bacha zabrzmi Komeda w autorskich aranżacjach Anglika). W listopadzie cykl zamkną dwa duże filharmoniczne koncerty Jana Garbarka. Uwielbianemu w Polsce norweskiemu saksofoniście, jednej z czołowych postaci europejskiego jazzu, towarzyszyć będzie w zespole inny klasyk dobrze znany polskiej publiczności – pochodzący z Indii perkusista Trilok Gurtu.

BARTEK CHACIŃSKI

Szczegóły: **ikonyjazzu.pl**

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia





Rodzinne sekrety 5/6

Megan Nolan, **Zwykłe ludzkie ułomności**, przeł. Katarzyna Makaruk, wyd. Filtry, Warszawa 2024, s. 272

Megan Nolan po swoim głośnym debiucie „Akty desperacji” urosła do rangi jednej z najważniejszych pisarek brytyjskich młodszego pokolenia. Teraz dostajemy „Zwykłe ludzkie ułomności” – powieść, która jest kameralnym portretem irlandzkiej rodziny w sytuacji ekstremalnej. Przypomina się w trakcie lektury zdanie Tołstoja o szczęśliwych rodzinach, które są do siebie podobne, i nieszczęśliwych, z których każda jest nieszczęśliwa na swój sposób. Jest rok 90. W małej miejscowości zamordowano dziewczynkę, a podejrzenia padają na Lucy. Zagadkę chce rozwikłać dziennikarz, który zabiera rodzinę Lucy do hotelu i po kolei przesłuchuje w nadziei na to, że odkryje jakieś rodzinne perwersje. Wszystkie poszlaki wskazują na małą Lucy, ale w kostiumie thrillera dostajemy powieść psychologiczną, która uważnie i subtelnie pokazuje przede wszystkim historię Carmel, matki Lucy. Co można zrobić z niechcianą ciążą? Wyprzeć ją ze świadomości, sprawić, żeby zniknęła. Tak robi Carmel, nastolatka, której zawalił się świat. To wyparcie obecności Lucy staje się jej sposobem życia. Można z tym żyć, ale – jak się okazuje – tylko do czasu. Nolan pokazuje, że tych rodzinnych zranień nie da się łatwo naprawić: „tego, co się zrobiło albo zaniedbało, nic nie wymaże, nawet miłość”. To ujmujące, że powieść Nolan, choć pełna empatii, nie daje łatwych pocieszeń. „Jesteśmy zwyczajną rodziną, zwyczajnie nieszczęśliwą, jak twoja” – mówi Carmel dziennikarzowi. Te rodzinne zranienia nie znikają, ale można z nimi żyć, kiedy się od nich nie ucieka.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Jak u Szekspira 4/6

Robert Małecki, **Zapadlina**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024, s. 368

Interesujące jest zamiłowanie polskich autorów kryminałów do rozmaitych urwisk, przepaści, wyrw i zapadlin. Umieszczają je w tytułach swoich książek i osadzają tam miejsca akcji. A wszystko dzieje się w Polsce, widać mocno poharatanej: dosłownie i w przenośni. Trudno z tym dyskutować. Tytułowa „zapadlina” z nowej książki Roberta Małeckiego też dobrze oddaje nastrój i stan rzeczy w okolicy Wapna, miasteczka, któremu po dawnej kopalni pozostała dziura w ziemi. Maria Herman i Olgierd Borewicz, para śledczych z zespołu do badań spraw niewykrytych, dobrze znana z poprzednich części cyklu, tym razem odkurza akta tajemniczego zaginięcia osiemnastolatka. Po 20 latach kluczowy świadek, właśnie zmarły, zmienia zeznania, zdejmując winę z głównego podejrzanego. Rzecz w tym, że zaginiony był synem właściciela przydrożnego baru, a podejrzany – właścicielem knajpy z naprzeciwka. Obaj przedsiębiorcy latami konkurowali, sięgając po mało eleganckie metody. Żaden nie utrzymał interesu. Jak w szekspirowskim dramacie: dwa zwaśnione rody wojują ze szkodą dla siebie i zwłaszcza dzieci, których troski schodzą na plan dalszy. Spór zaciemnia też sprawę zaginięcia. Herman i Borewicz to eksperci od takich spraw. Tradycyjnie dobrze śledzi się dynamikę ich relacji, zmagania ze sobą nawzajem i własnymi demonami. Wciągają też lokalne uwikłania i klimat Polski u progu nowego stulecia.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Wejdź na drzewo 5/6

Robert Macfarlane, **Dzikie miejsca**, przeł. Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2024, s. 368

Robert Macfarlane, brytyjski pisarz, podróżnik i pasjonat przyrody, tym razem zapragnął sprawdzić, czy we współczesnym świecie są jeszcze miejsca odludne. Tak powstały „Dzikie miejsca”, literacki reportaż z podróży wcale nie tak dalekich. Bezludne wyspy, rozległe pustkowia, niedostępne szczyty Macfarlane – mieszkaniec Cambridge – znajduje całkiem blisko, bo na terenie Wysp Brytyjskich. Swoją podróż Macfarlane zaczyna i kończy w lesie rozpościerającym się o milę od jego domu, dzikość tego miejsca odnajdując dzięki odmiennemu sposobowi spojrzenia na otaczający krajobraz. Okazuje się, że wystarczy wejść na drzewo, by całkowicie zmienić perspektywę, stopić się z naturą. Ten wywrotowy gest patronuje książce: zamieszczona na jej początku odwrócona do góry nogami mapa Wysp Brytyjskich z naniesionymi na nią dzikimi miejscami odwiedzonymi przez Macfarlane’a na chwilę nas dezorientuje. To, co znajome, nagle okazuje się obce, a to, co oswojone, staje się dzikie. Nieoczywistość spojrzenia odgrywa tu niezwykle istotną rolę. Przyłóż oko jak najbliżej tafli lodu, proponuje Macfarlane, a zobaczysz kosmiczne otchłanie. Ale jest to też obserwacja uczestnicząca: Macfarlane pływa w lodowatym morzu, wspina się na skały, przemierza bagna, wdrapuje się na drzewa czy choćby wczołguje pod żywopłot. Pozwala mu to odkryć dzikość w najbliższym otoczeniu oraz w sobie samym. Przyroda opisywana przez Macfarlane’a nie byłaby tak tajemnicza i piękna, gdyby nie sposób, w jaki została przedstawiona. Brytyjski autor jest mistrzem literackiego opisu, jego język jest niezwykle plastyczny i obrazowy, raz poetycki, a raz surowy i nieokiełznany jak dzikie miejsca.

MACIEJ ROBERT

salon gier

System pionków 4/6

Dragon's Dogma II, Capcom, Cenega, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S

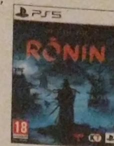
„Dragon's Dogma II" to doskonały przykład, że japońscy twórcy gier wideo miewają wrażliwość jazzmanów. Biorą na warsztat dobrze znany motyw i na tym fundamencie tworzą coś oryginalnego, z własnym, niepowtarzalnym systemem. „Dragon's Dogma" (2012 r.) ponad dekadę temu okazała się sensacją. Na pozór banalna mediewalna baśń o herosie wybrańcu w świecie magii i smoków wprowadziła rewolucyjny system „pionków" sterowanych przez komputer towarzyszy głównego bohatera, którzy potrafili podróżować między wymiarami, czyli odwiedzać światy z rozgrywek innych graczy, gdzie przeżywali przygody pod ich rozkazami. Zdobywali tam doświadczenie, nowe umiejętności, wiedzę, dzięki czemu po powrocie z wyprawy okazywali się bardziej pomocni. „Dragon's Dogma II" szlifuje ten schemat – grę skonstruowano z większym rozmachem, trzymając się jednak sprawdzonych rozwiązań. Hideaki Itsuno miał ambicję stworzyć rozległy świat pełen przygód, inspirując się, jak przyznał, „Grand Theft Auto V" i rzeczywiście – za każdym pagórkiem, zakrętem leśnej drogi, w jaskiniach, ruinach, osadach i zamkach czekają niespodzianki i wyzwania.



Na japońskiej fali 4/6

Rise of the Rōnin, Team Ninja, Sony IE, PlayStation 5

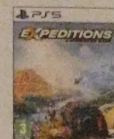
Wzbierająca fala zainteresowania Japonią czasów samurajów, spowodowana udanym serialem „Shōgun" zapewne pomoże grze „Rise of the Rōnin" w zdobyciu popularności, zwłaszcza że – wbrew tradycji studia Team Ninja, znanego z tak wymagających produkcji, jak „Ninja Gaiden", „NiOh" czy „Wo Long: Fallen Dynasty" – przewidziano tu opcjonalne ułatwienia dla początkujących. W przeciwieństwie do większości growych i filmowych opowieści, osadzonych (jak „Shōgun" czy także udany serial „Niebieskooki samuraj") w XVII w., akcję „Rise of the Rōnin" wpisano w połowę wieku XIX, ostatnie lata epoki Edo. Początek przygody nawiązuje do historycznej ekspedycji Matthew Perry'ego, który miał wymusić pozwolenie na otwarcie w Japonii dla Amerykanów portów handlowych. I tu zaczyna się baśń: dwoje bliźniąt, od dziecka szkolonych w sztuce walki kataną i wszelkimi innymi używanymi wówczas rodzajami broni, ma za zadanie zabić Perry'ego i wykraść ważną wiadomość. Fumihiko Yasuda zręcznie snuje opowieść, ale to tylko pretekst do rozgrywki, a ta bazuje na walce. Złożonej, wykorzystującej najrozmaitsze techniki i narzędzia.



Wolna jazda 3/6

Expeditions: A MudRunner Game, Saber Interactive, Focus, PLAION, Windows, PlayStation 4/5, Xbox Series One/S/X, Nintendo Switch

„Expeditions: A MudRunner Game", podobnie jak wcześniejsza produkcja studia Saber „SnowRunner" (2020 r.), to gra samochodowa à rebours. Podczas gdy w wyścigach i rajdach chodzi o to, by wyprzedzić innych, tu prowadzimy pojazd w tempie iście ślimaczym, buksując w błocie i forsując rzeki. Chodzi o to, by dojechać do celu w ramach zleconej misji na trudnych do pokonania bezdrożach: coś przewieźć, coś zabrać, zbadać okolicę. Do dyspozycji mamy wozy terenowe i ciężarówki, a także rozmaite dodatkowe wyposażenie, które może pomóc wykaraskać się z kłopotów, jak wyciągarka, sonda pozwalająca zbadać głębokość wody, w którą chcemy wjechać, latający dron zwiadowczy, dodatkowy kanister z benzyną, czujnik metalu itd. Z czasem, w miarę postępów, zdobywamy coraz lepszy sprzęt, a także dostęp do specjalistów, których umiejętności mogą pomóc w wykonaniu zlecenia. Gra jest przemyślana, wyzwania potrafią wciągnąć, ale trzeba mieć anielską cierpliwość, by nie kląć jak szewc, gdy pod koniec misji wóz zaklinuje się gdzieś tak, że nie sposób go ruszyć. Zwłaszcza że nie był to błąd kierowcy, tylko programistów. ZR





na płycie

Nie tylko kapelusz 4/6

Beyoncé, **Cowboy Carter**, Parkwood

Mijanka Beyoncé i Taylor Swift – dwóch czołowych artystek amerykańskiej sceny muzycznej – trwa w najlepsze. O ile ta druga przyszła z country do popu, o tyle Beyoncé po latach kariery wydaje się zmierzać w przeciwną stronę i w kowbojskim kapeluszu na głowie odkrywać na nowo afroamerykański wkład w country. Ale choć pojawiają się na jej nowej płycie głosy Williego Nelsona i Dolly Parton, a Beyoncé Giselle Knowles-Carter śpiewa cover klasyka tej drugiej, „Jolene", nie gatunkowe odniesienie jest tu najważniejsze. W dwóch utworach pojawia się głos Lindy Martell – pierwszej czarnoskórej bohaterki list przebojów country (sukcesy odnosiła na początku lat 70.) – która tłumaczy, że z tymi gatunkami rzecz jest prosta tylko w teorii. I wprawdzie już przebojowe single Beyoncé, „Texas Hold 'Em" i „16 Carriages", powtórzyły jej sukces i trafiły do zestawień bestsellerów country, to cały album jest bardziej złożony – przynosi jasne odniesienia do lat 60., z nową wersją „Blackbird" The Beatles czy cytatem z The Beach Boys w „Ya Ya". Są tu nawet ślady tanecznej płyty „Renaissance". Całość – bardzo interesująca, choć nierówna – ponownie odnosi się w pierwszej kolejności do osobistej historii autorki, która urodziła się przecież w Teksasie. BCH



Stany podzielone Ameryki

JAKUB DEMIAŃCZUK



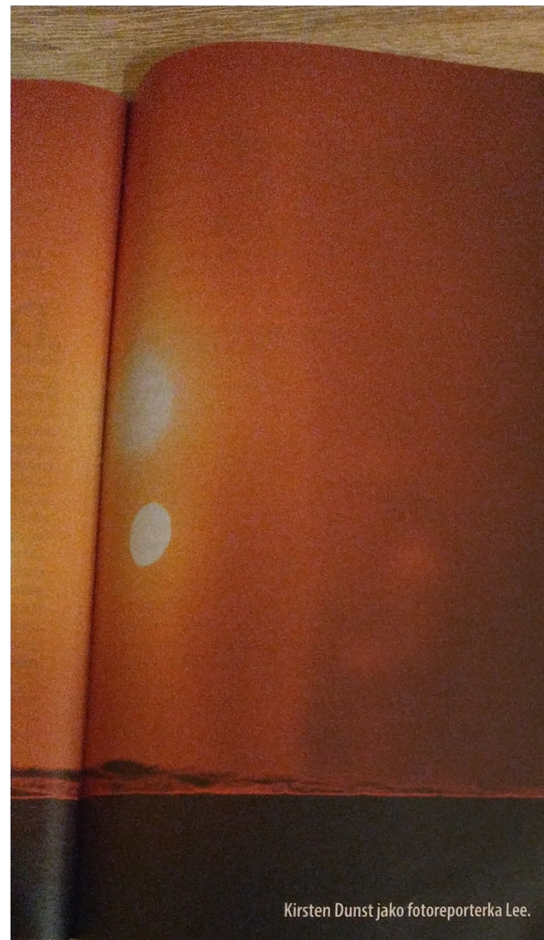
Amerykanie żyją w strachu przed drugą wojną secesyjną. A popkultura coraz rzadziej przynosi pocieszenie. Świetny film Alexa Garlanda „Civil War" sugeruje, że mit narodowej jedności już dawno upadł.

Jeżeli potraktujemy popkulturę jako miernik nastrojów społecznych, Hollywood nie ma dla nas dobrych wiadomości. „Civil War" sugeruje, że nie warto już zadawać pytania, czy w USA wybuchnie druga wojna domowa. Należy raczej zapytać: kiedy?

Alex Garland w swoim filmie wrzuca widzów w sam środek wydarzeń. Nie tłumaczy, co było przyczyną secesji stanów Południa i buntu przeciwko władzy federalnej. Nie ocenia wprost żadnej z walczących stron, podrzuca jedynie tropy świadczące o tym, że część kraju zbuntowała się przeciwko tyranii nieprzewidywalnego prezydenta, który doprowadził do erozji struktur państwowych i społecznych. Siły buntowników zbliżają się do Waszyngtonu, upadek Białego Domu jest bliski, na prezydenta został już wydany wyrok – żadna z walczących stron nie pozostawia miejsca na negocjacje i traktaty pokojowe. Zwycięstwo albo śmierć.

Źródła konfliktu nie są w tym przypadku tak bardzo istotne: Ameryka to beczka prochu, a lont się już dopala – sugeruje Garland. Nieprzypadkowo film trafia na ekrany kin w roku wyborczym, gdy perspektywa drugiej prezydentury Donalda Trumpa wydaje się bardziej realna niż cztery lata temu, gdy ubiegał się o reelekcję po raz pierwszy.

Garland unika w „Civil War" jednoznacznych deklaracji, lecz w żadnym razie nie symetryzuje. Narzuca widzom punkt



Kirsten Dunst jako fotoreporterka Lee.

widzenia grupy dziennikarzy – wśród nich granej przez Kirsten Dunst fotoreporterki Lee – próbujących przedostać się do Waszyngtonu na wywiad z prezydentem, być może ostatni, jaki uda się przeprowadzić. Lecz tylko z pozoru jest to spojrzenie bezstronne: w czasie wojny nie ma miejsca na pustosłowie w stylu „wszyscy jesteśmy winni". Bohaterka Dunst jest wypalona, cyniczna, sprawia wrażenie niewrażliwej na cierpienia innych ludzi, lecz przecież dokumentuje wojenne zbrodnie ze świadomością, że to praca daleka od obiektywizmu. Garland celowo dał jej na imię Lee, nawiązując do Lee Miller, wybitnej fotografki, która jako pierwsza dotarła z amerykańskimi wojskami do wyzwolonego obozu koncentracyjnego w Dachau.

Brytyjskiego reżysera bardziej niż sceny z frontu interesuje to, co się dzieje na zapleczu działań wojennych – gdy dawny porządek społeczny runął i puściły już wszystkie hamulce. Część ludzi udaje, że nic takiego się nie dzieje, desperacko próbując zachować fasady dawnego świata. Inni zmieniają się w drapieżców mogących folgować najniższym instynktom. Wojna domowa to czas samozwańczych szeryfów, okrutnych mścicieli, paramilitarnych bojówek przemierzających kraj w poszukiwaniu prawdziwych i wyimaginowanych wrogów. Podróż bohaterów jest w pewnym sensie odbiciem drogi, jaką w „Jądrze ciemności" pokonał Marlow, a w „Czasie apokalipsy" kapitan Willard (Garland kilka razy odwołuje się w warstwie wizualnej do arcydzieła Francisa Forda Coppoli), choć u jej kresu zamiast Kurtza czeka zhańbiony prezydent.

Chora fantazja

Po premierze „Civil War" bez wątpienia podniosą się głosy, że Alex Garland przesadza ze straszeniem widzów. Lecz Ameryka być może rzeczywiście nie była tak mocno podzielona od czasów wojny secesyjnej. Po prezydenturze Trumpa, po wywołanych przez supremacjonistów zamieszkach w Charlottesville, a wreszcie po ataku skrajnej prawicy na Kapitol 6 stycznia 2021 r., który był niczym innym niż – na szczęście nieudaną – próbą siłowego obalenia władzy. Zapamiętaliśmy zdjęcia z tamtego dnia z dziwacznym szamanem QAnonu przemierzającym korytarze budynku. Jednak za organizację ataku nie odpowiadali przebierańcy, lecz profesjonalizujące się bojówki: Oath Keepers, Proud Boys, The Three Percenters. Za ich wyszkolenie odpowiadają byli marines, coraz chętniej zasilający rasistowskie organizacje skrajnej prawicy. W filmie dokumentalnym Charliego Sadoffa „Przeciwko wszystkim wrogom", analizującym wzrost militarnej siły skrajnej prawicy w Stanach Zjednoczonych, jeden z ekspertów mówi: „O dżihadystach też kiedyś myśleliśmy, że są niegroźni, bo siedzą w jaskiniach Afganistanu. A potem przyszedł 11 września". Nie, żeby skrajna prawica nie wysyłała od lat sygnałów postępującej radykalizacji: zamach Timothy'ego McVeigha, w wyniku którego w Oklahoma City zginęło 168 osób, miał przecież miejsce blisko 30 lat temu.

Politycznie zindoktrynowany McVeigh inspirował się m.in. niesławną powieścią Williama Luthera Pierce'a „The Turner Diaries", opisującą rewoltę przeciwko rządowi. Bunt prowadzi tu do obalenia władz federalnych, wojny domowej z użyciem broni ňuklearnej, wreszcie do masowej eksterminacji mniejszości etnicznych, Żydów, liberalnych aktorów i polityków. Pierce, jeden z czołowych działaczy ruchu neonazistowskiego w Stanach Zjednoczonych, a przy tym kłamca oświęcimski, wydał tę książkę w 1973 r. Myślał o niej jako o odpowiedzi na rosnący w siłę ruch walki o prawa obywatelskie Afroamerykanów – i od tamtej pory ta książka pozostaje jedną z najczęstszych kulturowych inspiracji dla prawicowych terrorystów w krajach anglosaskich. McVeigh nie był jedynym zbrodniarzem, który przyznawał się do fascynacji powieścią Pierce'a.

„The Turner Diaries" to chora fantazja przepełnionego nienawiścią umysłu, jednak kultura popularna, opowiadając o potencjalnej drugiej wojnie domowej, z reguły pełniła funkcję dzwonka alarmowego. Przypominała, że podziały wykopane między Amerykanami w czasach wojny secesyjnej i antebellum – okresie odbudowy państwa w drugiej połowie XIX w. – nigdy nie zostały zasypane. A dziś wydają się głębsze niż kiedykolwiek: wojna jako realna perspektywa za prezydentury Trumpa zaczęła się coraz częściej pojawiać w wypowiedziach ekspertów i polityków, i to po obu zwaśnionych stronach. Freedom House, pozarządowa organizacja monitorująca poziom demokracji i wolności, już w 2018 r. donosiła, że erozja standardów demokratycznych w Ameryce przyspieszyła do poziomu, jakiego wcześniej nie obserwowano. W tym samym roku liczba Amerykanów przekonanych, że w ciągu najbliższych lat dojdzie do wojny domowej, wynosiła 31 proc. W 2022 r. podobne obawy wyrażało już 40 proc. ankietowanych.

Toczona w latach 1861–64 wojna domowa okazała się traumą formacyjną Stanów Zjednoczonych. „Ameryka nigdy nie zapomniała o wojnie secesyjnej. W pomnikach i rekonstrukcjach. ▶

▶ w przemówieniach i teatrze politycznym jej narracja jest nadal dyskutowana i przekształcana. Dominujący dziś niepokój z nią związany jest nie tylko objawem pękniętego krajobrazu politycznego Ameryki, ale także ewolucją prześladującego ją kultu wojny", pisał Beau Thomas ze szkockiego Uniwersytetu St. Andrews. Tak jak w Polsce w memach pojawia się często hasło „widać zabory" odnoszące się do politycznych i społecznych podziałów, tak w USA odmienny stosunek do historii, praw obywatelskich, kwestii obyczajowych, rasowych i politycznych do dziś nazywa się linią Masona-Dixona, wytyczoną w początkach XIX w. umowną granicą między Północą a Południem.

Popkultura czuje krew

Kultura masowa dostrzegała zagrożenie związane z rosnącą polaryzacją polityczną od wielu dekad. Jeszcze w 1935 r. Sinclair Lewis, pierwszy amerykański laureat literackiego Nobla, w dystopijnej powieści „It Can't Happen Here" przestrzegał przed rosnącym w siłę autorytaryzmem, opisując prezydenckie zwycięstwo (fikcyjnego) populisty Buzza Widnripa, samozwańczego reprezentanta wykluczonej białej biedoty, który po objęciu władzy zaczyna zamykać opozycjonistów w obozach pracy i krwawo tłumić zamieszki. Druga wojna domowa zaczyna się tu co prawda dopiero w finale, a Lewis przestrzegał przede wszystkim przed amerykańską powtórką z politycznych sukcesów Hitlera i Mussoliniego, ale jego powieść zyskała nowe życie po zwycięstwie Trumpa. Tyle że dziś już nikt nie powtarza za tytułem książki, że „to nie mogłoby się zdarzyć tutaj".

Wagner Moura jako reporter wojenny Joel w filmie „Civil War".

© LANDMARK MEDIA/ALAMY/BE&W

Amerykę jako państwo policyjne po wojnie domowej (lub innej formie krwawej rewolucji) opisywali m.in. Philip K. Dick w „Płyńcie łzy moje, rzekł policjant" (1974 r.), Margaret Atwood w „Opowieści podręcznej" (1985 r.) czy Orson Scott Card w dylogii „Empire" (2006–09) – ta ostatnia to zresztą rzadki przypadek mainstreamowej powieści pisanej z mocno prawicowych pozycji, a wojnę wywołuje w niej liberalna lewica.

Także w filmach nie brakowało wizji konfliktu rozdzierającego kraj, i to nawet w czasach, gdy w popkulturze po latach zimnej wojny dominowały jeszcze narracje o starciu USA z Sowietami, względnie Chinami lub Koreą Północną. Sensacyjna „Żyleta" (1996 r.) z Pamelą Anderson w roli tytułowej rozgrywała się w 2017 r., kiedy to brutalna wojna domowa miała się toczyć na terenie Stanów Zjednoczonych. W 1997 r. Joe Dante nakręcił dla HBO komedię zatytułowaną po prostu „Druga wojna secesyjna", w której armia walczy ze zbuntowanymi siłami stanu Idaho. Była to satyra nie tylko na amerykańskie lęki, lecz także na goniące za sensacją media – głównymi bohaterami filmu (obok prezydenta i jego bezwzględnych doradców) byli bowiem dziennikarze wielkiej stacji telewizyjnej wzorowanej na CNN.

W XXI w. narracji o wojnie domowej zaczęło jednak lawinowo przybywać. W 2004 r. Kevin Willmott (późniejszy laureat Oscara za scenariusz do filmu Spike'a Lee „BlacKkKlansman. Czarne bractwo") nakręcił mockument „C.S.A. Confederate States of America". To próba odpowiedzi na pytanie, jak dziś wyglądałyby Stany, gdyby półtora wieku wcześniej wojnę secesyjną wygrali konfederaci. Temat bratobójczej walki między Amerykanami pojawiał się w postapokaliptycznym serialu „Jerycho" (2006 r.), a nawet w jednym z odcinków animowanego serialu „Głowa rodziny" (w alternatywnej rzeczywistości, w której konflikt wywołał George W. Bush zirytowany tym, że nie wygrał wyborów prezydenckich). Oparty na popularnej powieści graficznej miniserial „DMZ" (2022 r.) rozgrywał się głównie na Manhattanie, który w czasie krwawego konfliktu został mianowany strefą zdemilitaryzowaną. Z kolei Marvelowski komiks „Wojna domowa" (2006 r.) dotyczył co prawda konfliktu między superbohaterami – w szczególności między Kapitanem Ameryką a Iron Manem, reprezentującymi różne postawy polityczne – lecz nietrudno było w nim odczytać metaforę pogłębiającej się w Stanach Zjednoczonych międzyludzkiej przepaści. Zwłaszcza wtedy, gdy na ekrany kin trafiła jego luźna ekranizacja „Kapitan Ameryka: wojna bohaterów" (2016 r.), ledwie o kilka miesięcy wyprzedzając prezydencki triumf Donalda Trumpa. W kategoriach politycznej metafory można było odczytywać także inne teksty kultury masowej: serial o apokalipsie zombie „The Walking Dead", nowe wersje filmów o Planecie Małp, powieściowe i kinowe wersje cyklu „Igrzyska śmierci". Popkultura czuje krew i nieustannie ostrzega, że Amerykanie czekają na pretekst, by rzucić się sobie – czasem bardzo dosłownie – do gardeł.

O co ta wojna?

Twórcy różnie widzą też przyczyny, dla których miałby wybuchnąć konflikt. W filmie „Druga wojna secesyjna" punktem zapalnym był kryzys migracyjny, w powieści dla młodzieży „Podzieleni. Unwind" (2007 r.) Neala Shustermana spór toczył się o prawo do aborcji, a w „Ameryce w ogniu" (2017 r.) Omara El Akkada stany Południa zdecydowały się na secesję w obronie prawa do wydobywania paliw kopalnych.

Od dawna kultura masowa nie bawi się już w subtelności: czy to w zaskakującym finale filmu „Zostaw świat za sobą" (2023 r.), w którym bohaterowie po serii niewytłumaczalnych zdarzeń orientują się, że były one konsekwencją wybuchu wojny (lub zamachu stanu), czy to w powieści „After a Revolution" (2022) Roberta Evansa, reportera i twórcy podkastów, który monitoruje aktywność amerykańskiej skrajnej prawicy. A teraz w przejmujących swoją dosłownością kadrach filmu „Civil War". Pytanie, czy amerykańska popkultura nie zaczyna przypominać baśniowego chłopca, który tak często krzyczał „wilk", że gdy drapieżnik pojawił się w wiosce, nikt nie uwierzył w ostrzeżenia.

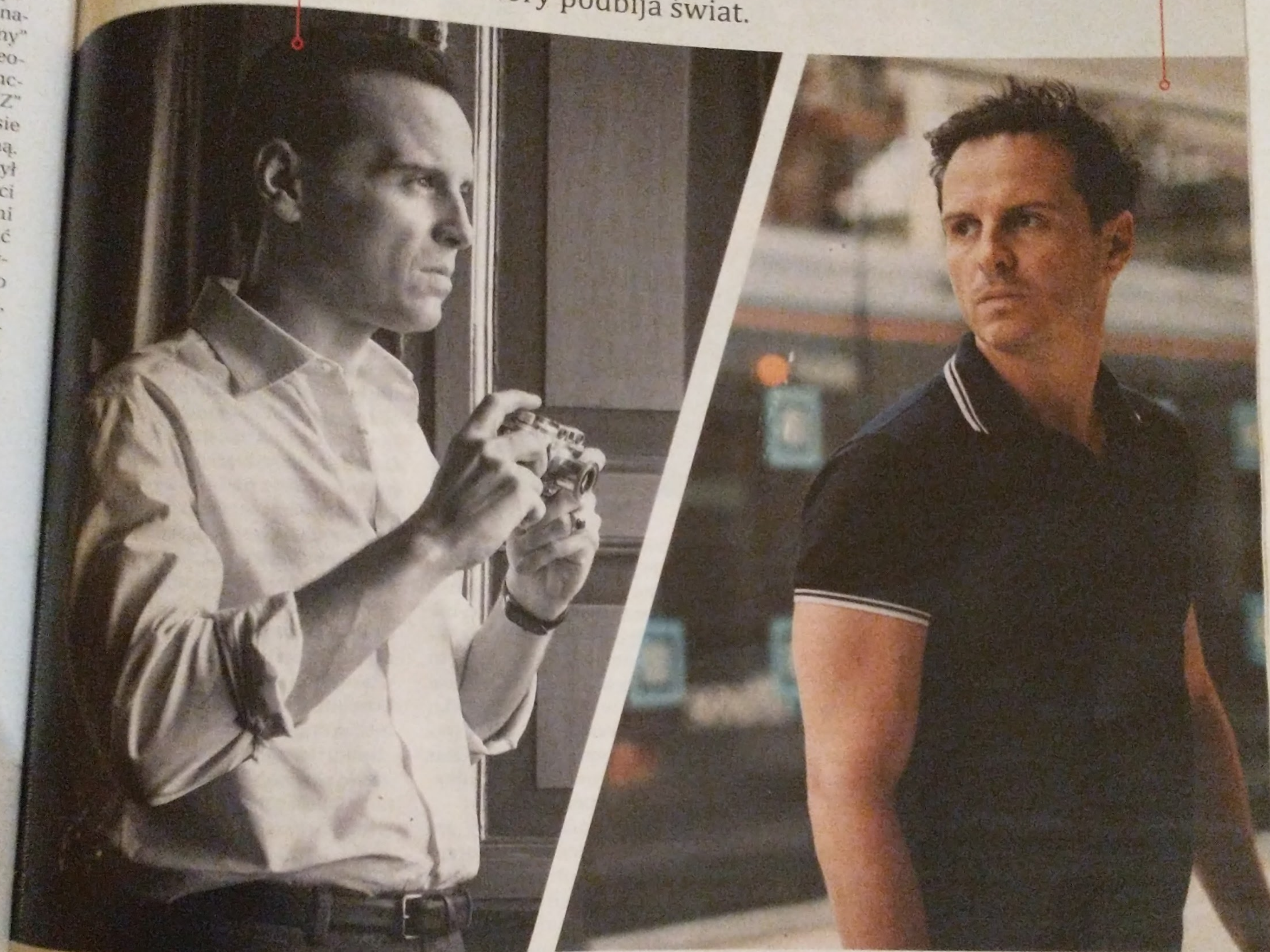
Część komentatorów powtarza jak mantrę, że nie należy się bać bratobójczego konfliktu – irlandzki pisarz i dziennikarz Fintan O'Toole sugerował nawet na łamach magazynu „The Atlantic", że temat nowej wojny secesyjnej powinien w ogóle zniknąć z kultury i debat politycznych. Jego zdaniem może być czymś w rodzaju samospełniającej się przepowiedni, bo tylko nakręca spiralę strachu i nienawiści. Inni nie mają wątpliwości, że światła alarmowe od dawna palą się na czerwono. „Stany Zjednoczone zmierzają do końca. Pytanie tylko jakiego" – pisał w swojej książce „The Next Civil War" Stephen Marche.

Wilk już jest w wiosce. Nie wiadomo jeszcze tylko, jak bardzo żądny krwi.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Dyskretny urok inności

Poruszający film „Dobrzy nieznajomi", brawurowy monodram „Vanya" i serialowy „Ripley" Netflixa. Andrew Scott to kolejny wielki aktor z Irlandii, który podbija świat.



© LANDMARK MEDIA/ALAMY/BEW

ANETA KYZIOŁ

Film „Dobrzy nieznajomi" jest jakby stworzony dla 47-letniego Andrew Scotta. Bazą była powieść „Obcy" Taichiego Yamady, którą reżyser i scenarzysta Andrew Haigh, kilka lat starszy od Scotta, nasycił odwołaniami do własnego życia, a zdjęcia kręcił m.in. w domu, w którym dorastał, w londyńskim Croydon. Jednak gdy aktor wszedł do środka, oniemiał z wrażenia: znalazł się w swoim domu w Dublinie w końcówce lat 80., w pokoju wisiały plakaty zespołów, których wtedy słuchał, na półkach znajome pisma, gadżety i zabawki, w szafie piżama z poliestru, jaką jego pokolenie nosiło w dzieciństwie. Bez zastanowienia wyjął smartfon, obfotografował wszystko i wysłał swoim siostrom.

Scenariusz też brzmiał znajomo – na tyle, że wspólnie z reżyserem zdecydowali, by Scott zagrał swojego bohatera we własnych ubraniach. Bohater filmu, scenarzysta, żyje w samoizolacji, zmaga się z traumą utraty rodziców w dzieciństwie, dźwiga też bagaż dojrzewania w czasach homofobii i paniki związanej z AIDS. Próba opisania dzieciństwa, zmierzenia się z poczuciem straty, skutkuje głębokim zanurzeniem w przeszłość, rany się otwierają, głęboko skrywane emocje i pragnienia wychodzą na wierzch, wraz ze spotkaniem z tajemniczym ▶



Andrew Scott w monodramie „Vanya", w którym aktor wciela się w osiem postaci „Wujaszka Wani" Czechowa.

sąsiadem (Paul Mescal, też Irlandczyk) pojawia się też szansa na miłość i związek. Film Haigha to psychoterapia i seans spirytystyczny jednocześnie. Sceny intymne poruszają równie silnie, co te rozgrywane w rodzinnym domu bohatera – tu czas zatrzymał się w latach 80., syn spotyka więc rodziców młodszych od siebie, opowiada im o swoim życiu, wyznaje, że jest gejem, i otrzymuje to, czego zawsze pragnął: miłość i wsparcie. Gra Scotta przypomina obrazki 3D, które oglądane z różnych perspektyw zmieniają znaczenie – jest jednocześnie dorosłym, przepełnionym smutkiem mężczyzną i bezbronnym chłopcem, szukającym bezpieczeństwa w objęciach rodziców.

Andrew Scott wychowywał się w kochającej rodzinie, ale i za nim ciągnie się cień. Jego rodzice szczęśliwie żyją, matka była nauczycielką plastyki, odziedziczył po niej talent malarski, ojciec pracował w agencji zatrudnienia, ma dwie siostry i wciąż regularnie co kilka tygodni wraca z Londynu do rodzinnego Dublina. Gejów grywa równie często co bohaterów heteroseksualnych. Swoją seksualność ujawnił publicznie w 2013 r. w wywiadzie dla „The Independent", a dziś sprzeciwia się stosowaniu przestarzałego i stygmatyzującego określenia „otwarcie gejowski". „To wyrażenie, które można usłyszeć tylko w mediach. Kiedy jesteś na imprezie, nikt nie mówi: To jest mój otwarcie homoseksualny przyjaciel. Nie mówimy, że jestem »otwarcie Irlandczykiem«, czy »otwarcie leworęczny«… Jest w tym przymiotniku coś bliskiego »bezwstydnie«, jak w wyrażeniu: »Mówisz o tym otwarcie?«. Czas z tym skończyć" – tłumaczył dziennikarzowi „Hollywood Reporter".

Jednocześnie był nieśmiałym, zamkniętym w sobie dzieckiem, którego zajęcia teatralne miały otworzyć i wyleczyć z seplenienia. Chodził do prywatnej szkoły jezuickiej, gdzie homoseksualizm był demonizowany i potępiany, a Irlandia jego kryminalizację zniosła dopiero w 1993 r., gdy aktor miał 16 lat.

Jest charyzmatyczny, przyjacielski, przystojny, trudno znaleźć kogoś, kto nie wypowiadałby się o nim z zachwytem, ale też żyje solo. Pracę nad „Dobrymi nieznajomymi" nazywa doświadczeniem katartycznym. W magazynie „GQ" mówił: „Musiałem wnieść do niego tyle własnego bólu… Może dlatego to jest tak satysfakcjonujące i oczyszczające". A potem dodawał o aktorstwie: „Im dłużej uprawiam ten zawód, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że chodzi w nim bardziej o ujawnienie tego, kim się jest, niż o udawanie kogoś innego".

Stał się specjalistą od portretowania skrywających tajemnice samotników. „The Independent" trafnie pisał: „Jego energia wydaje się nieuchwytna i wprawia w dezorientację. Jest zarazem ekscytujący, melancholijny, potoczny i kreskówkowy. Dobrym postaciom dodaje mroku i enigmatyczności, złym daje łobuzerski, chłopięcy urok". Jego Tom Ripley z kolejnej, tym razem serialowej i czarno-białej adaptacji powieści Patricii Highsmith żyje schowany za nigdy nieopuszczaną gardą. Akcja toczy się we Włoszech początku lat 60. XX w. Ważnym motywem obok klasowego jest delikatnie rysowana queerowość bohaterów, sytuująca ich na obrzeżach społeczeństwa. W poprzednich interpretacjach Ripley bywał psychopatą, który nie wahał się mordować, by zyskać prestiż i bogactwo. Scotta zainteresowała jego inność separująca go od ludzi. „Jak to jest nigdy nie być zapraszanym na imprezy? Wszyscy znamy ludzi, którzy nie ułatwiają sobie życia, którzy są może trochę dziwni. Co się dzieje, gdy jesteś ciągle ignorowany, odsuwany na bok lub nie pasujesz? Czy pojawia się coś mrocznego?" – zastanawiał się na łamach „Guardiana".

Ripley Scotta nie jest sympatyczną postacią, ale nie sposób go też nienawidzić. Trudno go zaszufladkować, łatwiej mu współczuć. Bo Scott od czerni i bieli woli szarości. Jednoznacznie czarny charakter zagrał tylko raz i do tej pory ma o to do siebie pretensje. Chodzi o C., antagonistę Jamesa Bonda z filmu „Spectre" z 2015 r. Aktor żałuje, że nie znalazł w sobie siły na walkę o niuanse, na których oparł rolę innego „złola" – Moriarty'ego w brytyjskiej serii „Sherlock" (2010–17). Ta ostatnia otworzyła zresztą drzwi do popularności przed występującymi w niej aktorami: Benedictem Cumberbatchem, Martinem Freemanem i Andrew Scottem właśnie. „Jest coś elektryzującego w nim i jego ciemnych oczach – mogą być uduchowione i przerażające jednocześnie" – próbował uchwycić fenomen aktorski Scotta współtwórca „Sherlocka" Mark Gatiss.

Uduchowione były na pewno w roli księdza, bohatera skomplikowanej „historii miłosnej" w drugim sezonie „Fleabag" (premiera w 2019 r.), jednego z najlepszych komediodramatów w historii streamingu. Scott, odgrywając rozedrganą charyzmę bohatera, jego zmagania z własnymi demonami, z samotnością,

irlandzkie poczucie humoru (pytany, dlaczego nie utrzymuje stosunków z Bogiem, odpowiada: „Jest pedofilem. Jestem świadomy ironii tej sytuacji"), idealnie wstrzelił się w klimat serialu autorstwa Phoebe Waller-Bridge. „Ma charyzmę dziesięciu osób" – mówi o nim scenarzystka i aktorka, która powierzyła mu rolę po tym, jak wcześniej razem grali w teatrze. Internet ochrzcił jego bohatera mianem Hot Priest – seksowny ksiądz – a zapytania o „religijne porno" w wyszukiwarkach skoczyły ponoć po premierze o 162 proc.

Ma talent do kreowania postaci, z którymi łatwo się utożsamić. To skutek twardego stąpania po ziemi – Andrew Scott woli małą skalę od rozbuchania show. Jak zauważa Andrew Haigh, reżyser „Dobrych nieznajomych", w magazynie „GQ": „Wie, jak przekazywać emocje publiczności, aby nie czuła się manipulowana. Jest to raczej naturalne i delikatne niż ciężkie i poważne. Nie sądzę, by był zainteresowany byciem Wielkim Aktorem z rozbuchanymi, bombastycznymi emocjami. Chce, by były one małe, subtelne i prawdziwe".

Bliskich widzowi bohaterów grywa zarówno na ekranie, jak i w teatrze, gdzie występuje regularnie także po tym, jak jego kariera filmowo-serialowa eksplodowała (ma na koncie dwie Nagrody Laurence'a Oliviera – najbardziej prestiżowe brytyjskie wyróżnienia teatralne). Dowodem choćby Hamlet, zagrany bez podnoszenia głosu jako niepozbawiony zmysłu ironii wrażliwiec, we współczesnej inscenizacji z 2017 r. Roberta Icke'a w Almeida Theatre w Londynie, czy monodram „Vanya" w reż. Sama Yatesa z Duke of York's Theatre w Londynie (można go zobaczyć w polskich kinach w ramach National Theatre Live), w którym z zaskakującym powodzeniem wciela się w... osiem postaci „Wujaszka Wani" Czechowa.

To uniwersalna (odarta z klimatów retro i akcentów rosyjskich, z których ostały się tylko dwa imiona: tytułowy Wania i jego siostrzenica Sonia) tragikomedia z nieszczęśliwą miłością w centrum. Andrew Scott, we własnym ubraniu, w kolejnych rolach zmienia ton głosu, bawi się naszyjnikiem, zakłada okulary przeciwsłoneczne, zapala papierosa, ale w istocie odgrywa bohaterów do siebie podobnych, bo samotnych i nieszczęśliwych, źle lokujących uczucia i nadzieje, próbujących iść przez życie ze świadomością klęski albo pomimo niej. Widz może się z tymi emocjami łatwo utożsamić, także dlatego, że Scott jest mistrzem w tworzeniu postaci z krwi i kości, skrywających smutek za uśmiechem, ale też forma monodramu tę ich nieprzekraczalną samotność boleśnie podkreśla.

Zaczyna się, gdy Scott wchodzi na scenę i jeszcze na wpół prywatnie włącza elektryczny czajnik, zalewa wrzątkiem torebkę herbaty i dolewa mleka. Z herbatą w ręku staje obok włączników światła i przyglądając się widzom z łobuzerskim uśmiechem, na przemian włącza i wyłącza światła na scenie i widowni. Widzowie wyglądają wtedy jak zjawy, wstrzymują oddech, czekając na rozpoczęcie opowieści. „To nie jest nic" – mówi, przywołując ten moment ze wzruszeniem w wywiadach.

Jako 17-latek Scott otrzymał stypendium na studia malarskie. Odrzucił je, bo równocześnie pojawiła się propozycja roli w filmie „Korea" w reż. Cathala Blacka (premiera w 1995 r.), osadzonym w latach 50. XX w. obrazie irlandzkiej imigracji w Ameryce, z relacją ojca i syna, i wojną w Korei w centrum. Po zakończeniu zdjęć postanowił studiować dramat w dublińskim Trinity College, ale znudzony zrezygnował po sześciu miesiącach. Dołączył do dublińskiego Abbey Theatre, by na przełomie wieków wyruszyć na poszukiwanie szczęścia w Londynie. I w końcu stać się kolejnym irlandzkim bohaterem współczesnego świata filmu, obok Cilliana Murphy'ego (tegoroczny Oscar za rolę w „Oppenheimerze"), Paula Mescala („Aftersun") i Barry'ego Keoghana („Duchy Inisherin", „Saltburn").

Zapytany przez radio BBC, co napędza go twórczo, Andrew Scott odpowiada: „Myślę, że zawsze byłem trochę takim urodzonym buntownikiem. Może na to nie wyglądam, ale nigdy nie interesowało mnie, co pomyślą ludzie". Ceni zaskakujące i nieszablonowe przedsięwzięcia, rzadko wybiera wielkie produkcje, od spotkania z Bondem unika franczyz, nie wyobraża sobie siebie biegającego z bronią. „Bycie na planie przez siedem miesięcy i jedzenie kurczaka z brokułami po prostu nie jest tym, jak chcę spędzać czas" – tłumaczył. W pandemii wrócił do dawnej pasji malarskiej, zaczął cenić wolny czas. „Chciałbym żyć tak kolorowo, jak to tylko możliwe, i próbować robić nieoczekiwane rzeczy".

ANETA KYZIOŁ



Raz jest się chłopcem, raz dziewczyną

Zależało nam, by zainicjować w Polsce rozmowę o tranzycji. Powiedzmy, że w tym przejawia się nasz patriotyzm – mówią Małgorzata Szumowska i Michał Englert, autorzy filmu „Kobieta z…”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – **Z waszego filmu można wysnuć wniosek, że osoby trans nie mają łatwego życia. Niezależnie od tego, jaka partia sprawuje władzę, brakuje woli politycznej, by pomóc tym ludziom.**

MAŁGORZATA SZUMOWSKA: – Niestety to prawda. Także dzisiaj, gdy rządzi koalicja 15 października, widać to wyraźnie. Temat spychany jest na sam koniec kolejki, co ma związek z silną i długoletnią obecnością Kościoła w polityce. Nawet lewica, która w teorii mieni się adwokatem środowiska LGBT+, stoi bliżej środka sceny politycznej, by nie powiedzieć, że jest konserwatywna i nie zależy jej zbytnio, by coś w tej kwestii zmieniać. Poparcie społeczne też wydaje się niewielkie, więc mamy to, co mamy. To samo dzieje się w sprawie aborcji.

W parlamencie poprzedniej kadencji zasiadała osoba transpłciowa. Niczego to Polaków nie nauczyło?

MICHAŁ ENGLERT: – Anna Grodzka była jedną z pierwszych osób ze świata polityki, z którą się konsultowaliśmy. Wystąpiła w „Kobiecie z …" i zarówno ona, jak i Adam Bodnar, ówczesny rzecznik praw obywatelskich, który również nas wspierał, jednocześnie przestrzegał, że wkładamy kij w mrowisko, bo środowisko LGBTQ+, jak każde inne, miewa swoje radykalne odłamy, różnice w pomyśle na politykę i z pewnością znajdą się tacy, którym coś w naszej narracji będzie przeszkadzać. Ja mam nadzieję, że nasz film może być kolejnym impulsem i skonsolidować te środowiska, ustalić jakąś spójną kolejność zajmowania się kluczowymi sprawami – jak zmiana ustawy o uzgodnieniu płci, dostęp do terapii hormonalnych – bardziej niż zaimkami.

M.SZ.: – Tranzycja nigdy nie była problemem numer jeden. A moim zdaniem powinna być jednym z ważniejszych tematów.

Dlaczego?

M.SZ.: – Ponieważ dla młodego pokolenia to naturalna i istotna kwestia. Patrząc na moją nastoletnią córkę, która chodzi do liceum, widzę, że ona i jej znajomi mają inne standardy myślenia. Owszem, korekta płci jest przez nich dyskutowana, jednak do niebinarności podchodzą bardzo otwarcie. Płeć biologiczna nie odgrywa dla nich aż tak wielkiej roli. Podobnie jak dla młodzieży na Zachodzie. Ale jeśli się porówna poziom publicznej debaty na ten temat u nas i na świecie, różnica jest ogromna. Nie mówiąc o tym, że polskie prawo nie nadąża za społecznymi zmianami.

Korekta płci powinna być oczywistością?

M.E.: – Każdy powinien mieć prawo do tego, aby być tym, kim się czuje. Z pewnością w edukacji, szczególnie pokolenia 50+, istnieje olbrzymia luka. Myślę, że droga naszej bohaterki, urodzonej w PRL, dosyć symbolicznie oddaje krajobraz przemian. Historie, często dramatyczne, i spotkania z osobami naszego i starszego pokolenia, skłoniły nas do pokazania bohaterki – reprezentantki takiego pokolenia właśnie. To było z naszej perspektywy bardziej naturalne, a poza tym dawało szansę pokazania kontrastu, zderzenia w filmie z młodymi teraz, dla których bycie trans nie jest stygmatyzujące i obciążające. Natomiast pokolenie naszej filmowej Anieli często narażone było na narrację klasyfikującą ich jako problem, dewiację, patologiczny odchył, w najlepszym razie ignorowany. Ale jak zawsze w naszych filmach aspekt

Michał Englert (ur. 1975 r.) – operator, scenarzysta, reżyser. Jest autorem zdjęć do wszystkich filmów Małgorzaty Szumowskiej, za co był wielokrotnie nagradzany w kraju i za granicą. Pracował również m.in. z Arim Folmanem („Kongres”), Jackiem Bromskim („Anatomia zła”), Marie Noelle („Maria Skłodowska-Curie”). Za zdjęcia do „Nieulotnych” Jacka Borcucha został wyróżniony w Sundance.



Małgorzata Szumowska (ur. 1973 r.) – reżyserka, scenarzystka, producentka. Studiowała pod kierunkiem Wojciecha Hasa w łódzkiej filmówce. Jedna z najwybitniejszych autorek polskiego kina, laureatka m.in. Srebrnego Niedźwiedzia w Berlinie za „Body/Ciało” i „Twarz” oraz Złotego Lamparta w Locarno za „33 sceny z życia”.

© ŁUKASZ BĄK (2)

[hu]manistyczny był najważniejszy – relacje między ludźmi, bo razem z filmową bohaterką jej tranzycję przechodzą jej bliscy.

Stąd potrzeba opowiedzenia o takich osobach?

M.SZ.: – Tak, uznaliśmy to za interesujący temat. „Kobieta z …” została dobrze odebrana za granicą, m.in. na festiwalu w Wenecji, nam zależało jednak, aby zainicjować rozmowę w Polsce. Powiedzmy, że w tym przejawia się nasz patriotyzm.

M.E.: – Czasy się zmieniają, powiększa się parasol gender, a np. pokolenie moich rodziców wciąż myli tożsamość płciową z tożsamością seksualną. A przecież to, jaką kto ma orientację seksualną, nie zależy od tego, jaką czuje się płcią.

Orientacji się nie da zmienić, a płeć można wybrać?

M.SZ.: – Ciebie to dziwi?

Zastanawiam się.

M.SZ.: – Mnie to nie dziwi. Żeby było jasne – nie mam dziecka trans. Znam jednak wielu rodziców takich dzieci. Są wśród nich osoby znane, które zdecydowały się o tym mówić publicznie, angażować w ruchy na rzecz środowiska. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że w Polsce od razu są one poddawane ocenie: dlaczego zdecydowały się na kurację hormonalną swoich dzieci etc.? Nie musimy tego oceniać. Tak samo nie podjęłabym się wypowiadać na temat np. sióstr Wachowskich. Nie wiemy, co one czuły przez te wszystkie lata, kiedy ukrywały, kim są.

M.E.: – Presja społeczna wymaga identyfikacji w określonych ramach. Tymczasem wąskie kryteria, że jest się tylko kobietą albo tylko mężczyzną, już nie wystarczają. Sprawa nie jest jednoznaczna. Prosty przykład: nie wszystkie osoby trans dążą do korekty płci.

M.SZ.: – Nie wiem, czy czytałeś „Trans pół, bejbi” Torrey Peters. Głośną pozycję napisaną przez osobę trans, tłumaczoną na polski przez Agę Zano. Tam jest to wszystko dobrze wyjaśnione. Ja z Michałem jesteśmy osobami cis, kwestie naszych orientacji pomijam, bo to nasza prywatna sprawa, natomiast świetnie rozumiemy tych, którzy czują się pomiędzy płciami i nie są w stanie się określić.

Niepewność, kim się jest, nie mija wraz z wiekiem?

M.SZ. – Nie ma reguł. Wiele zależy od doświadczeń seksualnych. Są i tacy, co nie robią operacji narządów płciowych, by uniknąć jednoznaczności, o której wspomniał Michał. W Ameryce bardzo popularne staje się branie hormonów przez jakiś czas, by identyfikować się np. po stronie męskiej. A potem wraca się do siebie, czyli do kobiecości. Potem kolejna częściowa terapia i znów wyhamowanie.

Raz jest się chłopcem, raz dziewczyną, to może rację ma pewien pan z Żoliborza, co twierdzi, że to tylko moda?

M.SZ.: – To nie jest kwestia mody. Można przynależeć do obu światów. Wiem, że niektórym trudno to sobie wyobrazić. Uważam, że płeć jest płynna. Może nie dotyczy to całego społeczeństwa, ale na pewno jakiejś znaczącej jego części.

M.E: – Narracja Kaczyńskiego zakładała, że jest to rodzaj choroby, z czym się zdecydowanie nie zgadzam. Powiem tak: każdy przypadek należy rozpatrywać indywidualnie. Pierwszy raz zetknąłem się z tym problemem ponad 20 lat temu. W jednej z prywatnych klinik kręciłem na potrzeby filmu dokumentalnego finalną operację korekcji płci. Bardziej od strony chirurgicznej tego zdarzenia zapadło mi w pamięć spotkanie bohatera, lekarzy – nasze nocne rozmowy. W Polsce wtedy to było wszystko nowe. Publikacji było niewiele. Przełomem okazały się artykuły w tygodnikach „Jestem” i „Przekrój” w połowie lat 80. Niesamowite, z jak wielkim odzewem się spotkały. Redakcje zostały zasypane korespondencją od samotnych ludzi, niemających dotąd z kim o swoich kłopotach porozmawiać. Profesorowie Imieliński i Dulko, którzy odpowiadali na te listy, zebrali je i wydali potem w formie książkowej. Dzięki temu Polacy dowiedzieli się, że istnieją osoby trans. A one same zobaczyły, że jest ich więcej. Zainicjowało to silny ruch.

Jaka jest skala tego zjawiska?

M.SZ.: – Nie ma takich statystyk. Nikt tego nie ujawnia. Mogę podać ciekawy przykład. W liceum mojego syna w każdej klasie jest co najmniej jedna osoba niebinarna albo trans.

Internet podaje, że szacowana częstość występowania transseksualizmu wśród dorosłych w skali światowej wynosi 1 na 30 tys. osób o płci anatomicznej męskiej oraz 1 na 100 tys. osób o płci żeńskiej.

M.SZ.: – Nie rozpatrywałabym tego w procentach. Czasem jednostka albo niewielki odsetek populacji decyduje o zmianie nastawienia czy sposobu myślenia większości społeczeństwa. Np. ostatnie badania dowodzą, że 30 proc. kobiet pokolenia Z identyfikuje się jako LGBTQ+.

M.E.: – A ja mam nadzieję, że nie zmierzasz do tego, że jest to zjawisko marginalne.

Nie, chcę tylko podkreślić, że transgender nie jest w Polsce zjawiskiem znanym i powszechnie akceptowanym.

M.SZ.: – Przede wszystkim brakuje świadomości, że tak jak seksualność bywa płynna, tak i płciowość jest płynna. Weźmy Pamelę Anderson, niegdyś ikonę seksu. Zrezygnowała z implantów, ubiera się w męskie stroje i afirmuje stronę, którą w sobie tłumiła: żeby nie być dłużej obiektem seksu, żeby nie podobać się mężczyznom. Jej płciowość nie jest wyraźnie określona. Pamela całe życie była seksualizowana. Teraz się z tego wyzwoliła. W społeczeństwie, w którym jest maleńki procent osób trans, o wiele większy procent ludzi nie chce się identyfikować z narzuconymi odgórnie rolami. Jesteś kobietą, więc rób to i to. Jesteś mężczyzną, więc musisz być taki i taki. Tu się pojawia owo „pomiędzy” – cała masa indywidualistów, pragnących zrzucić okowy i mieć możliwość poruszania się w poprzek norm. W innych krajach rewolucja, o której rozmawiamy, jest już bardzo zaawansowana. Sprzyja wolności. Co doskonale rozumiem i osobiście bardzo popieram.

Dlaczego ta rewolucja nie przyjęła się na Wschodzie?

M.SZ.: – Bo panują tam totalitarne reżimy, które budują porządek na przemocy. Rosja, Chiny, państwa muzułmańskie posiadają opresyjne systemy. Na Zachodzie wyjątek stanowią dwa stany: Alabama i Teksas.

▶

▶M.E.: – Proponuję wrócić do punktu wyjścia. Zrobiliśmy nasz film, gdyż trudno sobie wyobrazić bardziej intymny, tożsamościowy temat niż postawienie pytania: kim się czuję? Szukając odpowiedzi, bohater zderza się najpierw sam ze sobą, później z najbliższymi, a potem ze światem. Analizując jeden konkretny przypadek z małego miasteczka na wschodzie Europy, pokazujemy schemat, z którym może się identyfikować każdy.

Opowiadacie jednak o problemach, które nie są wasze.

M.SZ.: – Czasy się zmieniły i nie każdy dzisiaj może mówić w imieniu wyłącznie swojego środowiska. My zaryzykowaliśmy, a legitymizowała nas nasza empatia. Jako artystka czuję się z tym dobrze. Wstawiać się za wykluczonymi nauczył mnie ojciec, dziennikarz, który sam często pisał reportaże o takich sytuacjach. Powiem więcej: jestem bardzo dumna, mogąc odgrywać rolę ambasadorki tego środowiska. Nie jesteśmy w tym sami. Pracowali z nami np. Anu Czerwinski i Angela Getler, nasi asystenci i konsultanci ds. transpłciowości. Na przekór politycznej poprawności w filmie wystąpiło ok. 70 osób niebinarnych, często wbrew swojej tożsamości w tzw. rolach uniwersalnych. Podobno jesteśmy pierwszą ekipą, która zatrudniła osoby trans do takich ról. Jednocześnie w głównej roli obsadziliśmy dwoje aktorów cis Mateusza Więcławka oraz Małgorzatę Hajewską-Krzysztofik. Gdy ogłosiliśmy casting, zgłosiło się wiele aktorek, ale nie było wśród nich osób trans. Ludzie z tego środowiska nie byli dopuszczani do szkół filmowych.

M.E.: – Gdyby spojrzeć na nasze filmy, można by z pewnością znaleźć cechy wspólne naszych głównych bohaterów, którzy zawsze szukają w życiu swojego miejsca, do którego często nie mogą się przypasować. I myślę, że problem akceptacji, tolerancji, wolności interesuje każdego empatycznego człowieka. I tak jak mówi Szuma, środowisko zaakceptowało nas i nasze wybory. Otrzymaliśmy od nich wsparcie zresztą nie tylko w kraju. Pod koniec marca wróciliśmy z BFI Flare, londyńskiego festiwalu LGBT+, gdzie wszystkie seanse „Kobiety z…” zostały wyprzedane. Uznano, że nasz film jest potrzebny. Dodam też, że dzięki niemu Angela Getler dostała się na wydział produkcji w Łodzi, stając się pierwszą kierowniczką produkcji trans w Polsce!

Gorący, festiwalowy temat budzący wielkie kontrowersje – ktoś pomyśli, że oprócz dobrych intencji kierowała wami zwykła kalkulacja.

M.SZ.: – Nic podobnego. Jesteśmy szczerzy, spontaniczni, nigdy w życiu nie zaprzęglibyśmy się do roboty, która nie dawałaby nam radości i artystycznej podniety. „Film to zabawa!” – powtarzamy sobie, nawet jak bywa ciężko. Nikt nas nie zmusi do podejmowania tematów tylko dlatego, żeby podtrzymać dobre notowania na festiwalach. Berlin, Wenecja i tak się nami interesują. Nie musimy niczego robić na siłę, wbrew sobie. Życie na to jest zbyt krótkie.

Zdecydowaliście się, gdy transgender wchodzi do mainstreamu.

M.SZ.: – Tak jak wspominałem, ten temat przyciągnął naszą uwagę 20 lat temu. Człowiek uwięziony we własnym, obcym ciele – cóż to za wspaniały punkt wyjścia. Już wtedy planowaliśmy, że o tym opowiemy, wychodząc od operacji, która nie przynosi ulgi. I myśleliśmy o Hajewskiej-Krzysztofik. Uznaliśmy jednak, że jest zbyt wcześnie i nikt nie będzie chciał takiego filmu w Polsce oglądać.

M.E.: – Przy okazji dojrzeliśmy jako twórcy. Robiąc autorskie kino, chcemy też opowiadać o sprawach uniwersalnych, ale też nie ignorując, gdzie się one dzieją. Dodatkowo, kiedy narastała narracja anty-LGBTQ+, silnie podgrzewana za rządów PiS, wróciliśmy do tematu.

Tytuł „Kobieta z…” – jak i wiele ujęć – odwołuje się do filmów Wajdy. Nawiązujecie też do Kieślowskiego. W jakim celu?

M.SZ.: – Jesteśmy częścią polskiego kina, chodziliśmy do tej samej uczelni, którą kończyli mistrzowie, byli naszymi nauczycielami. Po prostu ten wybór estetyczny wydał nam się adekwatny do tematu.

M.E.: – Historia naszej bohaterki nie jest wyabstrahowana, rozgrywa się w Polsce, w konkretnym miejscu. Chcieliśmy zachować proporcję pomiędzy jej intymnym, skromnym życiem a historycznym pejzażem, ale trudno pominąć, że ten kraj się zmienia. Jeśli chodzi zaś o bohaterów Wajdy, to w nich często przeglądały się nastroje, konflikty, napięcia społeczne, obnażały mechanizmy władzy – tu można szukać analogii. Ale jednocześnie chcieliśmy opowiedzieć o bohaterce, która nie jest zaangażowana w życie polityczne, do czego przyzwyczaiło nas trochę kino, dotykając czasów solidarnościowych. A przecież nie jest to temat „zarezerwowany”.

Jak wam się udało przebić z tak niepoprawnym politycznie tematem w epoce rządów PiS?

M.SZ.: – Mieliśmy prywatnego producenta, który zainwestował własne środki. PISF dołożył swoją część. Eksperci oceniający projekt byli za. Dyrektor Śmigulski zwlekał z decyzją, lecz w końcu nas poparł.

Jakie jest wasze stanowisko w sprawie głośnego listu, w którym polscy filmowcy żądają odwołania dyrektora PISF?

M.SZ: – Nie mieliśmy możliwości podpisania go. Dymisji domagały się zarządy związków zrzeszających twórców. O istnieniu listu – jak większość środowiska – dowiedzieliśmy się, gdy został już opublikowany. Nie mam nic przeciwko podjętej w nim inicjatywie, chociaż uważam, że Śmigulski nie był złym dyrektorem PISF. Personalnych opinii, jakie krążą na jego temat, nie zamierzam komentować. Z mojej perspektywy powinno się go oceniać jako menedżera. Ponieważ wspierał filmy Holland i całej masy innych filmowców, w tym moje, nie mam powodów, by narzekać.

Czyli waszym zdaniem nie należy go wymieniać?

M.SZ: – Zależy na kogo. Polska kinematografia w ostatnich latach miała się dość dobrze. Mimo pewnej liczby tytułów… nazwijmy je patriotycznymi, byliśmy obecni w Cannes, Wenecji, Berlinie, mieliśmy oscarowe nominacje.

M.E.: – Pytanie, czy realizacji tych nieudanych filmów historycznych można było uniknąć. I czy w innej sytuacji powstałoby więcej ambitnych projektów. Może jakieś frycowe trzeba było jednak zapłacić.

O czym świadczy milczenie ministra kultury w sprawie Śmigulskiego?

M.E.: – Tak samo środowiska trans czekają na zatwierdzenie ustawy o uzgodnieniu płci, o której też decydenci nie mają wiele do powiedzenia. Tyle że w tym wypadku cisza trwa już dekady.

M.SZ.: – Niewątpliwie wraz z wygraną koalicji pewna epoka PISF się zamknęła. Zmiana na stanowisku dyrektora byłaby wskazana. Pytanie, czy ten, kto obejmie po Śmigulskim to stanowisko, będzie równie sprawnym menedżerem. Na razie dobrych kandydatów nie widzę, choć kibicuję, by szybko się znaleźli.

Odejście Jacka Bromskiego ze stanowiska szefa SFP was zaskoczyło?

M.SZ.: – Tak. Nikt się chyba tego nie spodziewał. Może był zmęczony. Albo – jak napisał w swoim oświadczeniu – miał dość pomówień. W ciągu 28 lat prezesury Bromski zrobił dużo dobrego dla filmowców, zbudował mocny związek ZAPA. Ale zmiany pokoleniowe są konieczne. Potrzebujemy nowego podejścia do festiwalu w Gdyni, do tematów powstających filmów. Muszą zniknąć bariery, żeby można było się spotkać.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI


© MARCELLO GASKA

Pop pomiędzy

PAWEŁ KLIMCZAK

Duet Coals jest zawieszony między pokoleniami, między popem a muzyką alternatywną, między światowością a polskością. I wie o młodej publiczności coś, czego inni nie wiedzą.

Rozmarzona muzyka pop duetu Coals trafia w sam środek wirtualno-realnego pogranicza. W końcu popularny sepiowy filtr, który znajdziemy na Instagramie, można też dojrzeć i w naturze – w złotej polskiej jesieni. A Coals mimo światowych ambicji wydają się bardzo tutejsi. Deklarują też, że są zilenialsami, czyli nie identyfikują się do końca z pokoleniem Z, ale też nie należą do milenialsów. Wokalistka i autorka tekstów Kacha Kowalczyk i siedzący za konsoletą Łukasz Rozmysłowski nie pamiętają czasów przed internetem, ale ich dorastanie nie przypadło jeszcze w całości na czasy mediów społecznościowych. To daje im wyjątkowe spojrzenie nie tylko na proces tworzenia muzyki, ale i sposób jej dystrybucji czy interakcję z publicznością.

Poznali się przez internet. A swój alternatywny pop o elektronicznym brzmieniu i z anglojęzycznymi tekstami zaczęli tworzyć nie w studiu, tylko w mieszkaniu mamy Łukasza. Kacha wstydziła się stawać za mikrofonem przy koledze z zespołu, a co dopiero w profesjonalnym otoczeniu. Śląsk dał im nazwę nawiązującą do surowca symbolizującego ich rodzinny region (Kacha pochodzi z Gliwic, Łukasz z Cieszyna). A efektem tych pierwszych spotkań był debiutancki album „Tamagotchi", wydany w 2017 r. Trafił w gusta publiki spragnionej melancholijnego popu, którego autorzy traktowaliby słuchaczy poważnie. Dziś to dojrzałe podejście do muzyki słychać na płycie „Sanatorium", tyle że powodów do zainteresowania duetem jest jeszcze więcej.

Czasy są eklektyczne

Najważniejsza zmiana to porzucenie języka angielskiego. Pierwszą zapowiedzią tego ruchu był minialbum „Klan", wydany w 2019 r. Już w tytule Coals sygnalizowali przywiązanie do rodzimej popkultury i uczucia swojskiego komfortu, z jakim kojarzy się kultowa telenowela. Polskie teksty wokalistki współgrały tu z nostalgicznymi brzmieniami producenta. W „Satynie" słyszymy: „Chodzę po ulicach, wtapiam wstyd/ W betonowym bluszczu lepiej mi". Kowalczyk ma talent do destylowania doświadczeń współczesności w sprytne frazy, często podszyte melancholią i rozczarowaniem tym, jak sztuczna jest materialna rzeczywistość.

Kolejny długogrający album Coals – „Docusoap" – pojawił się w 2020 r. i był powrotem do angielszczyzny. W tym czasie duet zbliżył się bardzo do polskiego rapu, nagrywał z gwiazdami tego nurtu, m.in. z Schafterem, Kubim Producentem czy Tymkiem. Członkom Coals udało się przebić za granicę. Wcześniej zagrali koncert dla renomowanej amerykańskiej rozgłośni radiowej KEXP, teraz trafił im się też wiralowy hit na instagramowej telenoweli… z Turcji. To pierwsze osiągnięcie przyniosło im występ na festiwalu Primavera w Barcelonie. Drugie na razie niczym konkretnym nie zaowocowało – na koncerty do Turcji, niestety, wciąż nie dojechali, chociaż bardzo by chcieli.

„Rewal", minialbum z 2022 r., to już Coals na najwyższych obrotach. Znajdziemy tu przebój „Miraż" z gościnnym udziałem supergwiazdy rapu Żabsona. Utwór pojawił się na youtube'owym kanale rapera Internaziomale, co jeszcze poszerzyło publiczność Coals – wysokie zasięgi raperów w czasach streamingu ciągną do góry innych. Rozmyty „Ganc Egal" doskonale uosabiał miejskie choroby cywilizacyjne. „Disneyland" był

[illegible] w intrygujący, mało oczywisty sposób. A wokół Coals wytworzyła się [illegible] oczekiwania.

[illegible] właśnie „Sanatorium” może [illegible] jako swoiste podsumowanie działalności, bo na płycie znajdziemy utwory z całej jego kariery. Tyle że poddane [illegible] ewolucji, jaką przeszedł sam [illegible], dziś już preferujący wspólną pracę w studio i przygotowujący nowe utwory [illegible]. – *Kiedyś nie pisałam do szuflady, nie mieliśmy nadwyżki piosenek. Na nową płytę nagraliśmy dużo demówek* – mówi Kacha Kowalczyk. – *Kiedyś brakowało nam pewności siebie, po tylu latach potrafiliśmy porzucać piosenki, [illegible] sami zmęczeni.*

Kowalczyk mówi, że czasy są eklektyczne. A wydawnictwa popowe – bardzo różnorodne. To tylko ułatwia nieskrępowane podejście do muzyki. Na nowej płycie – w „Kurorcie” i „Wuju” – słychać [illegible] choćby charakterystyczną, bujającą rytmikę popularnego dziś latynoskiego reggaetonu, ale znów zderzoną z elementem lokalnym, dobrze rozpoznawalnym brzmieniową paletą, jakiej nie powstydziłaby się Edyta Bartosiewicz. Z kolei [illegible] utwór „Veronica 2” to nawiązanie do początków zespołu, bo Łukasz Rozmysłowski zaczynał od nagrywania muzyki ambient. – *Pomysł zrobienia całej płyty w takim stylu chodzi za nami od dawna* – deklaruje.

Nie gryźć się w ucho

Na „Sanatorium” słychać więcej gitary, często opakowanej w alternatywno-rockowe brzmienia z lat 90. poprzedniego wieku. – *Gitara wraca jak bumerang, czasami jest blisko, czasami o niej zapominam. Wracam do kawałków, od których zaczynałem swoją muzyczną drogę. Jestem zafascynowany prostym instrumentarium* – opowiada Rozmysłowski, który potrzebował odskoczni od codziennej pracy przy nagraniach hiphopowych w roli inżyniera dźwięku i realizatora. – *Głowa mi się „przesmażyła” przez brzmienia [illegible]. Za to wymyślanie przewodnich [illegible] na gitarze przychodzi mi łatwo.*

Przed fascynacją Bobem Dylanem – szczególnie jego surowymi nagraniami z koncertów – była w jego życiu inna: gra „Guitar Hero”, którą dostał od mamy [illegible] pod choinkę. To symulator gitarzysty z plastikowym emulatorem instrumentu w komplecie. Niedługo potem Łukasz kupił sobie prawdziwą gitarę elektryczną i zaczął się na niej uczyć kawałków z gry. W Coals mimo nowoczesnej, elektronicznej konwencji ten instrument wciąż odgrywa ważną rolę.

– *Z gitary powstałem, w gitarę się obrócę* – mówi Łukasz. – *Wcześniej stawialiśmy na pokręcone partie rytmiczne, obecnie mamy zwrot ku prostocie.*

Z kolei Kacha Kowalczyk po przejściu z języka angielskiego na polski stała się jedną z najbardziej oryginalnych autorek tekstów na rodzimej scenie muzycznej. Potrafi utrzymać delikatny balans między potocznością a oniryczną frazą. Na „Sanatorium” balansujących na tym pograniczu tekstów znajdziemy dużo, choćby prosty fragment „W południe”: „Sama jak palec w szemranym mieście”.

Teksty Kowalczyk są też mocno zainspirowane duchologią, czyli strategią antropologiczną kładącą nacisk na badanie codzienności i jej artefaktów, które na co dzień bywają odbierane jako śmieci. W Polsce znaną m.in. dzięki Oldze Drendzie, eseistce i autorce książki „Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w czasach transformacji”.

Słychać tę fascynację na najnowszej płycie. Choćby w utworze „Plaza”: „Siedzę w Plazie nim zburzą/ Nade mną z plastiku smok”. Rzecz dotyczy konkretnego obiektu – krakowskiej galerii handlowej Plaza, przeznaczonej do rozbiórki po ponad 20 latach użytkowania. – *Bardzo lubię Olgę Drendę, i prywatnie, i literacko, nigdy nie nudzi mnie to, co ona pisze. Obie jesteśmy w spektrum i mamy bardzo wizualne podejście do języka* – mówi Kacha. Dodaje od razu, że kiedy pisze, myśli obrazami. Otwarcie przyznaje się też do kompleksów na tle tworzenia tekstów piosenek, które przezwyciężyła dopiero dzięki słuchaniu rapu. Nie tylko zainspirował ją do bardziej skomplikowanych form, ale również otworzył na nietypowe zwroty. – *Nie lubię gryźć się w język. Lubię „odklejone” projekty, baśniowość w muzyce.*

Łukasz deklaruje, że tak jak Kacha nie gryzie się w język, tak on nie gryzie się w ucho. Muzyka Coals służy mu do zamknięcia w solidną formę wszystkich fascynacji muzycznych.

Promocja osobliwości

– *Kiedy jeździmy na koncerty, lubimy tworzyć fikcyjne scenariusze ze znanymi osobami w rolach głównych, wtedy wjeżdża internetowy humor* – opowiada Kacha Kowalczyk. I trudno mówić o Coals bez odnotowania ich związków z kulturą internetową. Kacha mówi, że wkłada w media społecznościowe tak dużo pracy, że ma to negatywny wpływ na jej psychikę. Z drugiej strony – od kiedy odważniej pokazuje w nich swoją osobowość, zespołowi przybywa fanów. – *Promocja robiona przez kogoś innego – agencje, wytwórnie – nie działa tak skutecznie jak działania prowadzone przez artystę na własną rękę* – mówi. – *Lubię to, ale wolałabym robić to rzadziej, choćby publikować raz na dwa tygodnie. Niestety, bezwzględne algorytmy wymuszają regularność.*

Wokalistka Coals siedzi w internecie od dziecka i mówi o nim jako o swoim środowisku naturalnym. W podstawówce działała w blogosferze, brała udział w konkursach blogowych na Onecie. Potem przyszedł serwis DeviantArt – społeczność dla artystów – a wreszcie Twitter. Teraz śmieje się, że przez dziesięć lat tworzyła muzykę tylko po to, żeby ostatecznie zostać tiktokerką. Bo filmy z nią w roli głównej cieszą się na TikToku znaczącą popularnością. – *Jako osoba, która się trochę wybiła w tym serwisie, powiem szczerze, że jakieś restrykcje by się tam przydały* – komentuje.

W tych internetowych działaniach Coals widać właśnie perspektywę zilenialsów, przejściowego pokolenia. Widzą jasne i ciemne strony cyfrowego świata. – *Musisz sobie „nafarmić” fanów, żeby wytwórnia pozwoliła ci puścić singiel. Wszystko dyktuje algorytm, a ostatecznie stoją za tym wielkie korporacje, które chcą zarobić na kontencie* – zauważa Rozmysłowski, który na początku kariery mocno udzielał się w sieci, ale zmęczyła go ciągła presja angażowania. – *Jestem wciągnięty w media społecznościowe, ale staram się stawiać granice.*

Nieprzyjemna strona mediów społecznościowych to dla nich wystawianie się na ciągłą ocenę, zwracanie uwagi na lajki, zasięgi. A odchodzenie od tradycyjnych mediów muzycznych na rzecz podpowiadającego nową muzykę algorytmu jest dla Coals niepokojącym zjawiskiem.

Z drugiej strony kontakt z fanami i fankami dla takiej grupy jak oni pozostaje kluczowy. – *To zazwyczaj są wrażliwe słodziaki, ludzie podobni do nas. Robią nawet muzykę zainspirowani naszą twórczością* – komentuje Rozmysłowski. A Hubert, jedyny gość pojawiający się na „Sanatorium”, jest zresztą ilustracją tego zjawiska – to właśnie taki przypadek muzykującego fana duetu. Kacha zbiera tymczasem od fanów i fanek prośby o nagrania kolejnych internetowych coverów piosenek w mediach społecznościowych. Obecnie domagają się rozbudowanej wersji „Bataliji”, najbardziej imprezowego utworu z „Sanatorium”. Coals deklarują, że spełnią tę prośbę z nawiązką. Jak na zespół zawieszony między snem a jawą mają zadziwiająco duży kontakt z rzeczywistością. ■

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Leszek Lichota, wcielający się w postać opartą na życiorysie Melchiora Wańkowicza w filmie „Czerwone maki", wyjawił w TVN, że na planie mieli cztery czołgi M4 Sherman, z czego jeden zrobiony przez scenografów z drewna. Obejrzałem film. Drewna starczyło też na dialogi.

Szok i niedowierzanie. Ola Ciupa i Jakub „Kubańczyk" Flas rozstali się. Podobno głównym powodem był nałóg. To wielka strata dla polskiej kultury. Szczególnie na odcinku bikini, topless, nagość zakryta.

W podkaście Onetu słynny kierowca rajdowy Sobiesław Zasada wyznał, że trasę Warszawa–Kraków potrafił pokonać w 1 godz. 32 min. To oczywiste. Jak wszystko jest pod kontrolą, to znaczy, że jedziesz zbyt wolno.

Kolejny sukces Filipa Chajzera. Dziennikarzowi wreszcie udało się otworzyć swój własny Kreuzberg Kebab w Warszawie. Brawo. Kebab przypomina mi trochę karierę Filipa. To, że upchasz tam wiele rzeczy, nie sprawia, że ma to sens.

Zmiany także u Michała Milowicza. Aktor pochwalił się na Instagramie swymi (???) nowymi zębami o intensywnym kolorze porcelanowego sanitariatu. Michał dalej może nosić koronę Elvisa. I to niejedną.

Wielki powrót Marka Sierockiego do TVP, której nigdy nie opuścił, okazał się wielkim sukcesem. Jego nowy program „To jest grane" ogląda średnio 175 tys. widzów. Jak widać, nudną telewizję łatwiej jest zrobić niż złą.

TVP rozstało się z Aleksandrem Sikorą, jednym z ulubionych prezenterów czasów Jacka Kurskiego. Ciekawy przypadek człowieka przezroczystego. O takich mawia się: Nie chce być najjaśniejszą kwarcówką w solarium.

Mamy kolejny polski rekord na Spotify. Utwór rapera White 2115 zatytułowany „California" odnotował właśnie ponad 100 mln odtworzeń. Cieszę się, że nie tylko ja muszę posłuchać parę razy, żeby zrozumieć.

Aktor Sebastian Fabijański wyznał w TVN, że zakończył etap swoich walk w Fame MMA, gdyż „był to spektakl, happening i generalnie teatr". Trwa ustalanie, czy bardziej Teatr Komedia czy Scena Buffo.



© KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

Piotr „Liroy" Marzec, próbując wrócić do polityki, wystartował w wyborach samorządowych w Gdańsku jako jedynka na liście komitetu Samorządne Pomorze. To dotychczas jego jedyne pierwsze miejsce w czymkolwiek.

Była prowadząca „Dzień Dobry TVN" Małgorzata Ohme rozpoczęła sprzedaż kursów psychologicznych online: „Sztuka Wolności. Przebudzenie + Obfitość". Cena: prawie 700 zł. Chętnie posłucham, jak osoba zwolniona z pracy naucza o zawodowym sukcesie.

Koncerty w TVP2 pt. „Muzyka na dobry wieczór" ogląda średnio 350 tys. widzów. Autorką scenariusza i reżyserką jest Beata Szymańska-Masny. Warto zapamiętać to nazwisko. Jeśli w trakcie programu na studio spadłaby bomba, stracilibyśmy bombę.

Gwiazda pisowskiego TVP Info Monika Borkowska, prowadząca program „Jak oni kłamią?", pożegnała się z pracą. „Opuściłam tego Titanica" – napisała na platformie X. Ewidentnie zna temat. Też była blisko dna.

Mateusz Szymkowiak, cudownie elastyczne dziecko TVP, zniknął na jakiś czas, podobno z powodu tajemniczego zabiegu. Teraz wraca do „Pytania na śniadanie", gdyż zabieg zakończył się sukcesem. Teraz Mateuszowi nowa władza też się podoba.

Znany głównie z rubryk kryminalnych Daniel Martyniuk, syn Zenona, wziął drugi ślub z tą samą żoną. Na weselu wystąpił tata Zenek ze swym repertuarem. Jak widać, przemoc w rodzinie niejedno ma imię.

Agnieszka Woźniak-Starak ma dołączyć do prowadzących „Onet Rano". Ciekawe wyzwanie. Jak oglądam Agnieszkę w „Mam Talent!", przypominają mi się słowa Charlesa Bukowskiego: „To nie jest tak, że ja nienawidzę ludzi. Po prostu wolę, kiedy nie ma ich w pobliżu".

Krzysztof Rutkowski w lany poniedziałek wraz z rodziną nie polewali się wodą, tylko wylewali na siebie kosztowne perfumy. „Ja nie mam się czego wstydzić, że jestem milionerem" – wyznał detektyw. Sądząc po jego ostatnich zdjęciach, była to lakierobejca. Ciemny orzech.

Chutnik





Plebanek

Głos dzieci i ryb

„Widać, że nie czytasz ze zrozumieniem" – ten komentarz (hit awantur internetowych) ma rangę obelgi, bo słyszeliśmy go w szkole, padał z ust kadry nauczycielskiej. Nie najlepszej kadry, trzeba dodać, skoro używała zwrotu z rejestru biernej agresji, w dodatku stylistycznie podejrzanego. Sformułowanie „czytanie ze zrozumieniem" to brzydki dziwoląg, który wdarł się do opracowań pedagogicznych, choć czasownik „czytać" zakłada nie tylko składanie liter, ale i ogarnianie sensu wypowiedzi pisemnej. „Czytać – śledząc wzrokiem napisane lub wydrukowane litery, zapoznawać się z treścią tego, co jest napisane lub wydrukowane. Mieć umiejętność odbioru tekstu pisanego" (Słownik Języka Polskiego PWN). Inne czynności w obrębie tego procesu mają swoje nazwy, takie jak umiejętność rozszyfrowania znaków, układanie ich w słowa i zdania czy wymawianie.

Besztanie kogoś, że czyta bez zrozumienia, świadczy nie tylko o szczególnym pojmowaniu procesu czytania, ale przede wszystkim służy konkretnemu celowi – ustaleniu hierarchii. Nauczyciel feruje wyroki, a uczeń ma położyć uszy po sobie. Ten schemat odtwarza się potem w dorosłym życiu, gdy chce się komuś dopiec.

Podobnie rzecz się ma z reformami szkolnymi. Prezent z „braku prac domowych" jest ładny, ale czy ktoś zapytał uczniów i uczennice, co by ich uszczęśliwiło? Z naszych rozmów z młodymi ludźmi wynika, że chodzi im po głowach inny postulat: chcieliby się mianowicie wyspać z rana. Tego domaga się ich rosnący organizm, który potrzebuje snu, co potwierdzają liczne badania naukowe.

Tymczasem system szkolny, który powstał w XIX w., by produkować posłusznych i dobrze zsocjalizowanych funkcjonariuszy państwa, wciąż stawia na dryl. Pobudka o szóstej, lekcje od ósmej, po nich zajęcia dodatkowe. Gonitwa i wyścig. „Możesz wyjść na dwór, jak odrobisz lekcje", kto nie słyszał tego od rodziców, ten chyba nie chodził do szkoły. We współczesnej formie zabawę na podwórku zastępuje granie na komputerze, ale najważniejszym elementem edukacji wciąż pozostaje ślęczenie przy biurku i wkuwanie. Bez ruchu, dodajmy. Dzieci zastygają jak gekony i nabawiają się skoliozy.

W Polsce od kwietnia weszła w życie nowelizacja przepisów o nieobowiązkowych pracach domowych. W młodszych klasach nie ma praktyczno-technicznych i pisemnych prac, z wyłączeniem ćwiczeń „usprawniających motorykę małą", czyli pomagających w pisaniu. Starszym rocznikom podstawówki można zadać pracę domową, ale nie będzie ona obowiązkowa ani poddawana ocenie.

Te nowości mogą być wstępem do dyskusji o tym, czy edukacja musi wiązać się z monstrualnym znojem. Związek Nauczycielstwa Polskiego przekonuje, że domowe odrabianie lekcji pomaga uczniom przygotowywać się do egzaminów, ucząc ich samodyscypliny, zarządzania czasem i umiejętności samodzielnego myślenia. Przedstawiciele organizacji zrzeszających rodziców podkreślają, że grozi nam spadek poziomu nauczania. Zdania uczniów i uczennic nie znamy, bo nikt nie wpadł na to, by włączyć ich do rozważań. Z braku ich głosu zaglądamy do raportu Fundacji Inspiring Girls Polska, z którego wynika, że 48 proc. dziewczynek w wieku od 10 do 15 lat chce w przyszłości zostać influencerkami i youtuberkami, a 21 proc. wybrałoby zawód graficzki lub projektantki stron WWW. Czym chcieliby się zająć chłopcy, ich rówieśnicy?

Tymczasem w Afganistanie rozpoczyna się trzeci z rzędu rok szkolny, odkąd dziewczętom zakazano edukacji po ukończeniu szóstej klasy. Dekrety talibów zamknęły drogę do wiedzy i ograniczyły prawa człowieka ponad milionowi kobiet i dziewcząt (dane agencji ONZ ds. dzieci). Z kolei organizacja Human Rights Watch zwraca uwagę na krzywdę, jaką polityka talibów wyrządza chłopcom. Wzrost kar cielesnych doprowadził do spadku frekwencji w szkołach. Nic dziwnego, kto nie boi się bicia.

W Afganistanie nauczycielkom nie wolno uczyć chłopców, a kobiety i dziewczęta są wykluczone z udziału we wszystkich obszarach życia publicznego. Ministerstwo edukacji zorganizowało ceremonię rozpoczęcia roku akademickiego, w której nie mogły uczestniczyć dziennikarki, co wytłumaczono brakiem miejsca na sali. Pod każdą szerokością geograficzną szkoła jest kwestią polityczną. Trawestując: „niewinna edukacja nie istnieje", a za zmianami zawsze stoi światopogląd. Pamiętamy Romana Giertycha jako ministra edukacji, mundurki i wycofanie Gombrowicza z lektur szkolnych. A homofobiczny Przemysław Czarnek i jeden z jego poprzedników, Ryszard Legutko?

W krajach, które szczycą się wielokulturowością, a na ulicach słychać wiele języków, na szkole spoczywa szczególnie ważne zadanie. To z niej ludzie wyjdą z wiarą w to, że są tu na swoim miejscu. Albo odwrotnie – opuszczą ją naznaczeni traumą rasizmu i dyskryminacji. W Belgii edukacja bywa nieznośnie tradycyjna, ale coraz więcej szkół stawia na otwartość i mogą stanowić przykład nowoczesnego podejścia do nauczania. We Francji trafiają się jaskółki myślenia w duchu XXI w., jak wprowadzenie do tysiąca szkół zajęć z empatii po to, by młodzi ludzie, dorastający w czasach ruchów #MeToo czy #BlackLivesMatter mieli narzędzia do wyrażania uczuć. Podejście to stoi w opozycji do zeszłowiecznego wymogu wszechobecnej hierarchii, co jest szczególnie ważne dziś, gdy wojenne konflikty zagrażają równości i demokracji.

Jakich reform życzyliby sobie młodzi ludzie? Szkoda, że nie słucha się bezpośrednio zainteresowanych, po raz kolejny pokazując, że niezależnie od podejścia do edukacji „dzieci i ryby głosu nie mają".

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

[FELIETON]

Wicha



Drobna sprawa

Ostatnio musiałem załatwić pewną drobną sprawę w urzędzie gminy. Ach! Ostatnio!... Ach! Drobną!... Drobna to ona się wydawała półtora roku temu. Może jeszcze rok temu uważałem, że jest to sprawa mikra, niepokaźna, pozbawiona wagi. Wkrótce jednak podrosła, nabrała tuszy i rozciągnęła się w czasie.

Drobna sprawa przypomniała mi – niewątpliwie apokryficzną – historię z czasów transformacji. W tych odległych latach pewien człowiek wybrał się na targowisko. W każdym miasteczku był wtedy bazar, gdzie kupowało się od Ruskich (zbiorcze określenie, które mogło oznaczać zarówno Jakutów, Gruzinów, jak i Tadżyków). Pół wieku wcześniej płynęły na wschód wojenne trofea. Teraz wracały produkty radzieckiego przemysłu. Był to antyszaber. Refluks epoki.

Imperium właśnie się rozpadło. Odłamki zasypały targowiska. Brodziliśmy wśród widelców, koszyczków na szklanki, portretów przywódców, blaszanych zabawek, papierosów Biełomor, mundurów. Pod nogami chrzęściły medale. Nabywcy lubili wierzyć, że kupują fragmenty splądrowanych wyrzutni rakietowych i hydroelektrowni. Majsterkowicze uważali, że dostają podroby łodzi podwodnych i czołgów. Może się nie mylili.

Wiem, że to dygresja w dygresji. Tematem felietonu jest – przypomnę – drobna sprawa urzędowa. Ale tak miło dziś wspomnieć! Zwłaszcza że imperium szybko się pozbierało. Zamiast zepsutych zapalniczek wysyła sprawne rakiety, narusza naszą przestrzeń powietrzną i spokój snów. Jednak ten, kto przeżył lata 90., zawsze już będzie pamiętał, że imperia bywają kruche. Mało trzeba, żeby zamieniły się w stertę śmieci.

•

Otóż w tamtych odległych latach pewien człowiek wybrał się na rynek. Przyszedł późno. Kupcy pakowali towar do swoich toreb utkanych z ceratowych włókien. W tekturowym pudełku coś popiskiwało. Facet zajrzał i zobaczył szczeniaka (oczka guziczki, łzawe spojrzenie itp.). Pokolenie wychowane na filmie o Szariku miało słabość do zwierząt o syberyjskim pochodzeniu. Facet kupił psinę za bezcen i zabrał do domu. (Bezcen był zaletą tamtych transakcji).

Pies okazał się dość kłopotliwy. Pochłaniał wielkie ilości surowego mięsa. Szybko rósł, tył, ogromniał. Jednak dopiero kiedy pożarł swojego właściciela, prawda wyszła na jaw. Nie był to wcale szczeniak owczarka, tylko młody niedźwiedź brunatny. Podobnie rzecz się miała z naszą drobną sprawą urzędową.

•

Chociaż nie. Sprawa nie pożerała w całości. Raczej oplatała niczym jadowite pnącze. Płożyła się. Pięła. Wypuszczała pędy, pęta i akta. Sięgała po nowe zaświadczenia i pieczątki, a z każdego podania wysnuwała kolejne wątki i wnioski.

Tygodnie płynęły w rytmie ustawowych terminów. Sprawa zdominowała życie naszej rodziny. Wypełniała myśli. Stawała się tematem rozmów. Spotykając się z przyjaciółmi, naświetlaliśmy ostatnie wiraże sprawy. Dzieliliśmy się nabytą wiedzą na temat urzędowych procedur. Nic dziwnego, że znajomi zaczęli nas unikać. Tylko drobna sprawa pozostała wierna. Pisała listy, dzwoniła, wzywała do uzupełnienia lub usunięcia. Łaknęła kolejnych dokumentów. Potrafiła zaskoczyć nagłym zwrotem akcji. Raz po raz zmieniały się przepisy, wychodziły nowe rozporządzenia i załączniki do rozporządzeń.

O urzędnikach złego słowa nie powiem. Starali się być pomocni. Pomagali nam żyć z naszą przewlekłą sprawą. Radzili, jak ją trzymać w ryzach, jak lekko popychać do przodu. Czasem konfidencjonalnym szeptem przekazywali istotne wskazówki. – Nie mogę nic sugerować, ale proszę spojrzeć na punkt 11 b. – Dodawali otuchy, uspokajali lub radzili się pospieszyć.

•

Wszystko na nic. Sprawa szła jak po grudzie. A im dłużej trwała, tym częściej z urzędowych odmętów wypływało nazwisko pana N-skiego. To on zajmował się naszą drobną sprawą. Trzymał ją w garści. Czasem próbowała się wyswobodzić, ale zawsze do niego wracała.

A pan N-ski nie lubił naszej sprawy. Nawet nie udawał, że o nią dba. Na długie tygodnie zapominał o obowiązkach. Gubił dokumenty. Irytowały go wszelkie wzmianki i nalegania. Mówił „mnie się nie spieszy". W rozmowie bywał opryskliwy.

– Może to przewrażliwienie – myślałem. – Może pan N-ski rozmawia ze mną jak ze starym druhem, wobec którego nie trzeba się już silić na formy grzecznościowe. Tak sobie kumpelsko gwarzymy – próbowałem się pocieszyć. – Gorzej, jeśli pozwala sobie na te grubiaństwa z pozycji władzy i siły. Co wtedy? Puszczać mimo uszu? Odpowiadać tym samym? Unieść się godnością? Tyle już razy sobie zaszkodziłem przystępami godnościowej opuchlizny. Gorzej, że tym razem mógłbym zaszkodzić sprawie.

•

Lody zeszły, zboża wstały. Mimo przeszkód sprawa miała się ku końcowi. Któregoś dnia rozmawiałem o niej z obywatelem naszego miasta. Był to człowiek doświadczony, który nie takie sprawy przepychał już w miejscowych urzędach. – Ach! Ten N-ski – pokiwał ze zrozumieniem – Niezły z niego łeser! Nie dziwota, że tyle trwało. Znam człowieka od trzydziestu lat – dodał. – Ale powiem panu, że za młodu starał się bardziej. Trudno uwierzyć, ale wszystko załatwiał w terminie.

Więc oto czego mnie nauczyła drobna sprawa: najgorzej trafić na urzędnika, który osiągnął idealny work-life balance.

MARCIN WICHA

bogie istoty



Nie wiem, co ma studiować mój siostrzeniec – zatrzymała mnie sąsiadka w progu naszej kamienicy.

– A co lubi robić?

– Grać na komputerze i jeździć na rowerze – odpowiedziała, nadal nie robiąc mi miejsca.

– A czego w szkole najbardziej nie lubi? – ciągnąłem w nadziei, że się przesunie.

– Matematyki i czytania lektur – odparła niewzruszona.

– No to nie mam dla pani dobrych wieści. Bez względu na to, co wybierze, a nawet jeśli nie wybierze żadnych studiów – przybrałem profesorski ton – akurat tych dwu rzeczy powinien się uczyć: rozmawiać z ludźmi i liczyć.

O dziwo, usunęła się bez słowa i mogłem wejść.

Spóźniony i podekscytowany, a wkrótce z minuty na minutę coraz bardziej rozdrażniony, oglądałem „Biedne istoty" Jorgosa Lantimosa. W tej błyskotliwie wystylizowanej, ponurej grotesce opowiada się historię drugiego życia Belli Baxter, która będąc w zaawansowanej ciąży, popełnia samobójstwo. Ożywiona przez spadkobiercę doktora Frankensteina otrzymuje nowy mózg, który należał do jej nienarodzonego dziecka. W ten sposób ciało dorosłej kobiety, nieskrępowane umysłem wytresowanym przez wiktoriańskie wychowanie, może wreszcie żądać życia według zasady przyjemności. Bella uwalnia się więc od swego wskrzesiciela, aby poznawać świat, co sprowadza się przede wszystkim do odkrywania własnej seksualności.

Nawet fenomenalna gra Emmy Stone nie była w stanie powstrzymać narastającego we mnie zadziwienia, że ta staroświecka, męska, seksistowska fantazja o „kobiecie wyzwolonej" mogła zostać przyjęta tak entuzjastycznie, jak świat długi i szeroki. Nie wierzyłem własnym oczom, że po #MeToo można zaproponować równie bezczelną wizję upodmiotowienia kobiety. Toż to fabuła przepisana wprost z pism Otto Weiningera. Ten wiedeński psychotyk samobójca, autor mizoginistycznego bestsellera „Płeć i charakter", twierdził, że „psychologia kobieca stanowi rozdział, który się do psychologii ogólnej nie inaczej doczepia jak psychologię dziecka". Jedynym celem istnienia kobiety zaś jest wyjawiona ludzkości przez Weiningera chęć „spółkowania". Bowiem „spółkowanie jest jedyną sprawą, której kobieta przypisuje wszędzie i zawsze wyłącznie pozytywną wartość". Co za tym idzie, kobiecie nic innego w świecie nie zaprząta uwagi. „Gdy więc jest całkowicie wypełniona i pochłonięta płciowością, mężczyznę zajmuje jeszcze tuzin innych spraw: walka i gra, życie towarzyskie i biesiady, dyskusje i nauka, interesy i polityka, religia i sztuka" (przeł. O. Ortwin).

Oczywiście nie trzeba koniecznie pamiętać antykobiecej ramoty sprzed stu lat. Ale nie powinno się przeoczyć, że „Biedne istoty" to po „Barbie" kolejny film, który w przepychu stylistycznym chce upchnąć szczątkowy feministyczny przekaz, urągający pracy pokoleń kobiet i mężczyzn walczących o prawa kobiet.

Najpoważniejszym zaniedbaniem w tej historii są pieniądze i polityka. Bella jest przede wszystkim istotą ubogą, wykluczoną politycznie i ekonomicznie. Jej wyzwolenie seksualne – bez równouprawnienia – prowadzi do pracy w domu publicznym, jak robiło to tysiące kobiet w jej sytuacji. W filmie pieniądze mają wyłącznie mężczyźni i tylko od nich Bella może je dostać. Jest „dzieckiem" nie dlatego, że ma nierozwinięty mózg, ale ponieważ nie umie poprawnie mówić oraz nie rozumie, jak powstają bogactwo i bieda ludzkich istot.

Dobra edukacja Belli Baxter powinna być taka sama, jakiej chciałbym dla polskich dzieci i młodzieży. Uczmy się zabierać głos publicznie w sprawach swoich i w sprawach innych – zrozumiale i przekonująco. Pomaga w tym czytanie literatury i rozmowa o tym, co przeczytaliśmy. Po drugie, należy wiedzieć, skąd biorą się pieniądze i jak są dzielone w świecie. Do tego przydaje się matematyka jako fundament ekonomii domowej i politycznej.

Podczas jednej lekcji języka polskiego można naprawić błędy Lantimosa. Na podobny problem polityczno-ekonomicznej niepełnosprawności cierpi nasza Bella, czyli Izabela Łęcka. Wolności osobistej szuka w seksie ze Starskim, polityczną potrafi zaś osiągnąć „tylko za pomocą dwóch skrzydeł: urodzenia i majątku" („Lalka"). Dopiero kiedy ojciec jest na granicy bankructwa, a biznesmen Wokulski może ją kupić, Izabela przechodzi przyspieszoną edukację na temat kapitalizmu, który brutalnie niweluje różnice urodzenia. Prus nie potrafił z tego wybrnąć, dlatego wybrał zakończenie melodramatyczne – wysadził Wokulskiego w powietrze, a Izabeli kazał pokutować w klasztorze. To najsłabsze posunięcia w tej wielkiej powieści.

Niemniej nie spieszmy się z krytyką Prusa. Lantimos zostawia nas z pustą zapowiedzią, że jego bohaterka zostanie chirurżką. Choć od czasu akcji filmu minęło ponad sto lat, w Wielkiej Brytanii kobiety uzyskujące specjalizację z chirurgii stanowią dziś 20 proc. osób rozpoczynających szkolenie; we Francji jest to niespełna 18 proc., a w Niemczech niewiele ponad 7 proc.

Statystyka nie wyczerpuje problemu. Doktor Magdalena Wyrzykowska – chirurżka, członkini zarządu fundacji Kobiety w Chirurgii – jasno dałaby Belli do zrozumienia, z czym przyjdzie jej się zmagać, kiedy już skończy studia i rozpocznie pracę: „Stosunek do chirurżek jest prześmiewczo-pobłażliwy. Kobiety są traktowane jak maskotki oddziałowe, osoby do pomocy. Zajmują się w dużej mierze pracami sekretarskimi, związanymi z organizacją pracy. Do naszej fundacji przyszedł kiedyś list, którego autorka opisała sytuację, w jakiej postawił ją szef. Usłyszała, że ma pracować w poradni, bo kobieta nie jest od operowania".

RYSZARD KOZIOŁEK



kulturze cyfrowej i nie tylko

Serdecznie zapraszamy na tegoroczny Mixer Media Festival, który odbędzie się w dniach 11–14 kwietnia w Warszawie. Mixer Media Festival to to, co najlepsze w światowym i europejskim dziennikarstwie, wydarzenie stworzone z myślą o dziennikarzach, artystach i wszystkich osobach, które cenią opowieści o świecie. W programie dyskusje, prezentacje, performansy, instalacje i warsztaty. Festiwal skupi się na dwóch głównych zagadnieniach: wpływie sztucznej inteligencji na dziennikarstwo oraz przecięciu sztuki i mediów. Nie zabraknie również dyskusji o bieżących tematach politycznych, które rozgrzewają międzynarodową debatę publiczną.

Głównym miejscem spotkań będzie Klub Outriders (ul. Rokosowska 8 w Warszawie), ale w piątek 12 kwietnia wyjątkowo zapraszamy na festiwalowe wydarzenia do redakcji POLITYKI przy ul. Słupeckiej 6 w Warszawie (sala multimedialna). W szczególności polecamy panel „Kultura cyfrowa: czy jest taki dział w mediach i jak o niej pisać?". Spotkanie rozpocznie się o godz. 12.00 i poprowadzi je red. Bartek Chaciński, a towarzyszyć mu będą Agnieszka Słodownik, Paweł Schreiber i Olaf Szewczyk. Panel będzie w języku angielskim.

Udział w Festiwalu jest biletowany. Po więcej informacji zapraszamy na stronę: **mixer.media/festival/2024**

REDAKCJA

Umykający Beatlesi



W numerze 13 POLITYKI, którą regularnie czytam, ukazał się tekst prof. Jerzego Kowalskiego-Glikmana „Umykające kwarki", w którym autor usiłował podjąć nowatorską próbę połączenia fizyki cząstek elementarnych z beatlemanią. Na tej pierwszej nie znam się w ogóle, na tej drugiej – bardzo dobrze. Kilka sprostowań.

„Please Please Me" była pierwszą płytą, która „wspięła się na szczyt albumów płytowych", lecz nie na 30 tygodni – jak pisze autor – ale na 70. Pomijając już fakt, że wcześniej wydali parę przebojowych singli: „Love Me Do" z 1962 r., „Please Please Me", „From Me To You" (miejsce 1.) czy „My Bonnie" , „She Loves You" (miejsce 1.), „I Want to Hold Your Hand" (miejsce 1.) – wszystkie z 1963 r. O tym, że autor nie dostrzegł The Rolling Stones oraz innych grup tzw. British Invasion z lat 60., już nie wspomnę. I jak można było nie zauważyć Hendrixa i jego pierwszego albumu „Are You Experienced" z 1967 r.? Kupiłem go wtedy w Anglii i brałem w szkole po 2 zł za dotknięcie okładki.

Inne kuriozalne stwierdzenie autora: „The Beatles zaczęli się stawać powoli dinozaurami" – polecam zatem książkę „British Hit Singles And Albums" (managing director David Roberts) i zobaczyć, jak te dinozaury radziły sobie po rozpadzie grupy, zwłaszcza Paul i George. Paul nawet był w miejscu zamieszkania dinozaura W Krakowie.

Wniosek: Trzeba raczej zostać przy umykających kwarkach i gonić je albo znać odpowiedź na egzystencjalne pytanie: jak się nazywał pierwszy perkusista The (Silver) Beatles i kto umarł jako pierwszy Beatle? Dla ułatwienia podaję jego imię: Stuart.

PROF. DR HAB. MAREK STYCZYŃSKI



Umykające kwarki

Od autora:

Bardzo dziękuję za uwagi do mojego tekstu o historii kwarków. Moje osobiste refleksje na temat równoległej ewolucji muzyki rockowej wplotłem weń, bo wierzę, że wielkie odkrycia nie powstają w próżni, są częścią kulturowego ducha czasu.

A co do zarzutów. 30 tygodni pozostawania przez pierwszy album Beatlesów na szczycie list podaję za stroną www.officialcharts.com, na którą powołuje się Wikipedia.

Dalej. Nie napisałem o wielu innych wykonawcach, bo po prostu nie o nich jest tekst. Gdybym pisał o muzyce, pewnie bym o nich wspomniał.

Będę bronić jednak mojej subiektywnej oceny, że pod koniec lat 60. Beatlesi byli już dinozaurami. Rolę wizjonerów przejęli wtedy inni muzycy. Co nie zmienia oczywiście faktu, że George, John i Paul wciąż byli gwiazdami, ale to już nie była ta liga, której przewodzili kilka lat wcześniej.

PROF. DR HAB. JERZY KOWALSKI-GLIKMAN

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

Wydawca POLITYKA Spółka z o.o. SKA
Adres: ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
tel./faks 22 451-61-35
Serwis internetowy www.polityka.pl
Poczta elektroniczna polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Joanna Solska, Mariusz Janicki, Wiesław Władyka

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*, Witold Pawłowski, Bartek Chaciński, Łukasz Lipiński *(wydania cyfrowe)*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*, Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

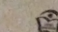
PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

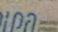
PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad







PRINTED IN POLAND

Edukacja to nie wyścigi

Uczymy się i rozwijamy każdy w swoim tempie, tymczasem szkoła nie bierze tego pod uwagę i traktuje dzieci tak, jakby były końmi biorącymi udział w Wielkiej Pardubickiej.



RELACJE

W 2023 r. najmłodszym czarnoskórym profesorem Uniwersytetu Cambridge został 37-letni Jason Arday. I być może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że u Ardaya – dorastającego w południowym Londynie – w wieku trzech lat zdiagnozowano spektrum autyzmu. Ze względu na szereg cech neurorozwojowych nauczył się mówić dopiero, gdy miał 11 lat, a czytać w wieku lat 18. Wszystko to nie przeszkodziło mu jednak zostać profesorem na jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów świata, na którym zajmuje się badaniami podejmującymi tematy edukacji, zdrowia psychicznego oraz dyskryminacji rasowej.

Historia ta jest być może najdobitniejszym dowodem na to, że każdy z nas uczy się i rozwija w swoim tempie. Sir Ken Robinson w słynnym przemówieniu „Szkoły zabijają kreatywność", wygłoszonym w ramach TED Talks, stwierdził, że w edukacji ludzie traktowani są jak mózgi pozbawione ciała. Jednak to nieprawda, głównie dlatego, że twórcy systemu edukacji na ogół nie mają pojęcia o tym, jak funkcjonuje ludzki mózg i jak jego rozwój warunkuje to, czego jesteśmy w stanie się nauczyć. 10 proc. osób w wieku 6 lat nie jest gotowych, by nauczyć się czytać. I nie wynika to z ich lenistwa; ich mózgi są tak skonstruowane, że nie osiągnęły jeszcze gotowości do realizacji tego zadania.

Z kolei prof. Marek Kaczmarzyk, nauczyciel, biolog i neurodydaktyk, w książce „Strefa napięć. Historia naturalna konfliktu z nastolatkiem" przywołuje badania, które pokazują, że część struktur w ludzkim mózgu odpowiedzialnych za możliwość zrozumienia określonych problemów lub zadań przyczynowo-skutkowych (a więc zagadnień z zakresu matematyki czy fizyki) wykształca się dopiero ok. 12 roku życia i w dużej mierze zależy od plastyczności poszczególnych mózgów. Jak pisze o tym prof. Kaczmarzyk: „Jeśli z oddaniem i wyrozumiałością tłumaczymy coś dziecku, a ono nadal nie rozumie tego, co nam wydaje się oczywiste, być może jego niezrozumienie nie jest przejawem niechęci czy braku skupienia. Być może po prostu nie jest ono jeszcze na to gotowe?"

Przywykliśmy do myślenia, że procesy rozwojowe przebiegają według określonego schematu, jednak tempo tych następujących po sobie zdarzeń jest specyficzne dla każdego z nas. Ktoś może szybciej być gotów na naukę czytania i pisania lub zrozumienie związków przyczynowo-skutkowych, a ktoś inny może potrzebować na to jeszcze trochę czasu. Rzecz w tym, że edukacja to nie wyścigi – dzieci nie są końmi biorącymi udział w Wielkiej Pardubickiej. Neurobiolodzy w kontekście uczenia się wyróżniają dwa rodzaje plastyczności ludzkiego mózgu. Pierwszym z nich jest plastyczność zależna od doświadczenia – ona pozwala nam uczyć się w każdym wieku. Drugim rodzajem – znacznie ważniejszym w kontekście szkoły – jest plastyczność oczekująca doświadczenia, a więc gotowość mózgu do reagowania zmianami na określone czynniki. Ten drugi rodzaj uzależniony jest właśnie od naszego indywidualnego tempa rozwoju. Dlatego, jak zauważa przywoływany przeze mnie prof. Kaczmarzyk, wbrew naszej obiegowej opinii w edukacji nie zawsze „wcześniej znaczy lepiej".

Dzieci w ramach systemu edukacji najczęściej nie mają możliwości uczenia się we własnym tempie. A wszystko dlatego, że na pierwszym miejscu stawiamy badanie jakości pracy szkół poprzez opracowanie drobiazgowego zestawu celów edukacyjnych oraz perfekcyjnego systemu kontroli. Nie bierzemy przy tym pod uwagę, czy i na ile dany młody człowiek jest w ogóle gotów, by nauczyć się danej rzeczy.

Pamiętajmy jednak, że edukacja nie musi tak wyglądać. Każda szkoła może wprowadzić u siebie założenia Planu Daltońskiego, w ramach którego nauczyciel dostarcza jedynie listę zadań do wykonania przez uczniów i uczennice, a następnie kieruje pracą grupy tak, by dzieci, pracując indywidualnie we własnym tempie lub współpracując z innymi, zrealizowały zadania w określonym przedziale czasu.

Wspomniany na wstępie Jason Arday został profesorem Cambridge, ponieważ mógł liczyć na wsparcie rodziców, dla których jego edukacja nie była wyścigiem. Pytanie, jak wielu rodziców i nauczycieli o edukacji myśli w podobny sposób? ■



Mikołaj Marcela – autor bestsellerowych książek poświęconych edukacji, nauczyciel akademicki i wicedyrektor kierunków sztuka pisania oraz twórcze pisanie i marketing wydawniczy na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.

Transmisja z multiwersum



„Moja znajoma mówi, że nie mogłaby mieszkać w Gotham. Ja wtedy odpowiadam, że nie stać mnie na pokoik w Metropolis, a tu mam dla siebie cały loft. Czasem wprawdzie Joker rozpyla trujący gaz, ale od czego są maski przeciwgazowe?” – dzieli się swoim doświadczeniem jedna z tiktokerek. Nagrania z serii „Gotham Tok” nie różnią się niczym od tych opowiadających o życiu w różnych miejscach – tyle że dotyczą fikcyjnych miast z komiksowego multiwersum. „Jestem najlepszą przewodniczką po Gotham – opowiada inna, w prawdziwym świecie oprowadzająca po Nowym Jorku. – Głównie dlatego, że reszta została zamordowana”.

Znane z komiksów i filmów o Batmanie i Supermanie Gotham i Metropolis to dwa sposoby, w jakie twórcy pokazywali Nowy Jork – jego ciemną i jasną stronę, miasto przestępczości i możliwości. Dla niektórych sprawa nie jest taka czarno-biała: „W Gotham jedyne, co mnie spotkało, to Riddler zmuszający do rozwiązania zagadki. A Metropolis co tydzień niszczy wielki robot walczący z Supermanem!”.

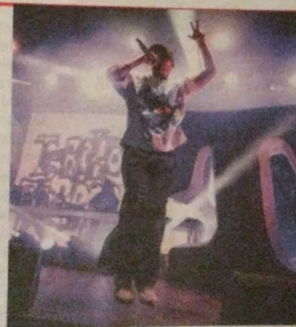
To powiew świeżości dla fanów popkultury. Zamiast zanudzać widzów ciekawostkami z komiksów czy plotkami z nadchodzących filmów, twórcy robią coś kreatywnego. W wymienionym skeczu użytkowniczka @niedola_ parodiuje tiktokerki prowadzące transmisje na żywo, które wygłupiają się, żeby dostać prezenty od widzów. Tyle że tym razem jest to „live z siczy na Arrakis”, pustynnej planecie z serii „Diuna”. Dziewczyna dzieli się przemyśleniami na temat Muad'Diba i dziękuje widzom za wodę. Uderza prostota użytych środków – znany z filmu strój do odzyskiwania wody to po prostu szary dres i douszna słuchawka wsadzona do nosa.

Seria „Gotham Tok” i inne podobne transmisje to lustrzane odbicie prawdziwych social mediów – ludzie opowiadający o teoriach spiskowych („czy to możliwe, że ten wymoczek Bruce Wayne jest Batmanem? Oszaleliście!”) i celebrytach, tak jak wcześniej opowiadali o księżnej Kate (POLITYKA 13). Zajmowanie się fikcyjnymi postaciami i miejscami stało się sympatyczną rozrywką – można generować emocje bez sięgania po życie prawdziwych ludzi. „Gotham Tok” okazuje się antytezą nurtu true crime czy niesławnego wybryku sprzed kilku lat, gdy młodzi tiktokerzy wcielali się w ofiary Holokaustu. Zamiary mieli pewnie dobre, ale wyszło co najmniej niesmacznie. Fantazjowanie o spotkaniu z Jokerem i związane z tym porady („nigdy nie wąchaj kwiatka dziwnego klauna”) są zupełnie niegroźne.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Liczba fi



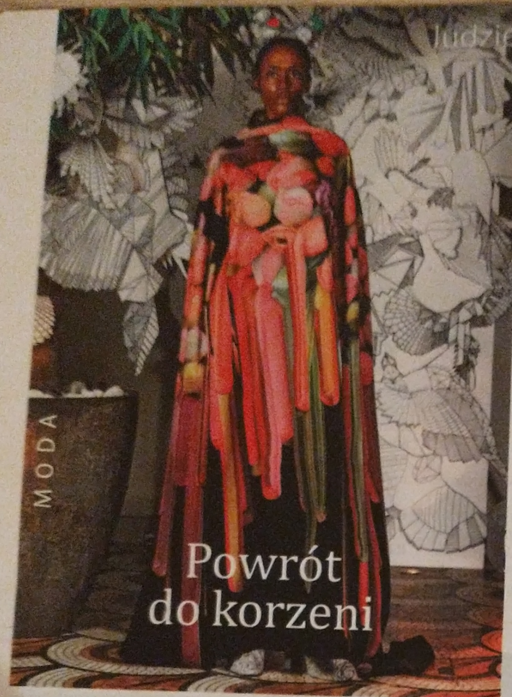
O co chodzi raperowi **Otsochodzi**? Pseudonim prowokuje do spekulacji znaczeniowych, a w nowym utworze „Piegi” Otsochodzi opowiada o tym, jak spieniężyć wspomnienia o dawnym życiu. I tu właśnie trafiamy na fragment o spekulacjach finansowych: „Wydamy to życie na DVD/ Wydamy to życie za duże fi”. To fi to spolszczone *fee* – opłata, honorarium, a ostatnio najczęściej prowizja. O „dużym fee” – lub „dużym fi” – piszą na forach ludzie inwestujący w kryptowaluty, w kontekście opłat za potwierdzenia dokonywanych tymi środkami transakcji. Chociaż nie tylko oni. Fani futbolu mają świadomość *solidarity fee*, czyli prowizji od wysokich sum transferów, które trafiają do mniejszych klubów szkolących przyszłe gwiazdy (w myśl regulacji, które wprowadziła – nomen omen – FIFA). A *shipping fee* to koszt przesyłki towaru.

Sprawa się komplikuje, kiedy o fi mówią hydraulicy – może to oznaczać średnicę rury. Choć przykład, który znalazłem w serwisie X, dotyczył raczej bimbru niż wody: „Metrowa rura fi 20-32, węgiel aktywny (dostępny w zoologicznym). Rurę zaślepić gazą, zasypać węglem, przelać czystą wodą i można filtrować zanieczyszczone płyny”. A wszystko dlatego, że symbol oznaczający tę średnicę, czyli Ø, przypomina grecką literę phi. Jak obecny w polszczyźnie od lat wykrzyknik wyrażający przyganę lub lekceważenie: „Phi” – albo „fi”. „Fi, Edwardzie! Nie skorzystałeś z mojego towarzystwa; czyż mię widziałeś kiedy oglądającego się na jutro?” – strofował niegdyś Adam Mickiewicz listownie Antoniego Edwarda Odyńca, również poetę i członka Zgromadzenia Filaretów. Swobodny język tego listu wcale nie tak bardzo się różni od najeżonej neologizmami polszczyzny raperów: „Obaczysz, że Cię wobec żony wyczubię za to, a przynajmniej wyłaję”. Ale to „fi” filaretów wyraźnie różni się od „fi” finansjery.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

To będzie taki stół, przy którym się rozmawia
Dla samotnych zrobię taki feature:
Jak w niego uderzysz, odezwą się nożyce
Kamil Pivot, Drew-Kam, 2024 r.
Feature = funkcja, cecha



MODA

Powrót do korzeni

Znany ze wspierania ekologicznych inicjatyw Karol III dał projektantom mody błogosławieństwo, by tworzyli ubrania z roślinnych odpadków z królewskiego ogrodu. Można je oglądać na wystawie, a kiedyś pewnie i nosić.

„Wystrzeliły kwiatów pąki. Ćwirlą pliszki i skowronki. Wiosna dzwoni w leśne dzwonki…” – głosi wierszyk przedszkolaków. A zmiana pory roku oznacza też początek działkowania i ogródkowania. Zwykle patrzymy na rośliny pod kątem ich walorów estetycznych lub gastronomicznych – a co, jeśli oferują one dużo więcej możliwości? Z tym pytaniem, podczas niczym niewyróżniającego się przyjęcia na rzecz tzw. mody odpowiedzialnej, zwrócili się do Karola, wówczas księcia Walii, projektanci Vin Cara i Omi Ong, ciekawi, co się dzieje z odpadkami z ogrodów należących do rodziny królewskiej.

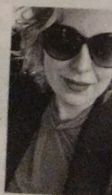
Temat padł na podatny grunt, bo monarcha od dekad wspiera inicjatywy na rzecz ekologii, zrównoważonej produkcji i generalnie oszczędnego gospodarowania zasobami danymi przez Matkę Ziemię. Znany jest z powiedzenia „buy once, buy well” („kup raz, a dobrze”), odnoszącego się do wprowadzania do szaf rzeczy na dekady, nie na tygodnie. W tej kwestii jest zresztą nie tylko teoretykiem, ale i praktykiem – choćby podczas koronacji nosił stroje i dodatki należące do poprzednich pokoleń władców, jak królewskie rękawiczki po dziadku Jerzym VI. W 2022 r. monarcha powołał na szefa oddziału zajmującego się modą w organizacji Sustainable Markets specjalistę i pioniera od mody odpowiedzialnej, Federico Marchettiego. Jego Wysokość argumentował, że ponieważ przemysł modowy jest jednym z najbardziej zanieczyszczających środowisko, trzeba wymyślić metody bardziej odpowiedzialnej produkcji ubrań przy współpracy różnych gałęzi gospodarki. Mogłoby się wydawać, że to błaha sprawa, bo co ma koszulka z sieciówki do ocieplenia klimatu (i nagłego wybuchu wiosny pod koniec marca), ale dane statystyczne w tej kwestii nie pozostawiają złudzeń: moda odpowiada za 10 proc. emisji dwutlenku węgla.

Wróćmy jednak do duetu projektantów Cara i Ong, funkcjonujących na rynku jako Vin+Omi. Wkrótce *small talk* z księciem Karolem przepoczwarzył się w stałą współpracę, a projektanci zakasali rękawy i rozpoczęli roślinną rewolucję – zmienili pokrzywy, wierzbowe odpadki czy resztki lepiężnika w tkaniny. „Jest cudowna, w dotyku przypomina jedwab. Jest naprawdę królewska” – zachwala nowy, lepiężnikowy materiał w „The New York Times” Vin Cara. Bylina posłużyła projektantom do stworzenia m.in. sukni ślubnej i chociaż na razie nie można jej kupić, to można ją – oraz inne wytwory odpowiedzialnej mody – podziwiać w muzeum Victoria & Albert w Londynie, National Museum of Scotland w Edynburgu, a od końca marca także na wystawie „Royal Garden Waste to Fashion's Future” („Odpadki z królewskich ogrodów dla przyszłości mody”) w sali balowej królewskiej posiadłości Sandringham, skąd większość roślinnych materiałów pochodzi.

Król zachęca nie tylko do używania ekotkanin, ale też do korzystania z naturalnych barwników, takich jak indygo pochodzące z liści urzetu barwierskiego. Specjalna uprawa tej rośliny, która ruszyła w czasie pandemii, stała się projektem społecznym, w którym bierze udział ok. 150 osób – doglądają, pielęgnują i odchwaszczają. Co ciekawe, jedna z poprzedniczek Jego Wysokości, królowa Elżbieta I zakazała uprawy i przetwarzania urzetu w odległości 5 mil od jej siedziby, bo… śmierdział.

Nie tylko resztek z pańskiego ogrodu używają dziś projektanci mody (jednocześnie): ekologicznej, wegańskiej i *cruelty free*, czyli nieprzysparzającej cierpień zwierzętom. Wśród materiałów znajdują się choćby liście ananasa, które po przetworzeniu udają ekoskórę. Są też resztki jabłek, kukurydzy, a w planach także eksperymenty z włóknami pomarańczy, kokosa i ziarnami kawy. Ekologiczna bawełna z recyklingu albo wykorzystany ponownie poliester, czyli po prosto przetworzona ropa naftowa, to dziś betka.

Przy tym ogrodowym zawrocie głowy warto pamiętać, że pionierami roślinnej mody byli nie jacyś tam monarchowie z Wielkiej Brytanii, ale polscy muzycy z zespołu Róże Europy. No bo kto śpiewał i w jakiej sprawie: „Ofiaruję mojej dziewczynie z kwiatów Holandii utkany szlafrok, w którym utonie”?



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

© MAJA SMIEJKOWSKA/VIN+OMI, GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE (2)

Czysty pokój daje spokój

To, jaką rolę odgrywa dla nas dom i co robimy, żeby był jak najlepszym miejscem do życia, wciąż się zmienia. Ostatnio z pomocą cleanfluencerów.



TREND

Powiew wiosny zachęca do wychodzenia z domu, ale i do tradycyjnych porządków. Nastał już czas wietrzenia szaf czy garażowych wyprzedaży. Mycie okien przy okazji świąt wielkanocnych stało się tematem memów, podobnie jak planowanie urlopów, które przeznaczamy na remonty domów i mieszkań.

Latami sprzątania i organizacji przestrzeni uczyły miliony ludzi Martha Stewart, amerykańska osobowość telewizyjna, czy Japonka Marie Kondo, autorka bestsellerowej „Magii sprzątania". W Polsce dużą popularność zdobyła rzecz jasna „Perfekcyjna pani domu", czyli Małgorzata Rozenek-Majdan, prowadząca reality show o tym samym tytule. Takich programów przybywa zresztą równie prędko co kurzu. Ale dziś tego, jak zadbać o swój dom, uczą nas głównie cleanfluencerzy – influencerzy wynajdujący sposoby na to, jak sprytnie wyczyścić każdy kąt. Dzielą się lifehackami (życiowymi poradami) i metodami z serii DIY (Do It Yourself – zrób to sam), kręcą rolki, piszą e-booki. Na TikToku hasztag #CleanTok i inne mu pokrewne, pod którymi kryją się wideo z poradami na temat sprzątania, zostały użyte już ponad 4 mln razy.

Nic dziwnego. Z raportu „Życie w domu" marki IKEA z 2023 r., która przebadała blisko 38 tys. ludzi w 38 krajach na świecie, w tym w Polsce, wynika, że 40 proc. z nich wiąże posiadanie uporządkowanego i zorganizowanego domu z poczuciem zadowolenia i ze spokojem. Samo sprzątanie wywołuje jednak również nieprzyjemne emocje – zwłaszcza poczucie winy, jeśli go unikamy. Jedna na pięć osób na świecie jest zdania, że niekończące się obowiązki pozbawiają nas kontroli nad własnym życiem. To też nadal jeden z filarów nierówności społecznych: ponad jedna trzecia kobiet twierdzi, że więcej zajmuje się domem niż osoby, z którymi mieszkają. Takie poczucie ma zaledwie 14 proc. mężczyzn.

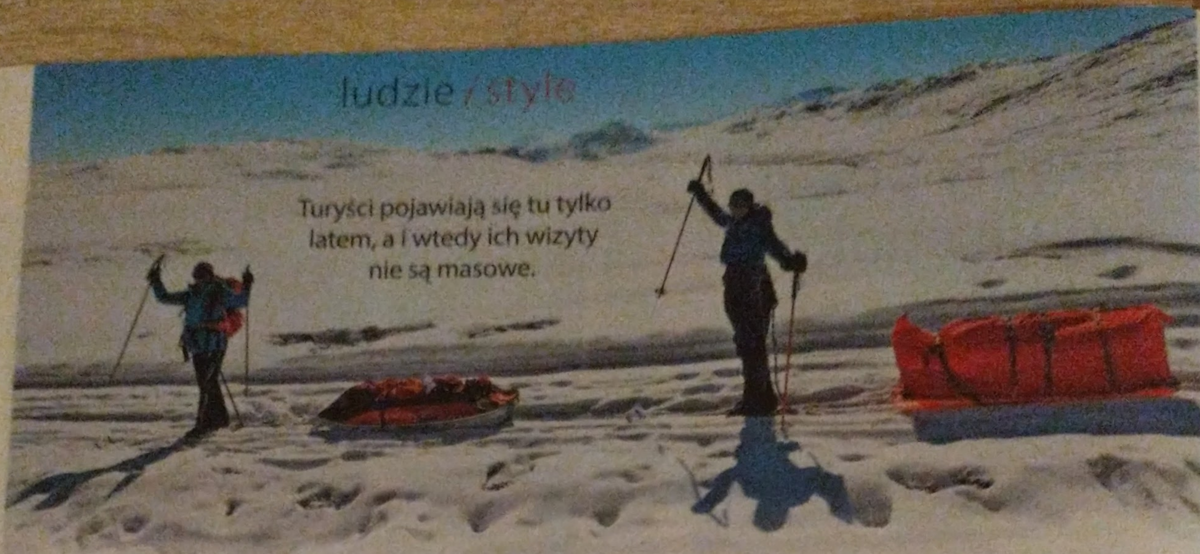
Podobne wnioski płyną z polskiego badania SW Research na zlecenie marki Cleangang. Dowiadujemy się z niego, że blisko trzy czwarte Polek i Polaków, którzy deklarują zadowolenie z życia, ma… czysto w domu. A ponad połowa (67,2 proc.) sprząta dwa razy w tygodniu. Co ciekawe, pokolenie Z (urodzeni po 1995 r.) ma do dbania o dom bardziej równościowe podejście. Zetki zdecydowanie częściej od starszych generacji twierdzą, że razem ze współmieszkańcami utrzymują w domu porządek i uczciwie dzielą się obowiązkami. Większe znaczenie niż choćby dla pokolenia X (urodzeni w latach 1965–80) ma dla nich też to, aby środki czystości nie szkodziły środowisku. Cleanfluencerzy podpowiadają zresztą, czego i gdzie szukać, a zaglądają głęboko, nawet na dno czajnika. Wszędzie się czai mikroplastik.



Joanna Tracewicz
– od ponad dekady działa w mediach, śledzi trendy społeczne i popkulturowe, interesuje ją interdyscyplinarne podejście do zjawisk. Na co dzień redaktor naczelna RocketSpace.pl.

Fakt, że więcej uwagi poświęcamy życiu w domu i inaczej o niego dbamy, łączy się z przemianami społecznymi, środowiskowymi i technologicznymi. Pandemia jeszcze mocniej nas do domów przywiązała, granice między karierą, szkołą a życiem prywatnym się zatarły. Praca zdalna wymusiła nową organizację – mieszkania i domy stały się wielofunkcyjne. Potrzeba równowagi w domu, związana z zagospodarowaniem przestrzeni tak, by dało się oddzielić np. czas wolny od zajęć służbowych, łączy się też z aranżacją czterech kątów i trendami wnętrzarskimi stawiającymi na swobodę i dopasowanie do codziennych potrzeb, na wygodę i prywatność. Tu mają pomóc inteligentne rozwiązania zmieniające nasze domy w *smart homes* (inteligentne domy) – od automatycznych robotów sprzątających czy kosiarek, przez łączenie sprzętów AGD i RTV z naszymi smartfonami, po sterowanie oświetleniem czy ogrzewaniem bez potrzeby wstawania z kanapy.

Trendy są jasne: chcemy troszczyć się o siebie i środowisko. Wykorzystując technologie, zużywając mniej energii elektrycznej i ciepła, stosując zasady *zero waste*, oszczędzając wodę i aranżując wnętrza tak, by były łatwe do sprzątania. A koniec końców po to, żeby zyskać na czasie i przeznaczyć go na przyjemniejsze rzeczy. ■


Turyści pojawiają się tu tylko latem, a i wtedy ich wizyty nie są masowe.

Deosai, czyli zimowe ekstremum

PODRÓŻE

Położony na północy Pakistanu, mający średnią wysokość 4114 m n.p.m. Deosai to drugi co do wysokości płaskowyż świata (pierwsze miejsce zajmuje tybetański Changan). Jego nazwa tłumaczona jest jako Kraina Gigantów, choć są i tacy, którzy twierdzą, że to Kraina Duchów. Turyści na Deosai pojawiają się tylko latem, a i wtedy ich wizyty są dalekie od masowej turystyki. Zimą utworzony w Deosai park narodowy jest oficjalnie zamknięty, bo zasypane śniegiem pustkowie z braku normalnych dróg jest nieprzejezdne nawet dla terenowych samochodów.

„Nie możemy was tam puścić. Przecież o tej porze nikogo na Deosai nie ma. Nawet telefony nie działają" – usłyszałyśmy, kiedy zjawiłyśmy się w Astore, ostatnim w miarę cywilizowanym miasteczku przed wyruszeniem w trasę. To, że jeszcze nikt w środku zimy Deosai nie przeszedł, na nas zadziałało jak magnes. Przekonywanie władz, wojska i policji, że nasz kobiecy zespół (ja i Joanna Mostowska, doświadczona ultramaratonka i polarniczka) naprawdę jest na to wyzwanie przygotowany, sprzętowo, kondycyjnie i psychicznie, łatwe wcale nie było. Podobnie jak poruszanie się na nartach po terenie, który wbrew nazwie „płaskowyż" jest mocno pofalowany.

Normą stała się konieczność torowania drogi przez głęboki śnieg, nieraz wpadałyśmy w zaspy, z których trudno było się wydostać. Otaczające nas góry i punkty orientacyjne ginęły w gęstej mgle albo w zadymce. Z pomocy GPS-owej aplikacji korzystałyśmy sporadycznie. Na szczęście dla nas mrozy, jakie odnotowywano na Deosai przed naszym przyjazdem (minus 35 stopni), zdążyły nieco zelżeć. Najbardziej odczuwałyśmy zimno, gdy starając się zdążyć przed nadchodzącym zmrokiem, rozstawiałyśmy namiot. Kiedy już nasze prowizoryczne M-2 jakoś stało (jego specjalna tunelowa konstrukcja była dostosowana do silnych wiatrów), załadowałyśmy się do śpiworów na, jak to określałyśmy, „rozmrażanie". Po 20 minutach jako tako już rozgrzane, choć nadal w kilku warstwach ubrań, czapkach i puchowych kurtkach, mogłyśmy się zabrać do kolejnych działań, choćby opatrywania obtartych stóp. Do przyjemniejszych czynności zaliczałyśmy gotowanie, które polegało na żmudnym roztapianiu śniegu przy pomocy benzynowej kuchenki, by otrzymywanym w ten sposób wrzątkiem zalać LyoFoodowe zupy i dania obiadowe.

Czego się bałyśmy? Na pewno nie niedźwiedzi, bo zakładałyśmy, że o tej porze roku raczej śpią. Stresowało nas, że w razie przedłużającej się wędrówki może nie wystarczyć nam paliwa do kuchenki, a odwodnienie na takiej wysokości oznacza szybką utratę sił i poważne skutki zdrowotne. Awaryjny kontakt ze światem zapewniały satelitarne esemesy wysyłane przez niewielki komunikator Garmina, ale dobrze wiedziałyśmy, że wezwanie helikoptera to w Pakistanie skomplikowana i kosztowna sprawa.

Gdy w pewnym momencie zaczęła mi doskwierać ślepota śnieżna (efekt zdejmowania okularów z filtrem przy robieniu zdjęć), nie pozostawało mi nic innego, jak po prostu wziąć środki przeciwbólowe, założyć na okulary dodatkowe gogle i z wrażeniem wsypanego do oczu piasku jednak iść dalej. Poza ekwipunkiem ciągnęłyśmy na sankach wszelkie wygenerowane przez nas śmieci. Przedostatniego dnia wędrówki, już na zejściu z płaskowyżu, w pewnym momencie zobaczyłam, jak sanki mojej koleżanki zjeżdżają w bok, ściągając ją na skraj drogi, a ja, będąc zbyt daleko, nie miałam szans jej pomóc. To, że nie spadła wtedy w głęboką przepaść, zawdzięcza tylko swojej szybkiej reakcji.

Dziesiątego dnia naszym oczom ukazało się jezioro Sadpara – znak, że to już finał naszej wyprawy, bo zaraz za nim znajduje się miasto Skardu. Miejscowi, widząc dwie schodzące z gór cudzoziemki, potraktowali nas niczym zjawy, zaś w stołecznym Islamabadzie pakistańskie ministerstwo turystyki zaskoczyło nas zorganizowaniem specjalnej konferencji prasowej. Miło było słyszeć z ust pakistańskich oficjeli, że pierwszy zimowy trawers Deosai przypadł w udziale Polkom. A żeby zobaczyć niedźwiedzie, jeszcze na Deosai kiedyś wrócimy. Latem, kiedy nie będą już spały. ■


Monika Witkowska – podróżniczka, żeglarka, himalaistka. Autorka książek (m.in. „Everest. Góra Gór") i przewodniczka grup trekkingowych, m.in. w Himalaje. Prowadzi stronę monikawitkowska.pl.

Kraj wielkich przyjemności

Trzy miliony mieszkańców i dziesięć milionów krów. Kraj słynący z piłki nożnej i łagodnych obyczajów. No i z wina, którego do niedawna pito w Urugwaju najwięcej na świecie.



WINO

Wszyscy wiedzą, że w Ameryce Południowej powstają świetne wina, bo wszyscy znają wina z Chile i Argentyny. Łatwe do zrozumienia etykiety i łatwe smaki: mnóstwo owocu, mało cierpkości, przystępne ceny – dlatego Cabernet i Sauvignon Blanc z Chile oraz Malbec z Argentyny podbiły już dawno światowe rynki, włącznie z Polską. Bardziej zaawansowani winomani próbowali być może wina z Brazylii, która dzięki zróżnicowanej geografii i ogromnemu rynkowi wewnętrznemu ma wszelkie warunki po temu, żeby zwiększać produkcję. Słyszeli może nawet o winnicach w Peru, najstarszych na kontynencie, albo w Boliwii, jednych z najwyżej położonych na świecie (2500 m n.p.m.). Natomiast mało kto słyszał o winach z Urugwaju.

Tymczasem Urugwaj zajmuje na światowej mapie wina szczególne miejsce. Pozornie to paradoks, bo nie ma dwóch rzeczy, które decydują o jakości win u jego wielkich sąsiadów – wysokogórskich winnic jak Argentyna, gdzie nasłonecznienie decyduje o znakomitej jakości winogron, oraz chłodzącego wpływu Pacyfiku, który wyznacza styl wielu win w Chile. Urugwaj jest właściwie płaski i ma jeden klimat – łagodny atlantycki, przypominający bardziej Bordeaux albo hiszpańską Galicię niż inne kraje Nowego Świata. Jest tu jednak coś, czego Chile, RPA czy Australia nie mają: powszechna, głęboko zakorzeniona kultura winiarska. Przywieźli ją pod koniec XIX w. imigranci z Europy, którzy znacząco odmienili oblicze kraju, czyniąc z Montevideo najbardziej europejską metropolię w obu Amerykach.

Połowa tych imigrantów przybyła do Urugwaju z Hiszpanii, druga – głównie z Włoch i południowej Francji. Włoskie nazwiska nosi wielu winiarzy, jak Pisano, Traversa, Pizzorno. Baskowie zaś przywieźli w tobołkach odmianę winorośli **tannat**. I to ona stała się niespodziewaną specjalnością Urugwaju. Mocno porzeczkowe wino czerwone z lekko cierpką taniną było przez lata książątkiem na dworze króla Malbeka z Argentyny i królowej Carménère z Chile.

Od paru lat jednak wino urugwajskie mocno się zmienia. Dobrze pokazała to niedawna degustacja w Warszawie, pierwsza od dekady, na której pojawiło się aż 15 winiarzy, a seminarium poprowadziła czołowa ekspertka od win z Ameryki Południowej, Amanda Barnes. Robione cokolwiek na jedno kopyto wina z lat 90. zastąpiła istna feeria barw i smaków. Najbardziej zmieniły się wina białe. Zamiast przewidywalnych chardonnay winiarze mocno stawiają dzisiaj na egzotycznego viogniera, pachnące torrontés tak popularne w Argentynie, a przede wszystkim na świeże, oceaniczne albariño. Ta hiszpańska odmiana święci dziś w Montevideo triumfy i daje coraz ciekawsze, pełne owocu wina.

Na urugwajskiej scenie pojawiają się modne style, takie jak wina różowe, pomarańczowe i musujące. Te czerwone wysłano zaś na przymusową terapię odchudzającą – i świetnie im to zrobiło. Owszem, wśród ambitnych etykiet z wyższej półki wciąż nie brakuje napakowanych bomb owocowych z hojną dawką tanin i waniliowego dębu, ale flagowego tannata coraz częściej robi się w ogóle bez beczki, z naciskiem na świeży owoc i łatwość w piciu. Na gwiazdę wyrasta marselan, stosunkowo młoda krzyżówka cabernet sauvignon z grenache, która daje wina mniej cierpkie, gładsze od tannata, zgodnie z nowymi trendami. O podium walczą jeszcze cabernet franc i syrah. W produkcji win czerwonych Urugwaj korzysta ze znacznie łagodniejszego niż w Argentynie, morskiego klimatu, wina mają więc często poniżej 14 proc. alkoholu i świetnie wpisują się w styl kraju: w połowie drogi między Nowym Światem a Europą. Urugwaj produkuje dziś 20 razy mniej wina niż historyczny rywal – Argentyna, ale trudno powiedzieć, by jego najlepsze butelki bardzo tym argentyńskim ustępowały.

Mały kraj, wielkie przyjemności dla tych, którzy się na nie otworzą. ■



Wojciech Bońkowski
– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winicjatywa i pisma o winie „Ferment”.

Familia Traversa Tannat 2021, 42 zł (wina-mp.pl)
Proyecto Nakkal Nakcool Blanco, 65 zł (winestory.pl)
Viña Progreso Underground Barrel-less Tannat 2020, 119 zł (salony Vininova)
Garzón Albariño Reserva 2022, 122 zł (domwina.pl)
Garzón Marselan Reserva 2021, 122 zł (domwina.pl)

Były wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł (Suwerenna Polska) bez wahania i cienia wstydu tłumaczy „Angorze", jak dysponowano pieniędzmi Funduszu Sprawiedliwości: „Regulamin Funduszu nie wskazywał dokładnie, na co środki finansowe mają być przeznaczone. Określał, że mają być wykorzystywane na cele szkoleniowe. Jeśli jakiekolwiek Koło Gospodyń Wiejskich nie prowadziło edukacji w zakresie zapobiegania przestępczości, to nie mogło otrzymywać pomocy finansowej. Jeśli jednak taka działalność występowała, to czy do tego potrzebny był zakup garnków, czy innego sprzętu, to wyłącznie ich sprawa". Na granatnik też by dostały.

Michał Karnowski („Sieci") kontynuuje swój cykl „dobre rady dla gromady", czyli poucza PiS, co ma robić: „mimo pokusy pójścia w »fajność« czy duchowej i programowej kapitulacji, Prawo i Sprawiedliwość, jeśli naprawdę chce zwyciężać, musi pozostać poważną partią. W traktowaniu serio relacji słów do czynów, w narzucanym przez Jarosława Kaczyńskiego upartym dążeniu do realizacji programu krył się sukces lat 2015–2023. I tam jest też recepta na odzyskanie władzy. Ale trzeba mieć też świadomość, że bez twardego boju rzadko się wygrywa w polityce". Zabrakło tylko wezwania: „Wodzu, prowadź!".

Zostaliśmy po 15 października poturbowani i musimy się na różne sposoby odbudować. (…) trzeba się nastawić na dłuższą perspektywę, na co najmniej kilka lat – Mateusz Morawiecki na spotkaniu w Krakowie. Czyli PiS to jednak ruina.

O paradoksie lizusa mówi w „Przeglądzie" prof. Jarosław Flis: „największą słabością PiS są te wszystkie lizusy prezesa, nieświadomie zajmujące się nieustannym jego atakowaniem. Przecież jeśli ktoś mówi publicznie, że bez Kaczyńskiego PiS się rozpadnie, to tak naprawdę mówi: Jarek, 20 lat twojej pracy w ogóle nic nie dało! (…) Miałeś stworzyć silną partię, miałeś być emerytowanym zbawcą narodu, a teraz jesteś po prostu kimś, kto z trudem się opędza od tych wszystkich, którzy chcieliby rozerwać na strzępy twoje dzieło życia".

W „Do Rzeczy" Marek Jurek (kiedyś polityk PiS) inaczej postrzega Jarosława Kaczyńskiego i jego „poważną partię": „Problemem polityki Prezesa jest natomiast jego obsesyjne poczucie osobistej misji, polityczny solipsyzm, skutkujący lekceważeniem wszystkich interesów społecznych, argumentów politycznych, a nawet zwykłych obowiązków wychodzących poza jego własny polityczny plan. (…) Niestety, słynna PiS-owska »rozmowa z ludźmi« nigdy nie oznaczała otwartości wobec opinii publicznej, a jedynie czytanie nastrojów w sondażach, propagandę medialną i oczywiście pragnienie – przyjemnego a politycznie potrzebnego – aplauzu". Pamiętamy ten uśmiech, gdy słyszał: „Ja-ro-sław-Pol-skę-zbaw!".

Stanisław Mancewicz z „Tygodnika Powszechnego" wychwycił trend w pisaniu o nadchodzącej (?) wojnie: „Pośród dziesiątek materiałów nie znaleźliśmy ani jednego, w którym ktoś, ktokolwiek, od amatora po znawcę, dawałby nam szansę na przetrwanie w jako takim zdrowiu. (…) Oto wszyscy, od lewa do prawa, wieszczą, że kraj nasz upadnie jak domek z kart, nie będzie wody, jedzenia ani lekarstw, że gdzieś na peryferiach tego konfliktu będą latać po próżnicy nieliczne samoloty NATO, warczeć przestarzałe czołgi Bundeswehry, szosy zaś będą zatkane wszelakim żelastwem i tłumami ludzi w panice i histerii, a rząd oddali się oczywiście na emigrację". Polska specjalność – czarnowidztwo. Albo realizm.

Andrzej Stankiewicz stawia w „Newsweeku" tezę: „Nie ma w polityce niczego, co łączy tak żarliwie i trwale jak wspólny wróg. W tym sensie prezydent Andrzej i premier Donald są sobie wyjątkowo bliscy, bo mają jeden interes: pozbycie się prezesa Jarosława. (…) Jeśli Tusk – jak wierzy Duda – wystartuje na prezydenta, a Duda – na co liczy Tusk – przyczyni się do wysłania zbawcy narodu na emeryturę, ta symbioza może potrwać znacznie dłużej". Prezes może i przegrał, ale wciąż jest w centrum uwagi.

W „Wolnej Sobocie" prof. Marcin Matczak pisze o pułapce emocji: „Nasze oczy przesłania zaćma emocjonalności. (…) Kiedyś współczucie dla płaczącej Beaty Sawickiej było ważniejsze niż to, że wzięła łapówkę. Dziś jeszcze bardziej emocje biorą górę nad racjonalną oceną Ziobry, Trzaskowskiego czy Hołowni. (…) Politycy przestają być ludźmi, stają się ikonami: Beata Płacząca, Szymon Odraczający, Zbigniew Frasobliwy i Rafał – Anioł Patriarchatu. A my, wpatrzeni w ikony, stajemy się niezdolni do racjonalnego osądu".

Z nazwisk śmiać się nie wypada, chyba że robią to ich nosiciele. Michał Rusinek w felietonie dla „GW" cytuje pomysły na kampanijne hasła: „Konrad Rączka (Starachowice) wykorzystał rymotwórcze możliwości tkwiące w jego nazwisku: »Jak jest problem czy bolączka,/ czeka na was Konrad Rączka«. A wiele wskazywało na to, że powie o sobie, że jest z niego »złota Rączka«. Powstrzymał się jednak. Nie powstrzymał się natomiast Grzegorz Ziomek (Mielec): »Wybierz swojego ZIOMKA«, Radomir Piorun (Koło): »Zmieniamy powiat PIORUNEM«, Zbigniew Gach (Słupsk): »Twój GACH w samorządzie« czy Krzysztof Aleksander Świerk (Turek): »Posadź ŚWIERKA w powiecie!«".

KOZA



Hallyu - koreańska fala

Historia podzielonego półwyspu

mapy • ilustracje • konteksty • ciekawostki



Wydanie papierowe – w kioskach i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

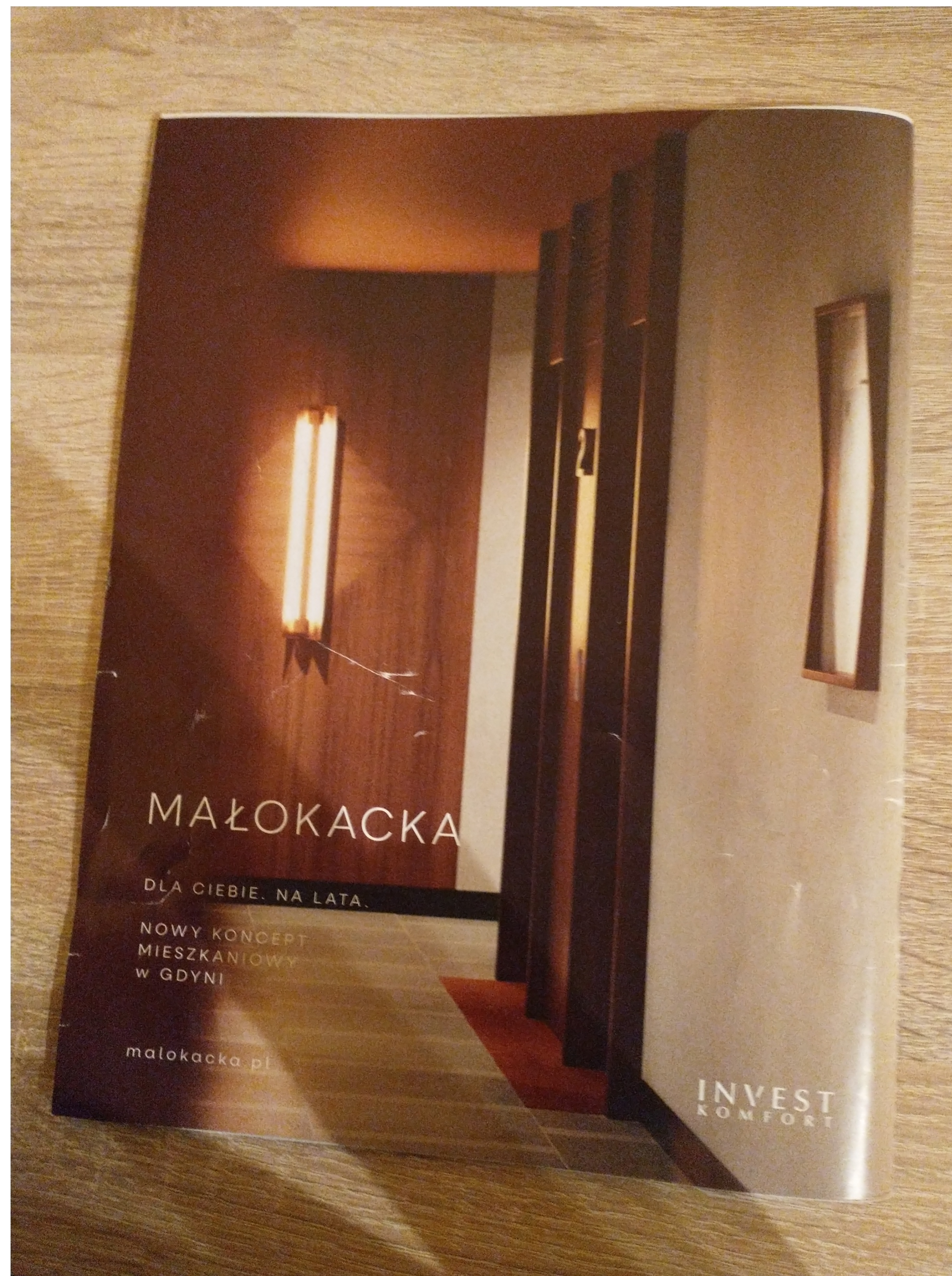
KUP TERAZ



POMOCNIK HISTORYCZNY
Ponad 60 tytułów



Sprawdź na **sklep.polityk**


MAŁOKACKA
DLA CIEBIE. NA LATA.
NOWY KONCEPT
MIESZKANIOWY
W GDYNI
malokacka.pl
INVEST
KOMFORT